Part Code
ST1316
R G B WH GR BL
Grey Scale #13
C M Y K
DANES-PICTA.COM
A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19
Inches
Centimetres
Colour Chart #13
Blue
Cyan
Green
Yellow
Red
Magenta
White
3/Color
Black
DANES-PICTA.COM

ULAMIN

BIBLIOTEKI TOW. WZAJ. POM. U. U. J.

1) Prawo korzys
członek Towa
prawa tego n
2) Przy wypoży
kartę legitym
3) Ilość wypożyc
czać dwóch.
bibliotekarz
dzieła, w żadn
czonych książ
4) Książka bell
w ciągu dwóc
rech tygodni.
5) Za przetrzym
2 hal. od to
6) O ile wypoż
książkę na c
terminu zgło
i porozumieć
7) Wypożyczają
czenie lub zgubienie książki.
8) Przed końcem każdego półrocza wszystkie pożyczone książki winne być bezwarunkowo zwrócone pod grozą wstrzymania wizy dziekańskiej.
9) Wykroczenie przeciw regulaminowi pociąga za sobą utratę prawa korzystania z biblioteki.

WYPOŻYCZALNIA AKADEMICKA
P
B S
UJ
L. 5892

DRUKARNIA ZWIĄZKOWA W KRAKOWIE.

PAMIĘTNIK GENERAŁA

JANA WEYSSENHOFFA

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

BIBLIOTEKA BRATNIEJ POMOCY STUD. U. J.
Nr. 173
* KRAKÓW *

Biblioteka
Tow. wzaj. Pomocy
U. U. J.
w KRAKOWIE

Biblioteka
Tow. wzaj. Pomocy
U. U. J.
w KRAKOWIE

GENERAŁ JAN WEYSSENHOFF

Dubl. do sygn. 23853 II
sprow. 5/VII 50. H. M.
117
„Weyssenhoff J."

PAMIĘTNIK GENERAŁA

JANA WEYSSENHOFFA

4912

Z PORTRETEM AUTORA

1012

WYDAŁ JÓZEF WEYSSENHOFF

BIBLIOTEKA BRATNIEJ POMOCY STUD. U. J. Nr 173 KRAKÓW

Biblioteka Tow. wzaj. Pomocy U. U. J. w KRAKOWIE

WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
1904

1179

92 : 93(438)9

KADR NAUKOWYCH INSTYTUTU KSZTAŁC. KC PZPR BIBLIOTEKA

Дозволено Цензурою.
Варшава, 7 Мая 1903 года.

BIBLIOTEKA

31915/2

D 1949 nr 4420

WSTĘP.

Wspomnienia, które tu po raz pierwszy ogłaszamy drukiem, chociaż przeznaczone były przez autora dla koła osób najbliższych, przekraczają wszakże znaczenie i wagę zwykłej rodzinnej pamiątki. Już sama postać Jana Weyssenhoffa nie obca jest naszym dziejom, a w szczególności historyi wojska polskiego. Przez lat czterdzieści pełni on rzetelnie obowiązki służby żołnierskiej, które umie zawsze łączyć jak najściślej z jasnem poczuciem powinności obywatelskiej. To też z każdej niemal karty jego pamiętnika dochodzi nas wierne echo przeszłości; widzimy tam bezpośrednie odbicie wrażeń, jakich doznawało wygasłe już dziś pokolenie, żyjące niegdyś na przełomie dwóch wieków. Jak wiadomo, była to epoka wielkich wypadków, które, nieraz następując szybko jedne po drugich, wstrząsały tak gwałtownie budową społeczną i polityczną Europy, że wśród ogólnego zamętu nie łatwo było zachować nietylko trafność sądu, ale i niepokalaną czystość sumienia.

Obok tych, w każdym razie ciekawych, a niekiedy wysoce nauczających wskazówek, pamiętnik generała Weyssenhoffa ma inną jeszcze wartość: przedstawia on mianowicie, niby w przecięciu, losy regularnego żołnierza od sejmu czteroletniego aż do rewolucyi 1831 roku. Zaciągnięty w kadry nowej armii 1789 roku, uczestnik kampanii 1792, 1794 i wszystkich Napoleońskich od 1806 do 1813 r., dowódzca ułanów od sformowania ich dywizyi aż do rewolucyi, dowódzca całej jazdy w styczniu 1831 r., wreszcie wygnaniec w Kostromie, — przechodzi Jan Weyssenhoff typowe losy oficera polskiego od najniższych do najwyższych stopni.

Za przykład służyli mu przodkowie, chociaż przybysze z Niemiec, ale dawni już i wierni obywatele Rzeczypospolitej polskiej. Jedni z kurlandzkim domem Weissów, panów na Assern i na Weissenhofie, Weyssenhoffowie osiedli w t. zw. «Inflantach polskich» około połowy XVII-go wieku. Trzej wnukowie Zacharyasza Weissa, namiestnika w Rydze w 1579 roku («Statthalter zu Riga») służą już wszyscy w wojsku polskiem. Najstarszy, Wilhelm, umiera w niewoli w Moskwie około roku 1620; pozostali Gotard i Jan, utraciwszy na wojnie znaczną część ojcowizny (dobra Weissenhof, skonfiskowane przez Szwedów, nadane zostały szwedzkiemu kapitanowi, Gotardowi Wilhelmowi Budbergowi), garną się stanowczo do Polski, której się już krwią i mieniem zasłużyli. Gotard utrzymuje się przy Assern, przez małżeństwo swe z Gertrudą Vietinghoff dziedziczy też inne dobra w Kurlandyi, gdzie potomstwo jego wygasa w XVIII

wieku [1]), zaś Jan przenosi się ostatecznie do Inflant polskich i daje początek linii Weissów-Weissenhoffów, którzy przez związki małżeńskie z Okszycami Grabowskimi, z Sielickimi, z Rajeckimi i t. d., zupełnie się spolszczyli. Weyssenhoffowie, niezbyt rozrodzeni, pozostali odtąd głównie w Inflantach polskich, dziedzicząc dobra Sarkanie, Brodajż, nadany w 1684 r. przez Jana Sobieskiego, Sołoniewicze, Andzelmujżę, Rybiniszki, Krewen, Strażwald, Jużynty i inne.

W epoce, od której Jan Weyssenhoff rozpoczyna swe opowiadanie, istniały dwa gniazda tej rodziny na Inflantach.

Michał, pisarz grodzki, następnie podkomorzy Jego Królewskiej Mości i inflancki, poseł na sejmy 1756 i 1764 roku, zebrał w ręku swem wielki majątek ziemski, oprócz bowiem własnych dóbr Brodajża, Rybiniszek i Strażwaldu, wziął w posagu za pierwszą żoną, z domu Berg, połowę Fejman i Antoniszek, za drugą, Rajecką — Jużynty w powiecie Wiłkomierskim. Powiększył pałac w Rybiniszkach, fundował dwa parafialne kościoły, należał do najbogatszych obywateli inflanckich. Synami jego byli: Tadeusz, marszałek Rzeżycki, i Franciszek, marszałek Wiłkomierski.

Młodszy brat Michała, Jan, sędzia ziemski inflancki, posiadał Andzelmujżę w trakcie Rzeżyckim. Dobra te, chociaż piękne, były jedynym majątkiem Jana Weyssenhoffa, który za żoną swą, Heleną Römerówną, primo voto Sołtanową, posagu w dobrach

---

[1]) Szczegóły powyższe wzięte z dokumentów Weissów w archiwum Ritterbanku w Mitawie.

ziemskich nie otrzymał. Ten Jan, sędzia ziemski, miał liczne potomstwo, które, jako rodzeństwo autora niniejszego «Pamiętnika», wspominane w tekście, muszę tu koleją starszeństwa wyliczyć: 1) Józef, poseł na sejm czteroletni, jeden z twórców konstytucyi 3-go maja; 2) Ksawery, sędzia ziemski inflancki; 3) Michał, marszałek Rzeżycki; 4) Wincenty; 5) Teresa za Ignacym Sołtanem; 6) Konstanty, marszałek Lucyński; 7) Jan, generał, autor «Pamiętnika» i 8) Stanisław. Nadto Helena Weyssenhoffowa miała z pierwszego małżeństwa syna, Stanisława Sołtana, później marszałka nadwornego litewskiego. Ten przyrodni brat najstarszy, otrzymawszy po wcześnie zmarłym ojcu starostwo Omelańskie i inne dobra, a za żoną, Franciszką ks. Radziwiłłówną, wziąwszy znaczny posag, stał się wybitnym obywatelem i wpłynął znacznie na wychowanie przyrodniego brata, Józefa Weyssenhoffa, wysyłając go, po ukończeniu szkół krajowych, na uniwersytet do Wiednia. Reszta braci wychowana została «domowym sposobem» w Andzelmujży, trochę w Rybiniszkach, u bogatego stryja, Michała, a jeden z najmłodszych, Jan, który nas tutaj szczególniej zajmuje, wybija się na widownię niemal zupełnie samodzielnie. Własnej przemyślności i odwadze zawdzięcza niepospolite swe wykształcenie i głośny zawód wojskowy.

Po tych kilku objaśnieniach wstępnych, rozpoczynamy druk «Pamiętnika», uprzedzając czytelników, że nie znajdą w nim dzieła po literacku zaokrąglonego, ani też całkowitego obrazu epoki. Generał, chociaż włada piórem wprawnie i ze smakiem, tłómaczy się sam po dwakroć w ciągu opowiadania,

że pisze wyłącznie dla rodziny i znajomych. Rzadko też kreśli ogólny rys kampanii lub wypadku historycznego; ogranicza się do opowiadania naprzykład epizodów wojny, w których brał udział, lub rozmowy, którą sam miał. Ten system szkodzi czasem efektowności «Pamiętnika», ale pomnaża jego wiarogodność i wartość, jako świadectwa historycznego. Aby mieć korzyść i przyjemność z tego czytania, lepiej jest znać dokładnie historyę końca XVIII-go i początku XIX-go wieku, o co u naszych czytelników chyba nie trudno. Nie chcieliśmy za pomocą wstawek w tekst, lub długich odsyłaczy dopełniać «Pamiętnika»; drukujemy rękopis bez zmian, unowożytniając jedynie pisownię. Tylko w rozdziale III-cim usunęliśmy i streścili mniej ważne ustępy, a rozdział IX-ty, ostatni, zmuszeni byliśmy dopełnić z powodu zaniedbania autora w tem miejscu. Rozdziały nie istnieją w oryginale; wprowadziliśmy je dla większej przejrzystości.

Józef Weyssenhoff.

Biblioteka
Tow. wzaj. Pomocy
U. U. J.
w KRAKOWIE

ROZDZIAŁ I.

Kilka wspomnień z dzieciństwa. — Uwagi o sejmie czteroletnim. — Wstąpienie do wojska w randze podporucznika 14 grudnia 1789 roku. — Pierwsze kroki samodzielne. — Uwagi o wojsku litewskiem. — Marsz na Ukrainę w 1790 roku. — Pułkownik Seweryn Rzewuski. — Wrażenie Konstytucyi 3-go maja na Ukrainie. — Komisya cywilno-wojskowa w Owruczu.— Wojna z Rosyą i Targowicą w 1792 roku. — Opis i krytyka wojska litewskiego. — Dowódzcy: generał Judycki, Stanisław Potocki, major Kleist. — Bitwa pod Stołpcami i Mirem. — Generał Michał Zabiełło. — Odwrót przez Grodno do Warszawy.— Wyprawa króla na Pragę. — Rządy Targowiczan. — Pułk 8-y piechoty litewskiej, otoczony w Stwołowiczach i rozpuszczony.

Już starość mi dokucza, już mi się dają czuć poprzedniki sędziwości. Upadek sił, cierpienie w członkach, bezsenność i jakaś oziębłość względem tego wszystkiego, co dawniej przyjemność życia i jego zadowolnienie stanowiło: wszystko mi zapowiada, że jużem żył.

Z pod tego jednak ogólnego upadku wyjmuję uczucia serca i władze rozumu: nigdy więcej nie kochałem moich przyjaciół i nigdy rozum mój nie rozbierał rzeczy swobodniej i czyściej, jak dzisiaj. Blizki

Biblioteka
Tow. wzaj. Pomocy
U. U. J.
w KRAKOWIE

już bardzo tego kresu, gdy się zupełnie schodzi ze sceny świata, rzuciłem okiem na swoją przeszłość, na to, czego byłem świadkiem i aktorem niekiedy, na to, co widziałem i słyszałem, co mnie od pierwszej młodości zajmowało, na moje związki, moje przyjaźnie, moje nienawiści w ciągu czynnego życia; wszystko to dzisiaj jest przedmiotem moich rozwag. Zadowolnienia obecne, nadzieje przyszłości, już zgasły dla starca; wspomnienia tylko mu zostają; tam ze smętkiem i niejakiem rozczuleniem myśl jego nadewszystko bawić lubi. Burze polityczne pozbawiły mnie wysokiego stopnia, zniszczyły obecność i świetną przyszłość, która mię czekała, w nic obróciły. Dzisiaj, żyjąc z dochodów wsi z moją familią, odpychając nieprawą pomyślność, która mi się gwałtem narzucała, pozbawion prawie towarzystwa, rozmyślam nad losem moim, losem człowieka i myśli, a wspomnienia moje zapisuję.

Urodziłem się 1774 roku w Inflantach, w powiecie Rzeżyckim, we wsi Andzelmujży, dziedzicznej ojca mojego. Ilość dzieci (było nas siedmiu braci i jedna siostra), gospodarstwo w najlichszym stanie, hojna gościnność ojca mojego, wyczerpywały dochody, mało zostawiając sposobności do stosowniejszego nas wychowania. Ksiądz nauczyciel, sam mało umiejący, i kiedy niekiedy jakiś metr języka i fechtowania, były to jedyne światła młodości naszej. Po lat kilka męczył on nas nad Alwarem, nie nadając wcale znajomości języka łacińskiego. Trochę chronologii historycznej i rachunków początkowej arytmetyki, na tem spełzły pierwsze lata z małym pożytkiem. Później, w domu stryja naszego Michała Weyssenhoffa, pobie-

raliśmy nauki wraz z jego dwoma synami, a to przez oszczędność ze strony rodziców moich, gdyż utrzymywanie osobnych nauczycieli byłoby uciążliwe. A co się tyczy instrukcyi, właściwie zaś wychowania, rozwinięcia rozsądku, zaszczepienia zasad religijnych i moralnych, te godna i rozsądna matka nasza sama nam przelać usiłowała, mało się spuszczając na staranie obce w tej mierze. Jako też, jeżeli nam w końcu pierwszej młodości brakowało wiadomości naukowych, mieliśmy głęboko wpojone zasady religii i cnoty, dokładną znajomość godziwego i niegodziwego. Słowem — wyszliśmy z rąk matki zupełnie usposobieni do życia cnotliwego. Jeżeli w ciągu życia zeszło się kiedy z tej złotej drogi, to nie jej była wina.

Wychowanie nasze fizyczne było doskonałe; wprawiała nas matka do wszelkich prac ciała, a miłość wielka do polowania dokonała reszty; ani fatyga chodzenia dnie jedne po drugich, ani słoty, zimna, upały — nic nam nie szkodziło. W późniejszem życiu, kiedy w pracach wojennych byłem ciągle na to wystawiony, wszystko mi było łatwiej, jak młodzieży, miękko wychowanej.

Miałem piętnaście lat, kiedy sejm wielki, czteroletni, konstytucyjnym zwany, wyprowadził dwóch braci moich ze spokojnego domowego życia na scenę polityczną, i światu ich ukazał. Stanisław Sołtan, syn mojej matki z pierwszego małżeństwa, połączony z domem Radziwiłłów przez żonę [1]), szlachetny, tęgi

---

[1]) Żonaty z Franciszką ks. Radziwiłłówną; nabył Radziwiłłowskie dobra Zdzięcioł w Nowogrodzkiem.

i szczerze ojczyznę kochający, został najprzód posłem słonimskim, a wkrótce potem marszałkiem nadwornym litewskim. Józef Weyssenhoff, brat mój rodzony najstarszy, był wybrany posłem inflanckim wraz z Julianem Niemcewiczem, Kublickim i Potockim.

W czasie rozpoczęcia czteroletniego sejmu, Polska nie miała żadnej twierdzy, a wojska około 12.000. Stan ten był bardzo dogodnym sąsiadom, których wojska znajdowały tu drogi niezbronne i spoczynki wygodne. Mimo wszelkich trudności, gorliwość części sejmu zdołała przez lat dwa, to jest do 1790 roku, podnieść stan siły zbrojnej do 40.000 gotowego do boju wojska. Ale było to wojsko bez artyleryi i wszelkiego opatrzenia, tak dalece, że wojsko litewskie, licząc około 10.000, nie miało w arsenale w Wilnie nad parę armat sześciofuntowych, i te były używane do wiwatów, nigdy do ćwiczenia poligonowego.

Wśród takiego stanu rzeczy, brat mój, Józef, poseł inflancki, postanowił mnie umieścić w pomnażającem się wojsku; jakoż przesłał matce mojej królewską nominacyę dla mnie (z d. 14 grudnia 1789 r.) na podporucznika w pułku 8-ym piechoty szefowstwa księcia Karola Radziwiłła, jego ofiarą zupełnie utworzonego. Miałem wtedy 16 ty rok i byłem uszczęśliwiony niewypowiedzianie mojem przeznaczeniem. Ojciec mój już nie żył, a interesa w złym stanie nie pozwoliły matce, jak tylko szczupłą bardzo dać mi wyprawę i 50 dukatów złotem na drogę. Te dla mnie, nie mającego dotąd żadnych pieniędzy w ręku, zdawały się sumą, wystarczającą na wszystkie obecne i przyszłe potrzeby. Tak opatrzony i w takiej dyspo-

zycyi serca i umysłu, wyjechałem z domu pierwszy raz w życiu w początkach kwietnia 1790 roku, ze służącym, ślepym na jedno oko i, podobnie jak pan, nic nie wiedzącym, jak świat wygląda za granicą wsi naszej. Im bardziej oddalałem się od domu w tej samotnej i niewygodnej podróży, tem częściej myśl moja zajmować się zaczynała stanem moim. Opuściłem familię, jadę daleko, między zupełnie obcych, nie znając ich obyczajów, ani ich sposobu życia, ani przyszłych obowiązków moich, ani postaci, jaką mi przybrać wypadnie. Niekiedy uczucia niespokojności i trwogi opanowały mnie, ale to nie trwało długo; siły, zdrowie, wesołość wieku mojego zacierały wszystko w momencie, zostało tylko miłe wrażenie przyszłego jakiegoś nieokreślonego szczęścia.

Tak podróżując bryczką, najętemi końmi, popasałem i nocowałem wesoło, bo przyszłość ze wszystkimi swoimi wdziękami była ze mną — nakoniec, zbliżając się już do celu mojej podróży o mil kilkanaście, miałem przed sobą wieś pana Glińskiego. Tam spotkał mnie najniespodziewańszy posłaniec, lokaj mo jej siostry, Teresy Sołtanowej, uwiadamiający mnie, że pani jego wyjechała naprzeciwko mnie i że czeka na mnie we dworze rzeczonego pana Glińskiego. To była radość, której wyrazić nie potrafię. Siostra moja wiedziała, ile jestem obcy światu; miłość braterska podała jej myśl wyjechania naprzeciwko mnie, aby mi pomódz i prowadzić za rękę w pierwszych krokach moich. Pod jej opieką przyjęty najprzód uprzejmie w domu Glińskich, widziałem pierwszy raz świat inny, jak familijny i sąsiedzki. Dom ten protestancki składał się z członków znakomitego wychowania. Oj-

ciec, bardzo rozsądny i oświecony, miał dwie, czy trzy córki, z których starsza pisała ładne wiersze i miała wiadomości nie mało. Czterdzieści ośm godzin, przepędzonych w tym domu, były już niemałem ostrzeżeniem dla mnie, jak tam na świecie dziać się będzie.

Stąd wyjechałem już w towarzystwie siostry, wygodnie, karetą jej sześciokonną i z usługą przyzwoitą. Wszystko mi już szło łatwiej przy jej radzie i pomocy, ale pierwsze wrażenia zaczęły już ścierać powoli ten połysk świeżej duszy i hamować to zadowolnienie wewnętrzne, które młodość sprężysta i niedoświadczona chciwie czerpała w różowej przyszłości. Po kilku dniach podróży przyjechaliśmy do Nieświeża, gdzie stał sztab pułku, do którego byłem przeznaczony. Siostra moja znała dowódzcę, pułkownika Dederkę i, nie tracąc czasu, posłała go prosić do siebie. Pułkownik zaraz przyszedł, zostałem przedstawiony i przyjaźni polecony.

Szczęściem w tym pułku było wielu oficerów, którzy znali braci moich, Sołtana i Józefa Weyssenhoffa, mających wówczas znaczenie w Warszawie. Oficerowie ci, przysłani z gwardyi koronnych do tego pułku nowoformowanego, dzielili z całą stolicą wysoką o moich braciach opinię, nie byłem przeto obcy, przyjęto mnie z przychylnością i pobłażano memu niedoświadczeniu.

Siostra moja, ułatwiwszy mnie tym sposobem stawienie się w pułku, odjechała do męża o mil kilkanaście od Nieświeża, a ja już sam zostałem wśród tego, ze wszech miar nowego dla mnie, świata. Niektórzy oficerowie zajęli się mną szczególnie; tymi

byli porucznicy: Jan Kamiński, Doliński i Radziszewski. Oni to zaraz dopomogli mi zrzucić ubiór mój cywilny inflancki, a śpiesznie przywdziać mundur. Siostra niezwłocznie zasiliła moją kasę, której znała szczupłość, — i tak wspierany, prowadzony, nauczany, ujrzałem się rychło kompletnie umundurowanym i uzbrojonym. Świetność tego ubioru wynagradzała trudy i troski pierwszych dni służby. Uznałem potrzebę rychłego obeznania się z obowiązkami nowego stanu: wziąłem za nauczyciela podporucznika Miętę, byłego podoficera z gwardyi. Ten mnie uczył praktycznie służby, musztry, regulaminu i wszelkich powinności wojskowych, a że byłem młody, zdolny i przekonany, że się nie godzi być niebiegłym w tem, czego sam później nauczać miałem, pracowałem szczerze i pomyślnie, tak, że wkrótce zrównałem się z jednymi, a drugich wyprzedziłem, mianowicie tych, którzy, jak ja, przyszli do pułku prosto z cywilnych.

Pułk to był ofiarowany ojczyźnie przez księcia Karola Radziwiłła «Panie Kochanku», jak kilka innych wówczas, przez patryotyzm możnych panów, którym, przez wzgląd na ofiary, rząd udzielił władzę przedstawiania pewnej liczby niższego stopnia oficerów do nominacyi. Nie wszyscy odpowiadali godnie temu dobrodziejstwu: jedni cieszyli się tylko mundurem, inni na czczych zabawach czas trwonili, niepomni na ważność w onym czasie powołania swojego. Później, kiedy się służba uregulowała, jedni z musu, drudzy dobrowolnie, opuścili ją.

Pułk nasz miał numer 8-my piechoty litewskiej. Mundur granatowy z czarnymi abszlegami i srebrnemi ozdobami; numer był na guzikach. Krój munduru

był polskiej kurtki, szarawary z lampasami, czapka z piórem i pałasz u boku. Czasu nie mieliśmy nadto do wydoskonalenia się w mustrze. Zsyłano lustratorów do przekonania się, jak daleko postąpiliśmy, ale wyznać trzeba smutną prawdę, że ci lustratorowie wyobrażenia nie mieli o tem, co im poruczone było. Mianowicie przybył do nas w tym celu książę Mikołaj Radziwiłł, brat marszałkowej Sołtanowej. Ten nic nie widział, nic nie zrobił, nic do pułku nie przemówił i odjechał, zadowolony przejażdżką. Takiej byli zdolności dawni wojskowi, podczas gdy sejm, rozpatrzywszy się w nieładzie powszechnym, organizował wszystko i wojsko razem, postanowiwszy podniesienie kompletu do 100.000. Ten sejm postrzegł dopiero pierwszy, że wszelkich gałęzi urzędy były sinekury, że je kupowano tylko przez spekulacyę finansową, lub przez dumę, że obowiązków, przywiązanych do nich, nikt nie pełnił i za nic je ważył. Wiedząc to, sejm zajął się niezbędnemi ustawami dla wojska; wyrzekł słowo subordynacyi, kazał przełożyć na polski przepis musztry z niemieckiego i rozesłał władzom i pułkom, jako nieodstępne prawidła. Wskutek tego pułki piechoty zaczęły przybierać postać i porządek wojskowy, jazda zaś (litewska) długo nie mogła zrozumieć wyrazów: porządek, subordynacya, ćwiczenia — i podobno nigdy nie zrozumiała.

Wszystko, co tu mówię i potem mówić będę, tyczy się tylko wojska litewskiego, koronne bowiem już było porządniejsze i więcej wyćwiczone; lubo i ono dzieliło ważniejsze nieprzyzwoitości litewskiego, lecz tam generałowie bieglejsi, książę Józef, Kościuszko, Mokronowski i t. d., którzy już byli uczestni-

kami wielkich wojen, zapobiegli złemu swem doświadczeniem.

Widzieliśmy skutki złej organizacyi w kampanii 1792 i rewolucyi 1794 roku, a szczególniej w kawaleryi narodowej, czyli pułkach, brygadami zwanych: pińską i kowieńską. Przez niezrozumiałe nadużycie ta część wojska przywłaszczała sobie exclusive tytuł narodowego: bogatsza szlachta kupowała w niej stopnie, które, okryte brzmiącem nazwiskiem narodowych, miały wielkie prerogatywy; i tak: pułkownik kawaleryi narodowej miał stopień generała-lejtnanta, podpułkownik, czyli vice-brygadyer — stopień generała-majora, i rotmistrz, czyli dowódzca szwadronu — tenże sam stopień. Dalej, porucznik był pułkownikiem i t. d. Większa część tych urzędników nie widziała nigdy swych podkomendnych, skąd wynikło, że przy pierwszym ruchu wojennym, panowie brygadyerowie, vice-brygadyerowie, rotmistrze i t. d., pozostawali bezwstydnie w domu, a nieco młodszych oficerów prowadziło pułki jak mogło. W takowej potrzebie rząd, zostawiwszy tych panów po domach, przysłał na dowódzców oficerów Polaków, przybyłych z wojsk obcych. Takimi byli: Wawrzecki, Chlewiński, Wedelstädt i inni. Wszyscy ci odznaczyli się w potrzebach odwagą i umiejętnością, ale, nim wprowadzili jakikolwiek porządek, walczyć musieli z hydrą najdzikszego nieładu. Jakkolwiekbądź, piechota, zaraz skromniejsza, usposobiona do posłuszeństwa i porządku, licząc oficerów w stopniach właściwych, poddała się skwapliwie nowym urządzeniom, emulowała między sobą o pierwszeństwo w mustrze i służbie, i wkrótce stała się wybornem wojskiem.

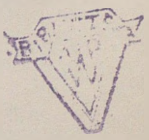

W rok po uformowaniu się (1790) pułk nasz odebrał rozkaz do marszu na Ukrainę dla wzmocnienia wojska koronnego, tam stojącego; toż samo pułk szósty piechoty litewskiej pod dowództwem szefa swojego, Niesiołowskiego, syna wojewody nowogrodzkiego. Tenże rozkaz otrzymała brygada jazdy Kowieńska, aby pewien oddział wysłała z nami. Maszerowaliśmy przeto w ustawicznych zatargach z oddziałem jazdy. Kiedy wypadła potrzeba detaszować co z piechoty, dodając jej nieco jazdy, wtenczas zaczynały się sprzeczki o dowództwo; towarzysz brygady, który był tylko żołnierzem szeregowym kompanii szlacheckiej, nie chciał być pod komendą porucznika od piechoty. Aż nakoniec rząd postanowił, że oficerowie jazdy narodowej będą tylko jednym stopniem wyżsi od piechoty: podporucznik narodowy i porucznik piechoty brali między sobą dowództwo podług dawności patentu.

Powodem marszu na Ukrainę dla wzmocnienia wojska koronnego były wieści, jakoby na kozaczyźnie gotowała się nowa wyprawa na rzeź do Polski, jaką była Humańska. Podobieństwo było wielkie do tego. Zdaje się, iż wzięte środki ostrożności i siła zbrojna, dosyć znaczna, zahamowały ten okropny zamiar. Nie trzeba było, zaiste, sił nadzwyczajnych regularnego wojska, ażeby dać odpór i zniszczyć ten tłum, któryby się, uzbrojony nożami, wylał na naszą ziemię.

Pochód na Ukrainę mieliśmy nie najmilszy. Ciągnąc przez Mińsk, Mozyr, Narowlę do Czarnobyla, szliśmy prawie ciągle lasami. Około Narowli (gdzie nas przyjął wystawnie pan Oskierka w porządnym, murowanym domu, sam ubrany w mundur nasz ge-

neralski), przechodziliśmy także miejsca w lasach pierwotnych, gdzie ledwo co mil kilka jakaś wioseczka, a czasem tylko karczemka licha widzieć się dała. Wieśniacy tych małych osad tak byli dzicy, że za zbliżeniem się naszem, z żonami i dziećmi uciekali do lasów, a my najczęściej do pustej wchodziliśmy osady. Dopiero później, wabieni darami, a szczególniej wódką, wracali pojedyńczo do domów. Wśród takiej pustyni i dziczy zadziwiły nas niemało i mieszkanie, i przyjęcie, i postać pana Oskierki.

Czarnobyl, miasteczko Chodkiewiczów, rozłożone na brzegu Polesia Ukraińskiego, było przeznaczone na stanowisko sztabu pułku 8-go. Tam spocząwszy część zimy, byłem odkomenderowany z połową lejbkompanii na posterunek ku Kijowowi, w miejscu, gdzie Prypeć wpada do Dniepru, — punkt odludny, blizko którego nie było żadnej osady. Pod gołem niebem zatem, osłaniany tylko cieniem starych dębów, rzadko po błoniu rosnących, wśród głodu i wszelkich prywacyów, stałem do końca listopada, to jest około sześciu miesięcy. Wówczas przybył do Czarnobyla nowy nasz pułkownik, Seweryn Rzewuski, który objął dowództwo po pułkowniku Dederce, pozostałym w Nieświeżu. Pan Rzewuski znał moich braci w Warszawie i pewnie miał sobie poleconą opiekę nade mną (miałem wówczas lat siedmnaście). Postanowił zmienić mój oddział w tem przykrem stanowisku; okazując zaś jakieś przyjazne zajęcie się mną, przyjechał sam z kuchnią i piwnicą dla uczczenia i nakarmienia nas po tak długim poście. Można się domyślić, jak nas zobowiązał ten postępek wodza.

Pułkownik Rzewuski miał zwyczaj picia od sa-

INSTYTUT KSZTAŁC. KADR NAUKOWYCH przy KC PZPR BIBLIOTEKA
Biblioteka Tow. wzaj. Pomocy U. U. J. w KRAKOWIE

mego rana codzień, ale był tak mocny, że, mimo największego zbytku, nigdy ani władz fizycznych, ani intelektualnych nie utracał. Był wesoły, dosyć lekceważący wszystko, umiał mnóstwo wierszyków, które na świecie wychodziły, aplikował je szczęśliwie. Jeździec był rzadkiej umiejętności i mocy; na odwadze mu nie zbywało, mógł zostać dobrym żołnierzem, gdyby go bodły albo miłość ojczyzny, albo przynajmniej chęć jakiejś wyższej sławy. Ale on pozostał wiecznie w swoim anakreontyzmie, później służbę porzucił i tak zakończył bez wspomnienia.

Wkrótce przyszło w tamte strony urzędowe ogłoszenie konstytucyi 3-go maja 1791 roku. Z jakimże smutkiem spoglądaliśmy na obywateli owej okolicy, którzy (z małym wyjątkiem) nietylko dobrodziejstwa tej ustawy nie pojmowali, ale, przeciwnie, upatrywali w niej ostateczną zagubę wolności i prerogatyw szlacheckich. Większa część, żyjąc w zupełnej ciemności, nic z tego nie rozumiała. Konstytucya, która kasowała elekcyę królów, nadawała wstęp wszystkim stanom do reprezentacyi narodowej, królowi władzę i powagę potrzebną, sądownictwu niepodległość, administracyi moc dostateczną ku wykonywaniu legalnych urządzeń, która jednym ciosem uderzyła po wszystkich samowolnościach i bezprawiach, — konstytucya taka, mówię, musiała się wydać potworną tym zaślepionym nierządnikom. W tym tłumie znajdowali się ludzie, którzy, więcej oświeceni, powinni byli stanąć przy dobrodziejstwach nowej ustawy; ale głupia pycha, samolubstwo i chciwość rządziły nimi. Pierwszy pan Adam Rzewuski, brat naszego pułkownika, poważył się wydać na świat pisemko przeciwko tej

ustawie, dowodząc między innemi, iż zaprowadzenie sukcesyi tronu było śmiertelnym ciosem dla wolności polskiej.

W rozwinięciu tej ustawy postanowiono w każdym powiecie komisye cywilno-wojskowe, złożone z jednego prezesa, dwóch członków cywilnych, jednego wojskowego i jednego duchownego. Ułatwiać wszelkie interesa policyjno-cywilne, wojskowe i duchowne, było jej atrybucyą, słowem — czuwać nad porządkiem i wykonaniem urządzeń krajowych. Ta magistratura skoro wymówiła raz pierwszy słowa: uszanowanie dla prawa, — wszystko się oburzyło i, lubo nie śmiano się opierać jawnie, przecież, trzymając się dawnych nałogów, opierano się skrycie ile możności. (To się tyczy tylko strony, na którą patrzyłem, gdyż były prowincye, które pojęły i przyjęły chętnie nowe ustawy). W takiem położeniu komisye cywilno-wojskowe, widząc swoją niemoc, przedstawiły ją rządowi, który wydał rozkaz, aby każdej była przydana kompania piechoty pod dowództwem oficera, zasiadającego w komisyi, inaczej — do rozporządzenia komisyi.

W skutku tego rozkazu ja zostałem wysłany z kompanią do miasta powiatowego, Owrucza. Na moje szczęście zastałem tam w komisyi zasiadającego rotmistrza Radomyskiego, człowieka oświeconego i nadzwyczajnej dobroci; doświadczenie jego było mojem zbawieniem: będąc już moim dowódcą, dysponował siłą, której ja dowodziłem; kroku jednego bez jego polecenia nie zrobiłem. Chlubię się tem, że miałem dosyć rozsądku, aby widzieć moją zupełną niewiadomość i niedoświadczenie. Ileż błędów, ile nie-

przyzwoitości światło jego oszczędziło młodemu i porywczemu człowiekowi! Tam trzeba było co moment walczyć z palestrą, to jest ze stekiem mniej więcej młodych próżniaków, prawa niby uczących się, którzy przywykli, chodząc gromadnie po mieście, różnych dopuszczać się bezprawi; często wypełniać polecenia, traktujące ich burdy. Przed niejakim czasem pan Pausza, zwany Sędzią, obrażony wyrokiem sądu ziemskiego, dobrawszy sobie wspólników, wpadł do izby sądowej; sędziowie pouciekali przez okna, a za nimi wyleciało tąż drogą sukno zielone, krucyfiks i reszta sprzętów ze stołu sądowego. Cóżby tu począł młody człowiek, mający siłę zbrojną w ręku? Rotmistrz Radomyski umiał zastraszyć siłą i ułagodzić słowy. Palestra napadała hauptwach, odbić starając się uwięzionych, ale nabito broń, ogłoszono, iż strzelać się będzie i tak powoli wszystko się utarło.

Po ośmiomiesięcznym pobycie moim w Owruczu, pułk nasz otrzymał rozkaz wracania na Litwę, i ja zostałem ściągnięty. Sejm już był powiadomiony o zamiarach sąsiadów, i wojskom, jakie były, zbierać się kazał.

Wojsko litewskie składało się z ośmiu pułków piechoty, z których dwa tylko miały po dwa bataliony, to jest 7-my i 8-my; reszta miała po jednym, i to nielicznym, tak, iż nie było nad 7.000 piechoty. Jazdy dwa pułki, zwane «kawaleryą narodową», tak zwane «brygady»: Kowieńska (350 koni) i Pińska (około 900). Oprócz tego było sześć pułków lekkiej jazdy, «tatarskimi» zwanych, gdyż się po większej części z Tatarów składały. Ta jazda była bez porównania porządniejsza i lepiej wyćwiczona, niż kawa-

lerya narodowa, lepsza zatem była do użycia, zwłaszcza, że duch jej wojenny czynił ją nierównie waleczniejszą od pierwszej. Ubiór i uzbrojenie miała też same, co kawalerya narodowa, abszlegami tylko się różniła: ta miała pąsowe, a narodowa — karmazynowe. Różniły się także tem, że lekka jazda nie miała tej zgubnej prerogatywy wyższości stopni, lecz szła na równi z piechotą. Miało być zatem ogółu jazdy 3.500 koni.

Trzeciej, a tak ważnej broni — artyleryi, liczyć nie można, gdyż, jeżeli było kilka kompanii ludzi, to nie było dział: kilka sztuk trzyfuntowych składało cały park tej armii. Oficerów tej broni mieliśmy dosyć uczonych: takimi byli major Spencherger (?), kapitan Kublicki i kilku innych, ale brak dział zostawiał ich w bezczynności.

Poruszony z Czarnobyla, maszerował nasz pułk prosto pod Mińsk, gdzieśmy już znaleźli wojsko litewskie zebrane. Generał-lejtnant Judycki objął dowództwo całego obozu i już był wskazany na wodza naszego w nastąpić mającej wojnie. Sądząc po jego mężnej postawie, po pięknych wierzchowych koniach i minie zuchwałej, wnosiliśmy, że nas poprowadzi śmiało i ostro, ale, niestety, był to generał, jak wielu innych, posiadający ten stopień za pieniądze, którymi zapłacił swego poprzednika. Rewia zatem nasza pod Mińskiem spełzła na kilku niby manewrach bez sensu, na przeglądach bez celu (gdyż wódz nie wiedział, czego ma żądać od wojska), na obozowaniu bezładnem. Jeżeli tam był jakiś cień służby obozowej, tośmy byli winni jedynie generałowi-majorowi Frankowskiemu, który przybył ze służby pruskiej. Po-

mógł mu szef pułku 5-go piechoty, Paweł Grabowski, czcigodny człowiek, światły i chętny. Uczucie jego szlachetne i męstwo wskazywały mu domysłowo, czego przez doświadczenie nie nabył. Zginął w 1794 r. na Pradze, żałowany od wszystkich, dobrze krajowi życzących. Ci dwaj oficerowie nie byli wszakże w stanie uporządkować w tak krótkim czasie niesforne wojsko, bez pomocy kolegów i podwładnych, dla których wszystko było nowością. (Piechota i lekka jazda były najlepszym duchem ożywione, ale nie miały doświadczenia obozowania i służby polowej).

Po rewii rozeszliśmy się na czas krótki do garnizonów naszych w celu wybrania się zupełnego na wojnę, już grożącą krajowi. Wojska rosyjskie zbierały się ponad granicami naszemi, a król pruski, wypierając się haniebnie swoich zapewnień, zaczął już dwuznacznie odpowiadać naszemu rządowi. Moment właśnie przyszedł, ażeby, podług zapewnień najuroczystszych, dopomógł Polakom bronić tego nowego stanu ich ojczyzny, do którego ich tak usilnie i tak chytrze zachęcał. W sekretnych konferencyach z naszym rządem, miotał obelgi na naród, z którym się potajemnie porozumiewał, nazywał go barbarzyńskim, zachęcając Polaków do trwania w przedsięwzięciu nadania sobie nowej formy rządu; obowiązał się traktatem sekretnym dać im w pomoc 40.000 wojska w razie napaści ze strony Rosyi. Wszystko to czynił dla wciągnięcia głębiej Polaków w przepaść i osłabienia ich własnych środków obrony — nadzieją silnej obcej pomocy. Skoro wojska rosyjskie wkroczyły w nasze granice i zajęły nasz kraj, pruskie rozpoczęły ruch z przeciwnej strony i weszły, niosąc de-

klaracyę króla swojego. Duch tej deklaracyi jawnie dopiero wykazywał dyspozycye rządu pruskiego. Powiedziano w niej:

«Il est connu de toute l'Europe, que la révolution arrivée en Pologne le 3 mai 1791 à l'insu et sans participation des Puissances Amies et voisines de la République, n'a pas tardé d'exciter le mécontentement et l'opposition d'une grande partie de la Nation...».

Takową deklaracyę kończy chytry Prusak temi miodopłynnemi słowy:

«Le Roi aime à se flatter, qu' avec des dispositions aussi pacifiques, il pourra compter sur la bonne volonté d'une Nation, dont le bien-être ne saurait lui être indifférent et à laquelle il désire donner des preuves de son affection et de sa bienveillance» [1]).

Przyłączenie części kraju do Prus, oddanie drugiej Rosyi były tą przychylnością i afektem, wyrażonym w proklamacyi! Potwierdził to dany generałowi Raumer rozkaz blokowania Gdańska; król wyraża w manifeście swoim do tego miasta wyrzuty, że tam się uformowało to towarzystwo, które potem rozlało po całej Polsce duch wolności. Rozdzierającem jest zapewne dla Polaka wyznanie, że tu można przytoczyć bajkę: «Wilk i baran», chociaż ani Prusak nie był siły wilka, ani Polak słabości barana.

Jakkolwiekbądź, wojska nasze zbierały się, ożywione najlepszym duchem, przeciwko postępującym Rosyanom. Szczęśliwa młodość zapowiadała sobie pomyślność, nie widząc niedoli, w którą podstęp pru-

---

[1]) Por. d'Angeberg — Pologne — str. 297.

ski, nikczemność króla własnego i niezdolność wodzów — kraj wtrącić miały.

Wojsko zebrało się pod Stołpcami, miasteczkiem nad Niemnem, o trzy mile od Mira. Tam zajęliśmy pozycyę, wskazującą chęć bronienia przeprawy tej rzeki. Ale za zbliżeniem się nieprzyjaciela, wojsko cofnęło się pod Mir, a nieco kawaleryi zostało dla bronienia przeprawy, a może tylko dla obserwowania. Ten pierwszy krok wyjaśnia już zupełnie bojaźliwe wahanie się Judyckiego. Przybywszy do Mira, przeszliśmy przez miasto, zostawiając je między nami, a prezumowaną dyrekcyą nieprzyjaciela. Takoż w parę dni kawalerya cofnęła się nagle z pod Stołpców, a za nią ukazał się nieprzyjaciel w liczbie groźnej.

Tu na pomoc i ku radzie przybył z Warszawy generał artyleryi, Stanisław Potocki, otoczony licznym sztabem, a nadewszystko mając przy boku oficera pruskiego, majora Kleista (jeżeli mnie pamięć nie zwodzi). Ten major Kleist, emisaryusz pruski, miał być lumen wojny, i jego zdanie miało wiele ważyć na szali naszej rady wojennej. Wypadło tedy z tej rady, skoro się nieprzyjaciel na wzgórzach uszykował, aby iść do niego ową wązką groblą dla atakowania go. Bóg mi jest świadkiem, żeśmy szli z największym zapałem, przebyliśmy żywym krokiem dobrowolnie opuszczone przeszkody, wzdychając powszechnie do starcia się na bagnety. Ale jakąż odkryliśmy nędzę, kiedy już rozwinąwszy się pod silnym ogniem ciężkich bateryi nieprzyjacielskich, z kawaleryą narodową na naszej prawej, ujrzeliśmy też kawaleryę uciekającą w nieładzie dla kilku granatów, rzuconych na nią! Nadto, żadnego z naszych generałów

nie było przy wojsku; tylko major Kleist, przebiegając piechotę po przed frontem, wołał z intencyą widoczną: «Alles ist verloren!». W takim stanie, wrzący chęcią starcia się, staliśmy godzin parę pod ogniem. Wtenczas Paweł Grabowski, szef pułku 5-go (o którym wyżej mówiłem) widząc, że wszyscy dowódzcy nas opuścili, stanął na czele i dla ratowania wojska, które położeniem i nieczynnością swoją dało zupełną wolność nieprzyjacielowi manewrowania i oskrzydlania naszego lewego skrzydła, rozkazał batalionom zwijać się w kolumny i cofać się w porządku. Nie szliśmy już przez miasto i groblę, aleśmy się zaraz obrócili w lewo na trakt Grodzieński. Kawalerya nieprzyjacielska ruszyła na nasz odwrót, ale, przyjęta ogniem piechoty i wystrzałami z trzyfuntowej armatki, zostawionej pod zamkiem Miru, odstąpiła, a my odtąd bez wystrzału cofaliśmy się aż do Grodna. Nieprzyjaciel za nami nie postępował.

Już odtąd nie widzieliśmy żadnego z generałów: Stanisław Potocki wrócił śpiesznie do Warszawy, Judycki do siebie w Mińskie: nie dlatego kupił stopień, aby się wystawiał na trudy i niebezpieczeństwa wojny. Generał Frankowski zachorował po kilku pierwszych wystrzałach nieprzyjacielskich, a major Kleist, zrobiwszy swoje, zniknął. Ze łzami szykowaliśmy się do cofania, tak nieszczęśnie zawiedzeni w naszych chęciach i nadziejach. «Dies irae, dies illa calamitatis et miseriae», — wołał jeden oficer do mnie. Serca nam się krajały: cofać się przed rozpoczęciem bitwy, do której wystąpiliśmy zaczepnie! Kanonady ze strony nieprzyjaciela nie uważaliśmy za rozpoczęcie bitwy; rachowaliśmy tylko na dziel-

ność naszej piechoty, gdyż wiedzieliśmy, że artylerya nasza kilku trzyfuntowemi działami nie mogła walczyć z dwunastofuntowemi nieprzyjaciela.

Przymaszerowawszy do Grodna, znaleźliśmy dwa pułki piechoty: Raczyńskich i Wodzickich, pułk jazdy pod dowództwem majora Wedelstädta i parę bateryi armat sześciofuntowych z haubicami. To wzmocnienie wojska naszego byłoby może skuteczne, ale powtarzane rozkazy królewskie, aby się cofać nie wdając się w żadne bitwy, hamowały wszystko.

Tu objął naczelne dowództwo tego litewskiego i koronnego wojska generałlejtnant Michał Zabiełło. Wrócił do kraju ze służby francuskiej, gdzie służył w pułku Royal-Allemand w stopniu porucznika, lub kapitana, żadnego tam doświadczenia nie nabył, gdyż w czasie służby jego pułk ten nie był w żadnej wojnie. Nauczył się tylko frazesów wojennych w salonach. Był bardzo pięknym mężczyzną, wielkie miał sukcesa u kobiet, i zdaje się, iż to świetne nic, czem się chlubiły salony francuskie, było jedyną korzyścią jego pobytu we Francyi. Gdy jednak wszyscy dowódcy nas opuścili, a Michał Zabiełło zdawał się mieć najwięcej wyobrażenia o wojnie, rząd przeznaczył go nam na dowódcę. Przybył z nim drugi Zabiełło (Szymon podobno?), generałmajor z dawnej służby polskiej. Ten drugi Zabiełło objął dowództwo nad częścią piechoty, do której należał i nasz pułk 8-my.

Tu odebrałem nominacyę na porucznika z dnia 13 czerwca 1792 roku [1]).

---

[1]) Patent podpisany przez króla Stanisława Augusta,

Ruszyliśmy zatem z pod Grodna, cofając się ku Warszawie dwiema drogami: wódz naczelny jedną, a generał-major Zabiełło drugą. Rozkazy królewskie, naglące coraz bardziej do cofania się bez wystrzału, były tej dyspozycyi powodem. Jakkolwiekbądź, wodzowie nasi, nie chcąc mieć miny zatrwożonej, mimo rozkazów królewskich, stawili opór nieprzyjacielowi pod Grannem i pod Brześciem dość energiczny i nie bez straty nieprzyjacielskiej. Poczem jużeśmy się cofali bez wystrzału aż do Siedlec, gdzie nas zastał rozkaz królewski rozejścia się na stanowiska, przeznaczone w szczególności dla każdego pułku. Dla pułku 8-go piechoty litewskiej przeznaczony został Płońsk w Płockiem.

Jaki smutek, jaką konsternacyę i jakie narzekanie zrządziły w wojsku te ostatnie dyspozycye trudno sobie wystawić. W wojsku koronnem książę Józef Poniatowski, Kościuszko i Mokronowski, po odebraniu podobnych rozkazów, nie mogąc się oprzeć królewskiej woli, odesłali królowi natychmiast krzyże orderu «virtuti militari», które im za świetne utarczki pod Zieleńcami i Dubienką król konferował, sami zaś, odprawiwszy wojsko na stanowiska, kraj opuścili.

Wśród tej nieszczęsnej kampanii, król, naglony przez gorliwych posłów sejmu, wówczas jeszcze obecnego w Warszawie, porozumiawszy się z wodzami nieprzyjacielskimi, udał, jakoby chciał sam stanąć na czele rozerwanego wojska. Wojsko to nieliczne, bo

---

nosi datę 13 sierpnia 1792 roku. Znajduje się w archiwum wydawcy.

wynosiło tylko 6.000, ale wyborowe, składające się z gwardyów, najlepszych pułków i wybornej artyleryi, ruszyło do Warszawy i z niem wielu posłów uzbrojonych pod Pragą do dalszego pochodu gotowało się. Król z ekwipażami wojennymi ruszył także na Pragę, ale tam dogoniony przez przyjaciółki swoje, panie Grabowską i Aleksandrowiczową, i przez podkanclerzego Chreptowicza, głównego swojego doradcę, przychyliwszy się do ich łez i przekładań, po wspaniałym obiedzie na Pradze, wrócił do Warszawy i wojsko za sobą pociągnął.

Sejm się rozpierzchnął w różne strony, złorzecząc królowi i jego szlachetnej radzie. Większa część udała się za granicę, a szczególnie do Lipska. Nastało w kraju panowanie Kossakowskich, Zabiełłów, Massalskich, Ankwiczów, a król wzgardzony, wyzuty ze wszelkiej powagi, siedział w swoim seraju i używał życia, które nad wszystko cenił.

Tymczasem pułk nasz 8-my stał w Płońsku aż do końca roku 1792, poczem otrzymał rozkaz wracania do Litwy, do przeznaczonych dla siebie Stołowicz [1]). Rozkazy te wydane już były przez nowych hetmanów. Wojsko litewskie zostawało pod wodzą hetmana Kossakowskiego, przybyłego generał-lejtnanta wojsk rosyjskich. W miasteczku Stołowicze staliśmy do stycznia 1793 roku, nie wiedząc nic, co z tego wyniknie, kiedy w końcu stycznia ujrzeliśmy równo ze dniem wszystkie ulice miasteczka zajęte przez piechotę rosyjską i bateryę armat na rynku. Pułko-

---

[1]) Zapewne Stwołowicze w powiecie Nowogrodzkim, miasteczko na połowie drogi między Słonimem a Nieświeżem.

wnik Essen, dowódzca tej wyprawy w towarzystwie Barclay de Tolly, wówczas podpułkownika w pułku strzelców, a później feldmarszałka, otrzymał to łatwe zwycięstwo. Oficerowie nasi wszyscy byli pojedyńczo odesłani do domów z uwolnieniem od służby, żołnierze zaś zabrani do umieszczenia w szeregach rosyjskich.

Biblioteka Tow. wzaj. Pomocy U. U. J. w KRAKOWIE

Biblioteka Tow. wzaj. Pomoc U. U. J. w KRAKOWI

ROZDZIAŁ II.

Rewolucya w 1794 r. — Pobyt Weyssenhoffa u przyrodniego brata Sołtana w Zdzięciole. — Wieści o rewolucyi. — Aresztowanie i wywiezienie Sołtana do Kazania. — Wybuch rewolucyi w Wilnie 23 kwietnia. — Naczelnik Jasiński. — Błąd, popełniony przez generała Giedroycia. — Weyssenhoff zostaje adjutantem Jasińskiego. — Potyczka pod Niemenczynem. — Rząd tymczasowy na Litwie. — Potyczka pod Sołami. — Odwołanie Jasińskiego przez Kościuszkę. — Generał Michał Wielhorski. — Wojsko wychodzi z Wilna do Weronowa. — Niebezpieczeństwo Wilna. — Weyssenhoff niesie wiadomość o tem do obozu w Weronowie. — Marsz z Wilna do Grodna. — Porównanie Jasińskiego z Wielhorskim. — Weyssenhoff mianowany przez Kościuszkę majorem w 8-ym pułku jazdy litewskiej, który organizuje nad Narwią. — Kapitulacya pułku. — Upadek rewolucyi.

Po rozpuszczeniu pułku tym sposobem, udałem się do Zdzięcioła, dóbr brata mego, Sołtana, który, wróciwszy z za granicy, siedział z familią w domu. Obietnic nie szczędzono, aby go wciągnąć w nowy skład rzeczy, obiecywano mu zwrot jego dawnego urzędu marszałka nadwornego z pomnożoną pensyą, ale on nadto szlachetnie czuł i myślał, aby się dał

uwieść tym powabom, i mimo bardzo uszczuplonych dochodów i mnogich interesów, pozostał w domu.

Mieszkałem czas jakiś w domu tego brata wśród najmilszej i wybornie wychowanej familii jego. Patrząc na wyższość tego towarzystwa, doświadczając codziennie korzyści oświecenia i umiejętności, których nie posiadałem, uczułem dopiero potrzebę nabycia onych. Jakoż przy pomocy codziennego obcowania przykładałem się gorliwie do nauk, do czytania wskazanych mi pisarzy. Obeznałem się z językiem francuskim tak, że mogłem już czytać w nim z korzyścią.

Odwiedziłem na krótko Inflanty, gdzie już nie zastałem matki; skropiwszy łzami grób jej i uściskawszy braci, wróciłem do Zdzięcioła, gdyż tu mnie wabiła sposobność doskonalenia się umysłowego. Rezygnacya, spokojność mojej bratowej, jej słodki charakter i wesołość wrodzona czyniły to pożycie miłem.

Wtem zbliżył się rok 1794. Wieści o nastąpić mającej rewolucyi zaczęły się upowszechniać. Niewiele osób w Polsce wiedziało o niej coś pewnego, publiczność czuła tylko jej nieuchronność. W pierwszych dniach marca przyjechał do brata Sołtana p. Prozor, mieli z sobą tajemną rozmowę, po której Sołtan zdał się być znękany. Przepowiednie rewolucyi szerzyły się coraz bardziej. Wtem, ranka pewnego, ujrzeliśmy mieszkanie brata mojego otoczone wojskiem rosyjskiem (ja stałem w osobnej oficynie), wszystkie drogi do zamku przecięte; nikomu nie pozwolono wyjść z domu. Po niejakim czasie, przepędzonym wśród najboleśniejszej niepewności, pozwolono mi pójść do brata, gdzie zastałem stroskaną fa-

milię i rotmistrza Kulbakowa, dowódzcę szwadronu, który konsystował w miasteczku Zdzięciole. Rotmistrz ten oświadczył, że z rozkazu wyższego aresztuje pana Sołtana, kiedy jednak otrzyma słowo, że aresztowany nie oddali się nigdzie z domu, to go zostawi bez straży. Brat mój dał wymagane słowo i w rzeczy samej nie był niepokojony przez parę tygodni. Aresztujący go rotmistrz był sam widocznie w strachu, wiedział bowiem, jakie miał Sołtan znaczenie i miłość u ludzi. Nie mylił się, gdyż w dniu aresztowania przysłał do mnie generał Giełgud wiadomość, że wpadnie ze zbrojnymi do Zdzięcioła, wytnie cały tam stojący szwadron i uwolni Sołtana. Rządca dóbr Zdzięcioł, p. Guzelf, stary rębacz sejmikowy, wyrywał się już do pomocy generałowi Giełgudowi. Sądząc, że nic takiego przedsięwziąć nie można bez zezwolenia samego Sołtana, udałem się do niego, ale, jak przewidywałem, zaklinał mnie, abym odwrócił ten zamach, który mógłby ściągnąć nieobrachowane nieszczęścia na jego familię i na wszystkich uczestników tego czynu (zwłaszcza, że się jeszcze nic w kraju nie zrobiło). Jakoż posłałem zaraz do generała Giełguda, donosząc mu o stanowczej woli brata mego, a staremu Guzelfowi kazałem spokojnie iść do domu. Tak w smutnem oczekiwaniu spędziliśmy parę tygodni, poczem brat mój otrzymał rozkaz udania się do Mińska sam, jeżeli się dobrowolnie podda, pod strażą, jeżeli będzie się opierał. Wyboru nie było, bo opór był szkodliwy i nadaremny. Wybrał się zatem Sołtan, a ja, przewidując, że podróż jego nie zakończy się na Mińsku, uprosiłem, że mi pozwolono towarzyszyć mu. Przybywszy do Mińska, zostaliśmy osa-

dzeni pod silną strażą w jakimś klasztorze. Następującej nocy wszedł od generała-gubernatora Tutulmina przysłany urzędnik, który oświadczył Sołtanowi, że powóz jego jest zaprzężony, że zaś ja mam zostać w Mińsku. Wyrazić nie potrafię ani mojej rozpaczy, ani wzniosłości duszy brata mojego. Żegnając, upominał mnie, abym się uczył znosić ze spokojem razy nieprzyjaznego losu, wymawiał mi, że płaczę; poczem uściskawszy mnie, wsiadł do powozu i odjechał wśród najciemniejszej nocy. Około 9-ej rano przyszedł do mnie pułkownik Sacken (później feldmarszałek), pocieszając mnie, że brat mój wkrótce wróci, że to są burzliwe czasy, które rychło miną; «après l'orage viennent les beaux jours» — powtarzał i wreszcie zaprosił mnie na obiad tegoż dnia do generał-gubernatora Tutulmina. Chory ze zgryzoty, musiałem się poddać tej konieczności. Tutulmin zdawał się być tknięty stanem moim, pocieszał mnie i dał mi list do Sołtanowej, w którym ją upewniał, że oddalenie męża niedługo będzie trwało. Przybycie moje, bez brata, do Zdzięcioła, jakie zrobiło wrażenie, wyobrazić sobie można: długom czekał, nim nareszcie przemówić mogłem. List generał-gubernatora, który ja przedstawiałem za bardzo ważny i zabezpieczający, osłodził nieco gorycz żalu żony i dzieci i już spokojnie opowiadać mogłem smutne nasze zdarzenia. Wszakże, mimo wszystkich obietnic, brat mój był przez trzy lata trzymany w Kazaniu. Bratowa musiała się schronić w czasie rewolucyi za granicę z siostrą naszą, czworgiem dzieci i guwernantką. Majątek cały zasekwestrowano i nie uwolniono z pod sekwestru, aż za powrotem jej do kraju.

W ciągu tego coraz wybitniej mówiono o rewolucyi. Rząd, przekonawszy się o istnieniu tego zamiaru, podwoił surowość. Na domysł aresztowano kilku oficerów artyleryi w Wilnie, między innymi majora Spencerbergera (?) i porucznika Kołłątaja. Starano się schwytać i Jasińskiego, pułkownika od inżynierów, ale ten, w czas ostrzeżony, zdołał się wymknąć. Nie odstępując jednak od projektu powstania, którego był duszą i naczelnikiem, przychodził do Wilna w ubiorze kominiarza dla układania się z oficerami 7-go pułku piechoty, którego batalion, liczący 400 głów, stał podówczas w mieście. Jakoż z niewypowiedzianą zręcznością i odwagą dokonał swego przedsięwzięcia [1]). Uwiadomiony, że już Kościuszko ogłosił powstanie w Krakowie, przybył nocą do Wilna i tak dobrze rozrządził tą małą siłą konsystującego wojska naszego, że po kilkugodzinnej pracy zabrał cały garnizon rosyjski (2.500 głów) w niewolę, jego dowódzcę, generała Arsenjewa, a co większa — hetmana Kossakowskiego. Ten ostatni zaraz nazajutrz był sądzony i powieszony na rynku miasta.

Wróciwszy do Zdzięcioła, krótko się tam bawiłem: opatrzywszy się dobrze w konie wierzchowe i broń, udałem się do Wilna. Przybyłem tam w parę dni po rewolucyi. Pułk 8-my piechoty dopiero miał być reorganizowany; wiedziałem, że tam długo nie będzie nic do roboty, starałem się więc czynnie umieścić. Adjutanci generała Jasińskiego: Tyszkiewicz, Pociej, Granowski, proponowali mi, abym się starał o miejsce adjutanta przy nim; oni byli bez doświad-

---

[1]) Dnia 23 kwietnia 1794 roku.

czenia i zupełnie obcy służbie, ja zaś byłem już lat kilka czynnym, widziałem jaką taką wojnę, — pożądanym zatem byłem towarzyszem. Generał nie chciał powiększać sztabu, lecz Granowski, ojciec adjutanta, będąc w przyjaźni z generałem, zawiózł mnie do niego i otrzymał moją nominacyę.

Tymczasem organizowało się co mogło i jak mogło według planu Jasińskiego. — W Wilnie wszystko się doskonale udało, ale pułki jazdy, które miały w momencie wybuchu wpaść na Pohulankę (o małe pół mili od miasta), gdzie stał generał rosyjski, Tuczkow, z 40 armatami i jednym tylko batalionem osłony, — nie przyszły na czas. Ten plan był najłatwiejszy do wykonania, ale generał Giedroyć, dowódzca tej jazdy, nie uskutecznił tego marszu w dniach przepisanych. Nadto uwiadomiony, iż dwie kompanie rosyjskiej piechoty stały o dwie mile od jego drogi, chciał odnieść łatwe zwycięstwo i zboczył z całą jazdą; tym sposobem spóźnił się o 48 godzin, tych dwu kompanii nie zabrał i z rąk wypuścił 40 dział, generała i batalion piechoty. Tak często niweczy najmędrsze zamiary nieudolność podwładnych. Generał Jasiński tak wyrachował łatwy pochód rzeczonej jazdy, iż w jednym czasie byłyby się spełniły: i rewolucya w mieście i zabranie stanowiska pod Pohulanką. Ta przeciwność wielką zrobiła zmianę w zamiarach naczelnika. Generał Tuczkow, po pierwszym wystrzale w mieście uciekał spiesznie w kierunku do Grodna, gdzie stał znaczny oddział ich wojska; pogoń za nim wysyłać było za późno, a nadto pod Niemenczynem, o trzy mile od Wilna, stało parę batalionów rosyjskiego wojska, ale zbyt szczupłe siły

nie pozwalały w tem położeniu opuścić stolicy. Niewypowiedziane złe już się stało: Tuczkow, cofając się nagle do Grodna, przeszedł kraj ogniem i mieczem, i wsparł liczną artyleryą stojący tam korpus.

Giedroyć był jednak później uwielbiany za swój patryotyzm; roku 1815 otrzymał emeryturę generał-lejtnanta, niejeden stronnik jego byłby w kłopocie, gdyby go zapytano, za co? Piąć się do wysokich stopni bez nauki i zdolności jest grzechem śmiertelnym przeciwko towarzystwu i patryotyzmem bardzo podejrzanym.

Zasmucone powstanie tym wypadkiem, musiało jednak myśleć o dalszem działaniu. Nie tracąc czasu generał Jasiński wykomenderował trzy bataliony z dwoma armatami na wojsko stojące pod Niemenczynem. Pułkownik 7-go pułku, Stefan Grabowski, dowódzca oddziału, otrzymał rozkaz wpaść z bagnetem na nieprzyjaciela i zniszczyć go. Przewaga naszych sił (zwłaszcza, że pułk lekkiej jazdy miał razem napaść z drugiej strony) usprawiedliwiała ten rozkaz. Ale pułkownik Grabowski, puściwszy na obóz rosyjski kilka strzałów armatnich, sądził, że znajdzie go łatwym do poddania się i rozpoczął układy. Pułk jazdy przybył w czasie parlamentowania i nie działał, a dowódzca rosyjski, profitując z czasu, stanął do broni i takie objął stanowisko, że później atakowanym być nie mógł bez wielkiego ryzyko, a my nie mogliśmy w tych szczupłych początkach wystawiać się na straty. Układy zerwano i bataliony rosyjskie uszły cało. Tak się wszystko nie darzyło w początkach prócz działań naczelnika.

Wśród tego postanowiono rząd tymczasowy; za-

siedli w nim dwaj czcigodni starcy: wojewoda Niesiołowski i Karp, bogaty obywatel Upicki. Kiedy ostatniemu przyniesiono list w czasie sesyi z doniesieniem, że nieprzyjaciele zniszczyli mu zupełnie dobra i dwory popalili, on z wypogodzoną twarzą rzekł kolegom swoim: «to są bagatele, które nas teraz zajmować nie powinny». Tembardziej zadziwiające, że Karp był zawsze zbyt skrzętny.

Generał Jasiński (którego odtąd naczelnikiem nazywać będę) nie był zadowolony z gorliwości majętniejszej szlachty: oświadczenia były bez brzegów, a ofiary szczupłe i leniwe; bez funduszów trudno było formować wojsko i kampanię czynnie rozpoczynać. Cokolwiekbądź, wojska, rozpuszczone przez Kossakowskiego, ściągały się śpiesznie do Wilna i wkrótce zebrało się do 6.000 piechoty i jazdy. — Rosyanie ze swojej strony zbierali się i organizowali korpusy armii.

Wiadomość przyszła, że generał Bennigsen zebrał znaczny oddział około Oszmiany. Naczelnik nasz postanowił ruszyć zaraz ku niemu. Znaleźliśmy go pod Sołami za Oszmianą; stał w pozycyi leśnej za rzeczką niełatwą do przebycia. Przybyliśmy do Sół, gdzie nieprzyjaciel miał tylko małą straż. Tę spędziwszy, naczelnik oglądał rzeczkę, którą łatwo było przejść pod miasteczkiem, bo most był dobry i niebroniony, a ponieważ ta rzeczka płynęła ku nieprzyjacielowi, chodziło o to, aby w tej leśnej pozycyi wiedzieć z pewnością, po której stronie jest cała siła nieprzyjaciela. W celu dowiedzenia się wysłał naczelnik mały oddział jazdy po tej stronie, po której byliśmy. Do tego oddziału przyłączył się pan Giecewicz, sła-

siły połączyć. Generał Jasiński ze swojej strony czynnie się zajmował organizowaniem nowych sił, aby potem działać podług okoliczności. Rosyanie, postrzegłszy znaczne siły gotowe do obrony, cofnęli się o mil kilka od Wilna.

Wtem naczelnik Kościuszko, będąc już pod Warszawą, przysłał rozkaz gen. Jasińskiemu, aby, zdawszy tymczasowo dowództwo generałowi Michałowi Wielhorskiemu, sam pośpieszył do Warszawy dla rozmówienia się z nim. Generał Jasiński domyślił się, że to było tylko złagodzenie rozkazu odwołania i niezmiernie zmartwiony wyjechał do Warszawy, zostawiając nas tymczasem i cały sztab swój przy nowym dowódzcy.

Generał Wielhorski miał może więcej doświadczenia, ale nie miał ani gorliwości Jasińskiego, ani korzyści wodza, który tak świetnie rzecz rozpoczął: siły zbrojne zorganizował, rząd ustalił, mimo przeciwności posiadał powszechne zaufanie, poznał swoje wojsko i przekonał się, na które indywidua rachować można. Nadto generał Wielhorski, przybyły z wojska austryackiego, zrażony był nieformowym ubiorem naszego żołnierza, wojny gwałtownej, rewolucyjnej, wcale nie pojmował i działał zimno, bez zaufania.

Skoro nieprzyjaciel cofnął się od Wilna, generał Wielhorski, zostawiwszy słaby oddział w mieście, sam z wojskiem udał się w przeciwnym kierunku, o 8 mil, pod Weronów, sądząc zapewne, że tym sposobem bardziej będzie trzymał na wodzy nieprzyjaciela. W mieście komenderował generał-lejtnant Jerzy Grabowski, poczciwy i dobrze chcący. Adjutanci generała Jasińskiego byliśmy jemu zostawieni. Rosya-

nie, dowiedziawszy się o oddaleniu się naszego wojska, poczęli zbliżać się do miasta i ranka jednego ukazały się już znaczne ich siły w blizkości. Generał Grabowski przybiegł sam do naszej kwatery, i zaklinając na miłość ojczyzny, rozkazał, aby jeden z nas biegł na koniu jak najśpieszniej i uwiadomił generała Wielhorskiego o zbliżaniu się nieprzyjaciela do Wilna. Jako mający najwięcej doświadczenia, ja byłem wybrany, siadłem na najlepszego konia mojego i ruszyłem natychmiast. Wybiegłszy z miasta, przejeżdżałem gatunek okopu, którego bronił generał Meyen z pułkiem swoim 3 im piechoty, żołnierz waleczny i doświadczony. Ten mi ukazał nieprzyjaciela, rozpowiedział o jego sile i ostrzegł, abym jak najostrożniej jechał, gdyż pola i lasy pełne kozaków. Mając tylko ustne powierzenie, nie bałem się, aby mi depeszę wzięto; sunąłem tedy śmiało w drogę z wielkiem zaufaniem w koniu moim. Jakoż wśród tej jazdy i pogoni onej przebyłem pierwszą milę i stanąłem w obozie, nie straciwszy jak dwie i pół godziny na ujechanie 8 mil. Kiedym uczynił mój raport gen. Wielhorskiemu, pułkownik Stefan Grabowski, dzisiejszy sekretarz stanu, uczynił niepochlebną dla mnie uwagę, że podobne ustne raporta są przesadzone. Ja, zasmucony tą uwagą w nagrodę mojej gorliwości, a może i odwagi, odpowiedziałem, że moją powinność spełniłem, powiedziałem co mi powierzono, dodałem com widział, zresztą dowódzcy rzeczą było postąpić, jak osądzi.

Jakkolwiekbądź generał Wielhorski kazał ruszyć całemu obozowi i śpiesznie maszerował ku miastu; przybyliśmy tam dnia następnego wcześnie. Miasto

mężnie odparło kilka ataków. Nieprzyjaciel, ujrzawszy nasze rozwijające się siły, cofnął się o parę mil, a my spokojnie weszliśmy do miasta. Znaleźliśmy tam nieukontentowanie, wyrzucano Wielhorskiemu, że nie był obecny z wojskiem przy obronie miasta; dały się nawet (jak bywa pospolicie w podobnych wypadkach) słyszeć wyrazy «zdrada». Niesłusznie, bo któż wie, czy to stanowisko opodal miasta nie było rzeczywistą przyczyną ocalenia onego: oglądając się na odsiecz, przybyć mogącą, nieprzyjaciel nie mógł śmiało nacierać.

Po kilku dniach spokojnego pobytu w Wilnie, sztab cały generała Jasińskiego odebrał jego rozkaz udania się niezwłocznie do Grodna. Ruszyliśmy więc, niezbyt bezpieczni, pókiśmy się nie oddalili o mil kilka od miasta. W Grodnie zastaliśmy naszego generała bardzo zasmuconego. Był już przekonany, że wszystko zginęło i przyjął nas, mówiąc: «Ja ojczyzny nie przeżyję; jeżeli los mi odmówi śmierci na pobojowisku, to się ucieknę do tych przyjaciół», wskazując na krucice, które miał zawsze w kieszeni. W rzeczy samej Jasiński czuł, że gdyby został przy dowództwie wojska litewskiego, byłby się jeszcze długo opierał siłom nieprzyjacielskim, a może i korzyści odnosił, tak był czynny, gorliwy i tyle miał powszechnego zaufania. Wielhorskiego osądził, jak on był w istocie: zimny, austryacko-metodyczny, do wojny obywatelskiej zupełnie niezdatny. Przewidział także Jasiński, że raporta Wielhorskiego spowodują Kościuszkę do wydania mu polecenia, aby się cofał ku Warszawie.

A tymczasem król pruski z 40.000 swojego woj-

ska i 20.000 Rosyan, stanął pod Warszawą. Wszystko to, pogorszone odwołaniem, Jasińskiego do rozpaczy doprowadzało. Naczelnik Kościuszko dał mu teraz komendę nad oddziałami wojsk, działających nad Narwią, gdzie, częścią dla przeważnych sił pruskich, częścią dla nieudolności dowódzców, zastał same klęski i dezorganizacyę. Cny Jasiński poddał się bez mruczenia temu ubliżającemu rozkazowi i wziął się zaraz do uporządkowania nowej komendy.

W kilka dni po przybyciu do Grodna, posłał mnie generał z depeszami do naczelnika Kościuszki. Łaskawie przyjęty, odprawiony byłem odwrotnie przez naczelnika, który mi wręczył nominacyę na majora pułku 8-go jazdy litewskiej i pożegnał najpochlebniejszymi wyrazy.

Wróciwszy do Grodna, wysłany zostałem przez Jasińskiego pod Wiznę do oddziału powstania Karwowskiego, z poleceniem reorganizowania pułku 8-go jazdy, który tam, oprócz niedokładnej organizacyi pierwiastkowej, był przez Prusaków do reszty rozdrobniony. (Po wysłaniu mnie nad Narew generał Jasiński wrócił znowu do swego litewskiego wojska, a generał Wielhorski nie wiem jakie otrzymał przeznaczenie). Robiłem, co mogłem, i w krótkim czasie uformowałem dosyć porządne trzy szwadrony, na niezłych koniach i dosyć dobrze uzbrojone; ale to było wszystko nowe — i oficerowie, i żołnierze, i konie; tylko dwaj oficerowie, Tatarzy, znali nieco służby. Piechota Karwowskiego była nieco lepsza; jednakże z takiem wojskiem cudów robić nie można było. Szczęściem mieliśmy Prusaków przeciwko sobie; zastarzeli, zadowoleni bytem swoim, moralni więcej,

niż żołnierzowi potrzeba, nie mieli chęci wystawiania się na hazardy bitew i niewiele byli dzielniejsi od nas, oponując nam tylko porządek i wielką regularność służby. Starliśmy się kilka razy z nimi w małych utarczkach, bezkorzystnie wzajemnie.

Nakoniec wiadomość o bitwie Maciejowickiej i okropnej katastrofie Pragi ostatków nadziei i zapału pozbawiła wszystkich. Chcąc się dostać za Wisłę, atakowaliśmy w rozpaczy Prusaków pod Magnuszewem za Narwią z niejaką korzyścią (w tej bitwie zabito konia pode mną; pożyczyłem drugiego, za którego dopiero 1822 r. zapłaciłem p. pułkownikowi Nowowiejskiemu 50 dukatów). Ale nazajutrz, otoczeni zbyt przeważnemi siłami nieprzyjaciela, zmuszeni byliśmy do kapitulowania. Siły nasze wynosiły około 800 głów; kapitulowaliśmy z nieprzyjacielem w czystem polu, który liczył kilkanaście tysięcy i liczną artyleryę. Dowódzca Prusaków, książę Holstein-Beck, traktował nas z wielkimi względami i pozwolił po niejakim czasie wrócić do Warszawy, gdzie już wszystko było w ręku Rosyan, — wróciłem do Warszawy w towarzystwie Wodzińskiego i majora Sarnickiego. Tu się skończył pierwszy akt mojego zawodu wojskowego.

Biblioteka
Tow. wzaj. Pomocy
U. U. J.
w Krakowie

ROZDZIAŁ III.

1795—1805. — Inflanty polskie pod koniec XVIII wieku. — Dom Szadurskich. — Podróż do Drezna. — Smierć Józefa Weyssenhoffa w Pizie 30 grudnia 1798 roku. — Ciągle dalsze kształcenie się Jana Weyssenhoffa. — Podróż z Tadeuszem Tyszkiewiczem na Zachód. — Paryż. — Stosunki z Bonapartem, Cambacèresem, Lebrunem. — Kościuszko. — Towarzystwo polskie. — Zajęcia naukowe. — Teatra paryskie. — Choroba.— Dalsza podróż. — Pamiętnik przerwany.

Po przebyciu kilku miesięcy w Warszawie, w ciągu których bywałem w domach przyjaciół braci moich, a szczególnie u księcia Józefa «pod Blachą», otrzymałem list od bratowej Sołtanowej, proszący mnie, abym bez zwłoki udał się do Grodna dla ułatwienia jej interesów, tam toczących się. Pojechałem natychmiast i, dopełniwszy szczęśliwie polecenia, wróciłem do Inflant. Głuche mi się zdawało to spokojne i bezczynne życie, które tam prowadziłem u braci moich, u stryjenki w Rybiniszkach i u przyjaciół Szadurskich. Czas mój cały, którego wszystkie chwile teraz do mnie należały, podzieliłem między nauką, polowaniem i obcowaniem z oświeconymi przyjaciółmi.

Z tego względu najpożyteczniejszym dla mnie był pobyt w Puszy u Józefa Szadurskiego. Swiatło, religijna moralność, wychowanie, uprzejmość — cechowały ten dom. Sam gospodarz był nauką, miłą konwersacyą i najprzyjemniejszym charakterem znakomity. Liczna familia miała jego wzór i posiadała jego przymioty. L'abbé Verdier, który dwa pokolenia w tym domu wychował, był ze wszech miar godzien poważania i miłości tej zacnej familii. Biblioteka wyborowa, liczna, gabinet fizyczny, dobrze zaopatrzony, jakich się w domach prywatnych nie spotyka zwykle, podawały mi sposobność nabywania nauk, zwłaszcza za pomocą światłego abbé Verdier, którego dobroć nigdy rad nie odmawiała. Temu domowi winienem może najlepsze i najprzyjemniejsze chwile życia mojego. Przebywałem także często w domu Ksawerego Szadurskiego, młodszego brata Józefa, który miał moją siostrzenicę za żonę i mieszkał w Rozenthofie, o milę od Puszy. Gościnność i wychowanie były tam te same, co w Puszy, ale nic naukowego.

Inflanty w tej epoce (mówię tylko o Inflantach polskich, to jest powiatach: Rzeżyckim, Lucyńskim i Dynaborgskim) odznaczały się między wielu prowincyami polskiemi elegancyą obyczajów, wyższem oświeceniem i upodobaniem w zbiorach naukowych. Warklany, mieszkanie wojewody bełzkiego, Michała Borcha, posiadały w przepysznym pałacu, wśród ogrodu tak wykwintnego, jak tylko klimat tamtejszy pozwalał, rzadkiej piękności bibliotekę, liczną i wyborem znakomitą, zbiór bogaty rycin i wiele innych drogich ciekawości. Życie prowincyonalne wielu obywateli było wprawdzie, jak wszędzie: starodawne go-

spodarstwo, zabawy, polowania cały czas zabierały; ale wielu też było takich, którzy, wyżej wznosząc się myślą, przykładali się do nauk i pomiędzy sobą znajdowali wszystkie pomoce i elementa do tego.

Wśród tego przyjemnego i użytecznego życia odebrałem list od pani Jerzyny Tyszkiewiczowej, z domu ks. Lubomirskiej, uwiadamiający mnie, że brat mój, Józef, chory na suchoty w Dreźnie, życzy, abym tam przyjechał dla zajęcia się jego interesami i opiekowania się, w przypadku zgonu, córką jego, Teklą, dziś żoną p. Ludolfa, ambasadora neapolitańskiego w Londynie. Nie tracąc czasu, pojechałem do Drezna: znalazłem tam brata już w ostatnim stopniu konsumpcyi, wyprawianego do Włoch przez doktorów, którzy stracili wszelką nadzieję ratowania go. W kilka miesięcy po przybyciu mojem, brat wyjechał do Włoch, mając ciągłe hemoragie; resztę chwil wolnych mógł podróżować. Chciałem mu towarzyszyć, ale wyż wspomniane przyczyny zmusiły mnie do zostania w Dreźnie. Jakoż, we cztery miesiące po opuszczeniu Drezna, brat mój zeszedł z tego świata w Pizie [1]). Powszechnie był w Dreźnie od wszystkich znakomitych ludzi żałowany, a mianowicie od dyplomatów obcych, z którymi żył najściślej. Chargé d'affaires angielski, pan Grey, skoro się dowiedział o zgonie, przyszedł zaraz do mnie i ze łzami w oczach rozwodził się nad godnością charakteru i wysokiem oświeceniem zmarłego. Smutek mój był pomnożony całą miłością braterską, którą czułem do niego; długo

---

[1]) Umarł w Pizie d. 30 grudnia 1798 roku, pochowany w Livorno.

Biblioteka Tow. wzaj. Pomocy U. U. J. w Krakowie

oswoić się nie mogłem z tem nieszczęściem. Zacząłem później bywać w niektórych domach, ale najwięcej czasu poświęciłem naukom. Metrowie matematyki, języka francuskiego i łacińskiego, następowali po sobie w przeciągu połowy dnia. Poświęcałem też parę godzin na dzień na dawanie lekcyi arytmetyki i geometryi synowicy mojej, sądziłem bowiem, iż trzeba kobiety zajmować nieco temi ponuremi naukami, dla hamowania ich popędu do lekkich i błahych wiadomości, które później świat, towarzystwo, skłonność naturalna, a nawet potrzeba w dzisiejszych obyczajach, aż nadto prędko i obficie w nich rozwijają.

Nigdy żałować nie przestanę, że bardzo wiele czasu strawiłem na nauce muzyki. Powinienem był przewidzieć, że życie pracowite, które widocznie los mi gotował, nie zostawi mi ani czasu, ani sposobności do uprawiania tego talentu. Suma kilku godzin dziennie, przez lat kilka straconych na to ćwiczenie, zaniechane z musu w przyszłem życiu, nic mi nie zostawiła, prócz żalu po stracie czasu. Muzykę zawsze lubiłem namiętnie; obce talenta byłyby mi dały używać tego rozkosznego uczucia, bez mego usiłowania: jak się później stało.

W roku 1800, zostawiwszy synowicę moją opiece księżnej Stolnikowej Czartoryskiej, wyjechałem do kraju. Inflanty tylko przebiegłem, na Litwie odwiedziłem brata Sołtana, już wówczas wróconego z niewoli. Miło mi było przepędzić czas niejaki w Zdzięciole. Te same osoby, też charaktery, a córki Sołtana już dorosłe, Karolina i Anna, pomnażały jeszcze przyjemność i wesołość tego towarzystwa.

Nie zostałem tam jednak długo, gdyż Tadeusz Tyszkiewicz, mój dawny kolega adjutanctwa przy Jasińskim, pisał do mnie z propozycyą jechania razem do Paryża. Przyjąłem skwapliwie ten projekt i pojechałem natychmiast do Grodna, gdzie zastałem mojego towarzysza i panią hetmanową Tyszkiewiczową z córką Anną, dzisiejszą panią Wąsowiczową. Jako należący do familii, mój kolega miał wolny wstęp do domu pani hetmanowej, a ja, jako przyjaciel jego, byłem także dobrze przyjmowany. Miłe dni przepędziliśmy w tym domu. Pani hetmanowa aprobowała nasz projekt i nawet życzyła szczerze, abyśmy go przywiedli do skutku, wyrażając pochlebną dla mnie opinię, że dla pana Tadeusza byłem wybornym towarzyszem, jako już nieco oswojony z obcym światem i jego obyczajami.

. . . . . .

NOTA WYDAWCY. — Opis długoletniej podróży po Europie zajmuje dużo miejsca. Część tę «Pamiętnika» skracamy znacznie; sam autor przerywa swe wspomnienia z podróży, aby przejść do wypadków roku 1806. Charakterystyczną cechą tych kart pominiętych jest żądza wiedzy i poszanowanie dla nauki, którem odznaczał się młody podróżny, a zapewne i jego towarzysz. Tyszkiewicz i Weyssenhoff dążą przez północne Niemcy, Hamburg, Bruksellę do Paryża. W Brukselli poznają Ludwika Morstina, podróżującego ze swym mentorem, Borawką. Wspólny cel i upodobania łączą trzech młodzieńców, i zawiązuje się między nimi istne stowarzyszenie, w celu wyzyskania wędrówki po cudzych krajach, stowarzysze-

nie przyjazne i rozumne. Podróżują razem przez parę lat systematycznie, w sposób, prawie zaniedbany dzisiaj, a jedyny, gdy kto chce osiągnąć kulturalną korzyść z podróży. Bawią się — zapewne, ale zwiedzają też pilnie muzea, gmachy i pomniki, zabierają znajomość z ludźmi, i to z najwybitniejszymi, studyują, a nietylko oglądają po wierzchu obce życie. Weyssenhoff, już 27 lat liczący, chodzi na wykłady uniwersyteckie, zaprzyjaźnia się przytem z profesorami i pozostaje z niektórymi w korespondencyi przez długie lata.

Wielka postać Napoleona, dosięgającego w tej epoce szczytu swej potęgi, pociąga, oczywiście, młodego oficera; stara się zobaczyć go z blizka, poznać — i, za pośrednictwem posła rosyjskiego, Markowa, przedstawia się w St. Cloud pierwszemu konsulowi. Rozwodzi się potem nieco nad sprawą Pichegru i Moreau, nie chcąc wierzyć, aby generał Moreau, «bohater z pod Hohenlinden», należał do brudnego spisku przeciw Napoleonowi.

Dalej pisze nasz pamiętnikarz pod rokiem 1802:

Po prezentacyi u pierwszego konsula i jego małżonki, staraliśmy się z moim towarzyszem, Tyszkiewiczem, widzieć przynajmniej nieco pierwsze towarzystwo paryskie, to widmo, które odurza świat cały. Byliśmy na zgromadzeniach wieczornych u obu konsulów, Cambacérèsa i Lebruna, i w kilku innych domach.

Protekcya naczelnika Kościuszki, który raczył nas prezentować, ułatwiła nam wszystko. Hołd i uszanowanie, które wraża cnota, tu były dowiedzione ja-

wnie. Naczelnik Kościuszko nie posiadał nic z tego, co czyni człowieka poszukiwanym w wytwornych towarzystwach paryskich; Napoleon go nie lubił, bo skromna cnota nie może mieć nic wspólnego z niezmierną i geniuszem wspartą ambicyą. Stronnicy Napoleona stosowali się do zdania swego wodza, a przecież wszystkie podwoje były otwarte dla Kościuszki, imię jego nie było wspominane obojętnie przez nikogo. Byli i tacy, którzy, posiadając zaufanie Napoleona, nie kryli się jednak ze swą szczególną przyjaźnią i wysokim szacunkiem dla naszego Kościuszki. Takim był między innymi Gaspard Monge, uczony znany całemu światu. Pod protekcyą więc Kościuszki widzieliśmy świat paryski; formy towarzyskie były okazałe, a grzeczność powszechną zaletą.

Nie było wszakże naszym celem, a szczególnie moim, rzucić się w odmęt towarzystw i zabaw: zaspokoiwszy naszą ciekawość, wróciliśmy do życia zatrudnionego. Metrowie i kursa w Luwrze, w Collège de France, w ogrodzie botanicznym zaczęły nam zabierać dzień cały, a wieczory były poświęcone teatrom, które nas niewypowiedzianie zajmowały.

Talma w tragedyi zaczynał już być wzorowym. On pierwszy, jak miejscowi twierdzili, wprowadził naturę, prawdę i wierny obraz myśli na scenę; dotąd była tylko nadęta deklamacya. Zmienił także postać powierzchowną bohaterów Racine'a, Corneille'a etc., przybierając starannie ubiór ich wieku, zamiast sukien dworskich z czasów Ludwika XIV-go i peruk, w których dotąd występowały Agamemnony, Augusty etc.

Panny Georges i Duchesnois były właśnie na-

ówczas debiutantkami i walczyły o pierwszeństwo; pierwsza miała za sobą nadzwyczajną piękność, druga talent. Publiczność cieszyła się pięknością pierwszej, ale drugiej, chociaż nieładnej, oddawała palmę, Geoffroy zaś, krytyk uczony i bardzo dowcipny, walczył z publicznością, przyznając wszystko pięknej pannie Georges.

Na teatrze, «Francuskim» zwanym, świecił niezrównany Henry i wielu innych aktorów i aktorek; panna Mars zaczynała wtenczas swój świetny zawód i już jej imię w afiszu mnożyło liczbę spektatorów.

Opera wielka z baletem była najwspanialszem widowiskiem. Orkiestra była bez wątpienia pierwszą w Europie: ani liczbą, ani talentami, ani harmonią nie miała sobie równej. Rudolf Kreutzer był na jej czele. Śpiew zaś, nawpół deklamowany, był aż do śmieszności nieznośny. Nie można było jednak tego wyznać Francuzom, którzy mieli tę dwurodzajową mieszaninę za najwyższy stopień doskonałości liryczno-dramatycznej. Mnie ten spektakl mało bawił, ale za to komedya francuska nadzwyczajnie zajmowała. Tam najczęściej bywałem, zwłaszcza, kiedy grał Fleury.

Co do zatrudnień naukowych — w domu miałem metra matematyki i języka włoskiego, a chodziłem na publiczne kursa fizyki Charlesa, chemii Vauquelina, mineralogii Haüy'ego [1]). Bywałem także na

---

[1]) Słynny mineralog René Haüy zaprzyjaźnił się z Weyssonhoffem, a widząc jego zamiłowanie i zdolność do studyów przyrodniczych, chciał go przy swej katedrze na uniwersytecie paryskim jako współpracownika zatrzymać. (List Haüy'ego 20 czerwca 1805 w arch. wyd.).

kursach filozofii, historyi naturalnej Cuviera i fizyologii roślin Desfontaine'a. Wielki zrobiłem zbiór samych wypisów moich z tych kursów, ale w czasie kampanii w 1812 roku zostawiony w domu Tyszkiewicza w Poniemuniu (?), zabrany był, lub rozszarpany, wraz z wielu notami mojej podróży, przez plądrujące wojska.

Krótko przed nami przybyli do Paryża podkanclerstwo Platerowie z całą prawie liczną swoją familią. Miałem przyjemność chodzić na kursa z niektórymi z ich synów. Towarzystwo nasze codzienne było od początku pomnożone przez dwóch Wielopolskich. Starszy z nich, Ignacy, wdowiec, miał za sobą siostrę rodzoną naszego Morsztyna; młodszy — Jan. Obadwaj dobrze wychowani, podróżujący w tymże celu, co i my, harmonia przeto jak największa ustanowiła się między nami sama przez się: razem jadaliśmy, razem uczyli i razem używali wszystkich rozrywek. Tak w najmilszem towarzystwie przepędziłem w Paryżu przeszło siedm miesięcy.

W końcu tego czasu odebrałem z Litwy list, donoszący mi o śmierci bratowej Sołtanowej, którą nadzwyczajnie kochałem. Im mniej byłem wówczas usposobiony do smutnych wrażeń, tem okropniej mnie ta wiadomość uderzyła. Zachorowałem w dni parę na straszną żółtaczkę. Trzech doktorów karmiło mnie lekarstwami przez kilka tygodni i byliby mnie niezawodnie wyprawili na tamten świat, gdyby nie pan Stanisław Mniszech, który przywiózł do mnie doktora pani Zamoyskiej, Gérarda; ten kazał natychmiast wyrzucić za okno słoiki i pudełka z lekarstwami, i bardziej hygienicznie traktować mnie zaczął.

W przeciągu paru tygodni powstałem na nogi. Tu oświadczył p. Gérard, że, dla odzyskania sił i pozbycia się czarno-żółtego koloru skóry, niezbędna jest, abym odmienił powietrze, oddalając się z Paryża na czas niejaki. Towarzystwo nasze było tak ścisłą przyjaźnią połączone, że interes każdego z osobna był interesem wszystkich w ogóle. Naradziwszy się zatem, postanowiliśmy podróż do Szwajcaryi; a że nie wszyscy mieli równie długo bawić we Francyi, i przed opuszczeniem onej chcieli jeszcze przebiedz niektóre jej prowincye, przeto był ułożony i wykonany plan następujący: Morsztyn z Borawką zwiedzą południową Francyę; Wielopolscy — zachodnią i północną, a ja z Tyszkiewiczem — Belgię i Hollandyę. Poczem, na umówionych etapach zbierać się mamy po drodze i razem udać do Szwajcaryi.

NOTA WYDAWCY. — Następuje opis podróży po Belgii i Hollandyi, poczem autor «Pamiętnika» postanawia «opuścić kilka lat w opowiadaniu i przeskoczyć do najważniejszej epoki życia mojego — do roku 1806». Dowiadujemy się z tej notatki, że «Pamiętnik» rozpoczęty został w roku 1841, a ciągniony dalej w marcu 1842 roku. Wiemy skądinąd, że Jan Weyssenhoff z Hollandyi udał się do Szwajcaryi, następnie do Włoch. W dwa lata później spotykamy go znowu w Dreznie. Jeżeli z Włoch nie powrócił do kraju, pobyt jego za granicą przeciągnął się do czterech lat.

ROZDZIAŁ IV.

1806—1808. — Weyssenhoff wymyka się z Warszawy przez straże pruskie do obozu generała Dąbrowskiego. — Zostaje adjutantem Dąbrowskiego. — Organizacya wojska w Poznańskiem. — Marsz Dąbrowskiego ku Gdańskowi. — Utarczki około Tczewa 13 lutego 1807 r. — Oblężenie Gdańska. — Weyssenhoff zostaje gros-majorem, a rzeczywiście dowódzcą pułku 4-go piechoty. — Epizody z oblężenia, tyczące się udziału armii polskiej. — Kapitulacya Gdańska. — Bitwa pod Friedland 14 czerwca 1807 r. — Pokój w Tylży. — Dywizya Dąbrowskiego odesłana na zimowe leże. — Reorganizacya wojska polskiego. — Pułk 4-ty dostaje Nr. 12-ty i stanowisko w Rawiczu. — Weyssenhoff reorganizuje ten pułk, zostaje pułkownikiem 29 lipca 1808 roku i dowódzcą pułku. — Odkomenderowany do Torunia.

Świetne zwycięstwa Napoleona w roku 1805 pod Austerlitz, a w roku 1806 pod Jeną i Auerstädt, uprzątnęły mu wszelkie przeszkody do postępowania dalej ku północy. Jakoż w końcu października 1806 roku wkroczyły jego przednie straże w granice nasze do województwa poznańskiego. Wiedział dobrze Napoleon, jakie dyspozycye umysłów znajdzie w tym kraju i dlatego wysłał naprzód generała Dąbrow-

skiego ze swoją awangardą do Poznania z poleceniem, aby tam, stosownie do danych mu instrukcyi i upoważnień, przy pomocy przednich straży, które już wszelkie miejscowe przeszkody uprzątnęły, zapowiedział rychłe przybycie cesarza na czele zwycięskiego wojska, ogłosił powszechne powstanie Polski i wezwał wszystkich dawnych wojskowych do stawienia się w głównej kwaterze w Poznaniu. Sama tylko niemożliwość, pochodząca z wieku, stanu zdrowia, lub niepodobieństwa wymknięcia się z pod bacznych straży wojsk nieprzyjacielskich, zajmujących jeszcze cały prawie kraj, prócz części Poznańskiego, była wymówką niestawienia się.

Przemoc oręża francuskiego, upokorzenie całego kontynentu, prócz reszty Północy, — wszystkie te uwagi nie dały znękanym wątpić o przyszłej pomyślności i nadzieje zamieniły w pewność. Uwagi te wszakże były niepotrzebne: wrzała w sercach polskich pamięć niepodległości i żądza onej; dość było sposobności. Poświęcenie bez granic stało się powszechnem. Spokojni obywatele i dawni wojskowi cisnęli się wszyscy do generała Dąbrowskiego, ułatwiając mu spieszną formacyę siły zbrojnej narodowej.

Kiedy tak się poczynało w Poznaniu, pruskie i rosyjskie wojska, cofnąwszy się ku Warszawie, zajmowały forpocztami brzegi Bzury aż po Sochaczew i pilnie strzegły wszelkiej komunikacyi z Wielkopolską, grożąc śmiercią, w razie ujęcia, tym, którzyby z Warszawy do nowo formujących się wojsk dostać się usiłowali.

Ja bawiłem wówczas w Warszawie i żyłem w ścisłym związku z Aleksandrem Pociejem, Tadeu-

szem Tyszkiewiczem, Downarowiczem, oficerem z legionów, Wasilewskim, także legionistą, wyglądając pory połączenia się z naszymi, skoro o zwycięstwach pod Jeną i Auerstädt wieści nas doszły. W tem generał Dąbrowski, przybywszy do Poznania, zaczął działanie swoje od proklamacyi do wszystkich Polaków, jak wyżej powiedziano. Mimo wszelkie ostrożności straży przednich i policyi, proklamacya ta, lotem ptaka, wpadła do stolicy. Downarowicz pierwszy ją wynalazł i ranka jednego, kiedyśmy na zwyczajną radę naszą zebrali się u Pocieja, rozłożył ją przed nami. Zostawiam czytelnikom do domyślenia się, jakie było nasze zdziwienie i radość. Wynikło z rady, że jeden z nas ma się jak najrychlej dostać do generała Dąbrowskiego, dać mu wiadomość o dyspozycyi umysłów polskich i razem o stanie i położeniu wojsk nieprzyjacielskich, zajmujących stolicę z okolicami. Rzuciliśmy okiem na siebie. Ja byłem najmocniejszy, najzdolniejszy przeto do tej trudnej i niebezpiecznej podróży, nadto najlepiej mówiący po francusku i najbardziej obznajomiony z obyczajami Francuzów; prosiłem o pierwszeństwo — zgodzili się. Chodziło tylko o sposób dostania się do Poznania, a szczególnie wymknięcia się z pomiędzy przednich straży prusko-rosyjskich, które wszystkie drogi ku tamtej stronie zajmowały i bacznie kontrolowały. Milczenie było powszechne, jakby myśl ta była niepodobieństwem. Wtem odezwał się Pociej: «ja mam żydka zaufanego, który nam da pewno dobrą radę». Posłano natychmiast po niego. Zwierzyć się mu z całego naszego zamiaru było rzeczą niebezpieczną — tak myśleliśmy wszyscy — ale Pociej zaręczył, więc odkryliśmy mu

nasz zamiar i pytaliśmy o radę. Po niejakim namyśle rzekł żydek: «ja odstawię pana, który chce jechać, aż do Łowicza, dokąd już straże rosyjskie ani pruskie nie sięgają, ale pod warunkiem, że ten pan ściśle zachowa, co mu furman, dany przeze mnie, doradzi». Tak sekret nasz stał się sekretem kilku żydów, wszelako przystaliśmy na wszystko. W parę godzin stanęła przed nami bryczka, trzema końmi zaprzężona, młody żydek woźnica, nieco tylko słomy na dnie bryczki dla pozoru wracającego furmana z Warszawy.

Nie namyślając się zatem, wziąwszy tylko czapkę na głowę i trochę złota do kieszeni, pożegnałem moich przyjaciół. Droga prowadziła szczęściem przez gęste lasy. Żydek, postrzegłszy z daleka patrol kozacki, idący ku nam, kazał mi zeskoczyć z bryczki i skryć się w las, a postępując, zasłoniony, w kierunku drogi, złączyć się z nim, skoro patrol się oddali. I tak pomyślnie się udało. Drugi raz stanął mój furman przy karczmie w lesie dla wytchnięcia koniom; wtem nadszedł wielki patrol kirasyerów pruskich i stanął przed tąż karczmą. W tem krytycznem położeniu ledwo miałem czas schronić się za karczmę, gdzie oczekiwałem z biciem serca, co się dalej stanie; za małym ogródkiem był zaraz las gęsty, a zatem w ostatnim razie ucieczka dla mnie. Lecz, dzięki Bogu, dowódzca patrolu pogadał tylko z żydkiem, który był bardzo przytomny i doskonale swojej roli pamiętny, wojsko oddaliło się, a my spokojnie dalszą podróż ciągnęliśmy, nie spotykając odtąd nikogo, a żydek wkrótce powinszował mi, że już wszystkie niebezpieczeństwa

minąłem. Jakkolwiekbądź, do miasta Łowicza jeszcze niespokojny wjeżdżałem.

Tam naprzód spotkałem pułkownika Łączyńskiego, który wrócił z legionów i zapewniał mnie, że już tu spokojny być mogę, a uwiadomiony o celu mojej podróży, doradził mi, abym jechał z nim do jego wsi, Kiernozi, skąd obowiązał się odesłać mnie aż do Poznania. Przyjąłem z ukontentowaniem tę propozycyę poczciwego Łączyńskiego, zwłaszcza, że wielki wrzód na gardle zaczął mi okrutnie dokuczać. Przybywszy do Kiernozi, zastałem tam starego felczera domowego, Polaka, i byłem starannie opatrzony, — a nie chcąc tracić czasu, prosiłem, aby mię jak najprędzej wyprawiono. Podróż dalsza już nie była niebezpieczna, ale trudniejsza, niż odbyta, gdyż wojska francuskie, postępujące już wszystkiemi drogami (dla złych dróg, zimna i deszczów) zabierały wszędzie konie i wozy pod swoich chorych, nie oszczędzając i podróżnych. Wypadało zatem manowcami się przebierać. W tym celu uradził Łączyński ze swoim starym, że ja pojadę wózkiem jednokonnym i że mnie powiezie ten stary felczer, który doskonale znał całą przestrzeń kraju aż do Poznania; był przytem wzgląd i na to, że ja potrzebowałem być opatrywany. Przenocowawszy zatem, ruszyłem z moim woźnicą, przewodnikiem i doktorem w dalszą podróż. Wązkie dróżki, kamieniste i korzeniste, odzywały się na gardle silnym bólem, ale trzeba było wytrwać. Postępując dalej, wypadło nakoniec wyjechać na wielką drogę. Zbliżając się do Sempolna, spotkałem przednią straż. Był to pułk szaserów konnych pułkownika Exelmans. Adjutant pułkowy, rozstawiający

wedety po przed miastem, przybiegł do mnie, a wypytawszy, bardzo grzecznie mnie pożegnał, przydając mi szasera do przeprowadzenia do pułkownika. Tam byłem uprzejmie przyjęty; wypytywał się pułkownik o wszystko, co go interesować mogło, potem zaprosił na obiad, a doktorowi pułkowemu kazał mnie opatrzyć. Dał mi wreszcie list do marszałka Davoust w Poznaniu, radząc, abym się zaraz do niego udał, i że w sztabie jego będę korzystnie umieszczony. Przenocowawszy w małej jakiejś izdebce w towarzystwie piętnastu szaserów, którzy mi całą noc oka zmrużyć nie dali, wyjechałem równo z dniem dalej. Z trudnością przebyłem tę resztę drogi, rozmijając się z wojskiem, parkami, bagażami etc. pod zasłoną mojego listu i stanąłem w Poznaniu około 11-ej rano, prosto przed kwaterą generała Dąbrowskiego.

Uszczęśliwiony byłem serdecznem przyjęciem generała; pomny na dawną przyjaźń z bracią moimi w Warszawie, oświadczył mi zaraz, że zostanę przy nim. Gdy mu powiedziałem, że mam list do marszałka Davoust, kazał mi go sobie podać, mówiąc, że go sam wręczy, ale dodał, że ma za złe młodzieży lepiej wychowanej, że się ciśnie do sztabów francuskich wtenczas, kiedy formujące się wojsko polskie potrzebuje jej właśnie. Wiedziałem, co stąd wyniknie, że ani mój list nie dojdzie marszałka, ani ja go widzieć nie będę — i tak się stało. Generał, wiedząc, że byłem majorem w jeździe z nominacyi naczelnika Kościuszki w 1794 roku, przedstawił mnie Napoleonowi na szefa szwadronu, adjutanta swojego. Otrzymał nominacyę natychmiast i od 20 grudnia 1806 r.

zostałem adjutantem przy jego boku [1]). Wystawić sobie trudno, jak wielką czynność piśmienną dzieliliśmy ze starszym adjutantem, Pakoszem: korespondencye, rozkazy, raporta zajmowały nam dzień i noc prawie.

Formacya wojska postępowała śpiesznie: jeńce pruscy, Polacy, byli wielkim dla nas zasiłkiem; mieliśmy między nimi podoficerów już wyćwiczonych i większą część oficerów; wszyscy tak chętnie szli do tej służby ojczystej, jak byli nieprzychylni, a przynajmniej obojętni w dawnej obcej służbie. Oficerowie wyżsi z legionów, którzy przybyli z doświadczeniem i znajomością nowych urządzeń służbowych francuskich, mieli sobie powierzony kierunek organizacyi szczegółowej i instrukcyę pułków formujących się. Sierawski, Downarowicz, Wasilewski byli najgorliwsi. Nadto, wraz z przybyciem Napoleona, uformowano gwardyę honorową z dwudziestu (?) młodych ludzi pierwszych familii dla pełnienia służby przy jego boku. Dowódzcą onej był Jan Nepomucen Umiński. Po wyjeździe cesarza z Poznania gwardya ta była rozpuszczona i w większej części umieszczona na oficerów w jeździe formującej się.

Napoleon, mając na widoku, aby znakomitsi obywatele wielkopolscy wciągnięci byli osobiście w to

---

[1]) Nominacya z podpisem Dąbrowskiego (arch. wyd.) ciekawa z powodu wyliczenia wielkich orderów generała.

»Z kwatery głównej Warszawy dnia 20 grudnia 1806 r.

Jan Henryk Dąbrowski, generał dywizyi, ozdobiony orderem Wielkiego Orła Legii honorowej, kommandor orderu Królewskiej Korony Żelaznej. Nominacya JmcPana Jana Weyssenhoff na rangę podpułkownika adjutanta przy mnie... i t. d.

ogólne powstanie, lub (jak mówili niektórzy) kompromitowanie się, nominował pułkownikami czterech formujących się pułków piechoty: ks. Sułkowskiego z Rydzyny, Łąckiego, Mielżyńskiego z Pawłowic i Ponińskiego z Wrześni. Ci nowi pułkownicy objęli dowództwo pułków porządkiem, jak tu wypisani. Młodzi ludzie, bez doświadczenia i zupełnie obcy temu zawodowi, obowiązek tylko mieli, aby każdy, ile możności, przyczynił się swoim funduszem do formacyi pułku. Wiadomo, jak świetnie usprawiedliwili ten nawiasowy wybór ks. Sułkowski i Mielżyński. Pułkownik Poniński dzielił trudy i niebezpieczeństwa swojego pułku aż do pokoju Tylżyckiego; Łącki tylko sam osądził się niezdolnym i pułku nigdy nie widział. Pułkowników z legionów: Axamitowskiego i Kosińskiego nominował Napoleon generałami brygady, poczem oni objęli dowództwo brygad, składających legię Dąbrowskiego. Kosiński był zaraz wysłany przez Dąbrowskiego do Bydgoszczy dla organizowania wojska tam i w okolicy.

Rozpoczęta przez generała Dąbrowskiego organizacya w Poznańskiem była już prawie dokonana ku końcowi grudnia. Dywizya jego (którą wówczas nazywano legią) składała się z czterech pułków piechoty, zajmujących stanowiska w Lesznie, Zdunach, Pawłowicach i Rawiczu, oprócz mniejszych przybranych miasteczek. Każdy pułk składał się z dwóch batalionów, każdy batalion z sześciu kompanii, z których dwie wyborowe, — jedna grenadyerów, druga woltyżerów, cztery środkowe — fizylierów. Kompanie były znaczne: po 150 samych żołnierzy. Ubiór prawie kompletny: kurtka narodowa z abszlegami;

12 pułk piech { I 6 batal. 1 gren., 2 - woltyż., 3 4 5 6 - fizyl.
II batal.

płaszcze, lubo różnokolorowe, mieli wszyscy, niemniej bieliznę i obuwie. Nie było tylko ani patrontaszy, ani tornistrów; torby płócienne zastępowały miejsce tornistrów, ale, nie chroniąc od wilgoci, nie wielką oddawały usługę; ładunki zaś, których każdy żołnierz miał po kilka ledwo, mieściły się po kieszeniach kurtki. Ale doświadczony generał Dąbrowski umiał wzniecić zapał w piersi każdego żołnierza i takie zaufanie w bagnecie, że wszyscy dość mało dbali o resztę.

Prócz piechoty, uformowały się też zawiązki dwóch pułków jazdy: jeden staraniem Sokolnickiego, zwanego «krzykaczem», majętnego starego człowieka, w mieście Kościanie, a drugi Garczyńskiego we Wschowie. Sokolnicki, uformowawszy oddział mniej więcej 180 koni, ustąpił go Janowi Umińskiemu, oddział zaś Garczyńskiego przyprowadził już ku Gdańskowi do M.... (?) kapitan Cielecki.

Napoleon, kazawszy wzmocnić dywizyę jedną bateryą artyleryi polowej francuskiej pod dowództwem porucznika Charles, przysłał rozkaz generałowi Dąbrowskiemu, aby ze swojem całem wojskiem ciągnął niezwłocznie przez Bydgoszcz, Świeć, ku Gdańskowi, i rozpoczął działanie na lewym brzegu Wisły. Generał wyprawił dywizyę w kierunku nakazanym, a sam udał się do Warszawy. Pakosz i ja towarzyszyliśmy mu.

Pochód dywizyi był przykry; mrozy, czasem śniegi, to znów błota kujawskie utrudniały marsze, ale zapał wszystko zwyciężał ochoczo. Było to w pierwszej połowie stycznia 1807 roku. Generał, załatwiwszy się w Warszawie, wrócił do swego wojska.

BIBLIOTEKA JAGIELLOŃSKA Nr ..... KRAKÓW

i kiedy ono przyciągnęło pod Bydgoszcz, przybył do tego miasta. Tu znaleźliśmy kompanię piechoty już uorganizowaną i ubraną kompletnie. Lecz pułk ułanów, formowany tam przez pułkownika Dziewanowskiego i jego kosztem, choć dotąd miał tylko dwie, i to niekompletne kompanie, był najważniejszym posiłkiem dla dywizyi. Oddział ten tworzył się z rozproszonego pułku pruskiego, zwanego pułkiem Towarzyszów, składającego się z samej szlachty, zwabionej do służby tem tak mile brzmiącem nazwaniem w uszach Polaka. Mimo nader małej liczby (gdyż w początkach tylko 80 koni liczyły) dwie te kompanie, połączone z postępującem wojskiem, stały się postrachem jazdy nieprzyjacielskiej. Męstwo nieustraszone, zręczność w walce, znajomość służby garnizonowej i polowej, ożywione zapałem serc szlachetnych, odznaczały tych bohaterów. Przez jakąś wzniosłą zuchwałość ci pruscy niegdyś Towarzysze nie chcieli zdjąć swoich przeszłych mundurów, lubo wiedzieli, jaki każdego z nich los czeka, gdyby był ujęty, — a to dlatego, aby nieprzyjaciel wiedział, z kim walczy. Do dawnych swoich szako dodali tylko końskie ogony dla ustrojenia kasków. Na czele tych kompanii stanęli niezrównani oficerowie: kapitan Łojewski i porucznik Radoszkowski, obydwaj z tegoż dawnego pułku.

Za przybyciem generała do Bydgoszczy, pułkownik Dziewanowski posunął się ze swoją jazdą i kompanią piechoty ku Świeciowi, formując tym sposobem przednią straż wojska. Już tu wzwiady przechodzące Czarną Wodę (Schwarzwasser), rzekę, płynącą pod Swieciem, i patrolujące ku Grudziądzowi, zaczęły

spotykać patrole nieprzyjacielskie i rozpoczęły się utarczki małych oddziałów prawie zawsze z korzyścią naszych. Generał Dąbrowski, dawszy spocząć wojsku w Bydgoszczy dni parę, wyruszył do Świecia, rozkazawszy przedniej straży posuwać się naprzód do Nowiu (Neuenburg), wysyłając dla wiadomości i bezpieczeństwa małe oddziały w prawo, wzdłuż Wisły, i w lewo, w głąb kraju.

Tak postępując wśród częstych małoznaczących utarczek patrolowych, dywizya stanęła w końcu stycznia w Nowiu, a przednia straż posunęła się do Gniewu (Mewe), dokąd rychło i dywizya pośpieszyła. Od tego punktu postępowanie naprzód było wolniejsze. Zbliżano się już do twierdzy Gdańska, której dowódzca, generał Kalkreuth, mając 17.000 załogi, wysyłał częste i mocne oddziały na wszystkie trakty. W kierunku ku Gdańskowi, o dwie i pół mili od twierdzy, jest miasteczko Tczew (Dirschau), położone bardzo korzystnie i zdolne uporczywej obrony. Generał Dąbrowski osądził ten punkt ważnym i wzięcie onego niezbędnem dla zabezpieczenia postępu ku Gdańskowi. Przednia straż otrzymała przeto rozkaz zajęcia i uskuteczniła to bez wielkiej trudności. Prusacy jeszcze nie byli osadzili tego położenia dostateczną załogą, co dopiero później uczynili, jak następnie zobaczymy. Część przedniej straży, to jest szwadron Umińskiego i kompania Gołaszewskiego, zajęły Tczew, a w tymże czasie kompania piechoty Bystrama zajęła miasteczko Starogród (Stargardt). Twierdza Gdańska podwajała baczność, wysyłając znaczne siły, które wstrzymywały postępowanie naszej prze-

dniej straży; walczono jednak vario Marte mimo szczupłości naszych.

W Tczewie szef szwadronu, Umiński, uwiadomiony przez mieszkańców, że oddział nieprzyjacielski, złożony z różnej broni, znajduje się w Amt Sobbau (?), o milę od Tczewa, na pół drogi do Starogrodu, wysłał tam kapitana Suchorzewskiego z kompanią swego szwadronu, i dodał mu Gołaszewskiego ze strzelcami pieszymi, których, dla pośpiechu, wieziono na saniach. Kapitan (później generał) Suchorzewski, służąc kiedyś w legionach, mimo wielkiej młodości, nie był bez doświadczenia: spokojne i rozważne dyspozycye, niezachwiane w żadnym razie męstwo, zawsze go odznaczały. Spełnił to poruczenie: wpadł do Amtu, zabrał kilku jeźdźców nieprzyjacielskich i odbił kilku naszych jeńców, ale oddziału, o którym była mowa, już w Amcie nie zastał, powziął tylko wiadomość, że się udał nagle do Starogrodu dla napadnięcia tam kompanii Bystrama. Wkrótce potem nadeszła wiadomość, że nieprzyjaciel dokonał swego zamiaru i że rozbrojoną kompanię Bystrama uprowadził ku Gdańskowi. Kiedy się to stało, przybył do Starogrodu pułkownik Dziewanowski ze swoją jazdą. Gonić za nieprzyjacielem było pierwszą myślą, lecz uwaga, że już za późno, a twierdza blizko, skłoniła pułkownika do wrócenia z całem wojskiem do Tczewa. Lecz w marszu, o pół mili od tego miasta, postrzeżono ten cały oddział nieprzyjacieiski z zabraną naszą kompanią, ciągnący przez pola ku wielkiemu traktowi Gdańskiemu. Nie namyślając się, porwał pułkownik swoją jazdę i ruszył ku niemu.

Nieprzyjaciel, zagrożony tym gwałtownym ruchem, zatrzymał się i uszykował do boju, a dla przedłużenia swojej linii, postawił w niej naszą zabraną kompanię. Nie dać się rozpatrzeć nieprzyjacielowi, rzucić się zapamiętale na niego, zmusić go do złożenia broni, było czynem jednego momentu dla Dziewanowskiego, który namyślać się nie lubił. Dwie kompanie piechoty, kilkadziesiąt jeźdźców (gdyż reszta jazdy pierzchnęła) i dwa lekkie działa dostały się w ręce zwycięscy, — ale co jego tryumf chlubniejszym i milszym wojsku czyniło — to odbicie własnej utraconej kompanii w zupełnej całości. Siła nasza, która tego dokonała, nie dochodziła stu jeźdźców, licząc w to i oficerów.

To pomyślne zdarzenie sprawiło najpożądańszy skutek na moralność naszego nowego żołnierza, ale obok tego wznieciło w pułkowniku Dziewanowskim taką przesadną zarozumiałość i taką pogardę nieprzyjaciela, że wszelkich zaniechał ostrożności. I tak, zamiast odesłać spiesznie jeńców i zboczyć do głównej kwatery do Gniewu, niepomny na blizkość twierdzy, wrócił ze wszystkiem do Tczewa, a rozkazawszy jeńcom broń złożyć i zostawić w kozłach na rynku (przez niepojętą niebaczność!) kazał wszystkich wraz z własną odbitą kompanią umieścić w ratuszu, wojsku zaś swojemu rozkwaterować się po mieście, jak najwygodniej, bez wszelkiej ostrożności, prócz małej placówki, wystawionej tuż przy bramie na drodze ku twierdzy. Zarozumienie, ta najzgubniejsza bojowników przywara, doszło w Dziewanowskim do tego stopnia, iż gdy go, wśród tego nieporządnego spoczynku, przychylny nam wieśniak ostrzegał, że

od Gdańska idzie wielka siła, odpowiedział mu: «Ja czekam tych... niech przyjdą!» — i żadnej nie przedsięwziął ostrożności. Jakoż w rzeczy samej marszałek Kalkreuth, uwiadomiony zapewne przez szpiegów o naszym nieładzie, wysłał spiesznie parę batalionów piechoty z kilku szwadronami jazdy, które, nie spotykając żadnych wzwiadów, cicho i nagle zbliżały się pod same miasto. I dopiero kiedy placówka zaczęła się ucierać z pruskimi flankierami, zatrąbiono na alarm, ale po czasie. Żadna rozsądna dyspozycya miejsca już mieć nie mogła. Konie rozsiodłane, ludzie porozbierani zrywali się, jak w gorączce. Ci, którym się udało prędzej wyskoczyć, biegli pojedyńczo ku nieprzyjacielowi. Kapitan Gołaszewski stanął z cząstką strzelców przed bramą pod wiatrakiem, kapitan Suchorzewski, zebrawszy kilkunastu jeźdźców, ruszył także naprzód; reszta w największym nieładzie uchodziła w tył za miasto i formowała się, jak mogła. Tymczasem zapomnieni jeńcy, postrzegłszy to zamieszanie, z otwartych drzwi niestrzeżonych wybiegli na rynek i znaleźli tam zostawioną broń swoją i lederwerki. To zdarzenie pozbawiło ostatki możności zebrania rozproszonych po domach żołnierzy. Nieprzyjaciel z przeważnemi siłami wszedł do miasta. Gołaszewski, który z rozpaczą bronił bramy, poległ bohaterską śmiercią ze wszystkimi swoimi strzelcami na swojem stanowisku. Suchorzewski, który go wspierał, utracił połowę swojego oddziałku, zmuszony był do odwrotu, który poza miastem uskutecznił i połączył się z resztą. Cofano się ku Gniewowi, już porządnie i z należytemi ostrożnościami. Między tymi,

których Prusacy w kwaterach ujęli, znajdował się szef szwadronu, Umiński.

Tak pomyślnie zaczęty dzień skończył się smutnym wieczorem; strata całej zdobyczy dzisiejszego ranku i kompanii Bystrama napowrót — były skutkiem tej porażki. Co do liczby utraciliśmy niewiele; ale całe wojsko nie przestało żałować Gołaszewskiego, młodzieńca największych nadziei, tak dalece, że więcej opłakiwano stratę jego, jak całej kompanii Bystrama.

Obecnem mi jest zmartwienie generała Dąbrowskiego z odebranej wieczornej wiadomości; czuł on, że to zdarzenie, mało działające na umysły starego wojska, wielkie zrobi wrażenie na naszym młodym i niedoświadczonym żołnierzu. Chcąc dać przeto czas do ochłonięcia z tego pierwszego wrażenia, a razem usunąć się z położenia, w którem przez ośmielonego nieprzyjaciela przeważnemi siłami mógł być napadnięty, cofnął się z całem wojskiem o mil kilka w tył, oddalając się nieco od Wisły, — w leśne i trudnego przystępu strony. W tem stanowisku zatrzymał się generał dni parę, oczekując wiadomości od wojska, które pod dowództwem gen. Ménard'a ciągnęło z Niemiec i przeznaczone było do działania pod rozkazami Dąbrowskiego. — Wojsko to składało się z «legii północnej» (o której wyżej była mowa), mocnej 3 do 4 tysięcy starych i wyćwiczonych żołnierzy, z samych Polaków z pruskiej służby złożonej, i brygady wojska Badeńskiego. Generał Dąbrowski nadał temu wojsku kierunek taki, aby zajęło stanowisko na drodze między Tczewem a Gdańskiem i tym sposobem zabezpieczało od strony twierdzy atak na Tczew, który

został polecony gen. Dąbrowskiemu rozkazem marszałka Lefebvre, dowódzcy korpusu. Po tem urządzeniu i porozumieniu się z generałem Ménard, ruszyliśmy naprzód do Gniewu, a następnego dnia 22 lutego, stanęliśmy w Amt Sobbau o milę od Tczewa. Chcąc utaić ten pochód, przednie straże miały rozkaz przecięcia komunikacyi z tem miastem, nie puszczając nikogo ani tam, ani napowrót. — Przypadek wszakże wyjawił nasze zamiary zagrożonemu miastu: w Amt Sobbau, gdzieśmy się na noc zatrzymali, zapaliła się stodoła, w której ja właśnie z całym sztabem generała nocowałem. Zdaje się, że ten ogień był podłożony przez dzierżawcę Amtu, Francuza, najzawziętszego nieprzyjaciela Francuzów. Całą noc pracowaliśmy około ugaszenia pożaru, a blizkość Prusaków kazała nam być ostrożnymi. Niewyspani zatem ruszyliśmy równo ze dniem pod miasto.

Położenie Tczewa jest mocne: na wysokim brzegu nad Wisłą, otoczone szerokiemi parowami, opasane dokoła starym murem z basztami, krzyżackim jeszcze podobno, przystępne tylko jedną drogą od lądu, wzdłuż której ciągnie się przedmieście. Spędziwszy zewsząd nieprzyjaciela do murów miejskich, rozkazał generał postępować ową ulicą ku bramie, której broniła baszta osadzona strzelcami, oddział piechoty na dole i dwie armaty. Ruszyło zatem naprzód parę naszych armat na tę ulicę i tak skutecznie podziałało, że brama została wybita, działa przewrócone. Nie bardzo się chciało naszym świeżym ludziom iść do szturmu. Ks. Sułkowski z majorem Moraczewskim stali na czele batalionu zwiniętego w kolumnę za domami i nie zdołali zmusić kolumny do rzucenia się

na bramę. Ja przybiegłem i napróżno zachęcałem; w tem postrzegłem, że batalion badeński zabierał się do ataku — zawołałem więc do wahających się żołnierzy: «Cóż, dacie się uprzedzić tym Niemcom?!» Ta apostrofa taki wywarła skutek, że cały batalion ruszył natychmiast mimo gradu kul i wparł się do bramy. Warta jej cofnęła się do miasta. Zastaliśmy tylko jednego oficera, który ze szpadą w ręku czekał nieustraszony! Zawołałem, aby mi oddał broń; odpowiedział z pewną determinacyą: «nie będęż krzywdzony?» Zapewniłem go, a wtenczas oddał mi szpadę i odesłałem go pod opieką podoficera do generała Dąbrowskiego.

Kiedy czoło naszej kolumny już weszło na rynek, znaleźliśmy tam uszykowany garnizon, a szef batalionu, Hauke, przybyły z legionów i pełniący służbę szefa sztabu przy gen. Dąbrowskim, zawołał na dowodzącego, aby się poddał. Nie robiono żadnej trudności: żołnierze złożyli broń i oddali się w niewolę. Oficerom przydano eskortę i z wielkimi względami odprowadzono do generała Dąbrowskiego. Ustanowiono komendanta w mieście i załogę, reszta wróciła do obozu. Tak się zakończył ten dzień 23 lutego 1807. Kilkaset jeńców, kilka sztuk dział (nie licząc tego, co zabrała legia północna pod Milb, odpierając oddział jazdy, idący na pomoc Tczewowi) i mocne położenie — były korzyścią onego.

Utraciliśmy w tej walce kilku oficerów i kilkudziesięciu żołnierzy. Między rannymi był sam dowódzca gen. Dąbrowski, który odjechał zaraz do Gniewa, zostawiwszy dowództwo generałowi Kosińskiemu. Zabrał też z sobą syna swojego, któremu

kula armatnia urwała koniec łokcia. Odjechał z nim razem Hauke i Pakosz, a Hurting [1]), kapitan od artyleryi, Szembek, kapitan ze sztabu, i ja, wraz z kilku młodymi ludźmi z dawnego sztabu, zostaliśmy przy nowym dowódzcy. Mnie powierzono obowiązek szefa sztabu w nieobecności Haukego. Po skończonej pracy dnia tego, rzuciłem się na słomę i zasnąłem. — Wtem wszedł gen Kosiński, obudził mnie i, oddając szpadę pruskiego oficera, który mi ją wręczył w bramie, oświadczył imieniem generała Dąbrowskiego, że ona do mnie należy, jako trofeum tej bitwy, której pomyślny skutek przypisywał mojej gorliwej czynności.

Wypocząwszy dni parę, ruszyliśmy pod Gdańsk, który już zewsząd był ściskany. Generał Ménard z legią północną i badeńskiem wojskiem odebrał rozkaz zająć wsie naprzeciw prawego(?) fortyfikacyi twierdzy, a my naprzeciw lewego t. j. naprzeciw Bischofsbergu. Nasza kwatera była w Wannenbergu, a generała Ménard'a w Oliwie.

Nie będę opisywał oblężenia Gdańska. Tyle dzieł dokładnych uczyniło temu zadość, a mianowicie «Précis des évènements militaires par le C-te Mathieu Dumas» [2]). Wreszcie wcale nie mam pretensyi pisania tu historyi wojen, do których należałem, zawieram się tylko w małym zakresie tyczących się mnie działań i rzeczy, których byłem naocznym świadkiem i współdziałającym.

---

[1]) Zapewne Józef Hurtyg.

[2]) Paris 1826 r. — Campagnes de 1806 et 1807. — p. tom 4-ty, str. 123—199.

Po niejakim czasie marszałek zezwolił na naleganie naszego niespokojnego gen. Kosińskiego i z nieukontentowaniem szefa sztabu jego (t. j. marszałka Lefebvre), generała Drouet, na to, abyśmy opanowali przedmieście Stolzenberg. Dokazaliśmy tego, ale nie bez strat, zwłaszcza, że przez pośpiech naszego generała, my tylko sami zostaliśmy pod działami twierdzy i wystawieni na ustawiczne wycieczki załogi. Wtenczas dopiero upamiętał się Kosiński i wysłał mnie do marszałka z przełożeniem, że będąc sami tylko wystawieni na codzienne straty z powodu zajęcia przedmieścia, prosi o pozwolenie opuszczenia onego i cofnięcia się na ogólną linię blokady. Marszałek się wahał, ale szef sztabu Drouet wyrzekł. «Nie. — Ponieważ generał napierał się wziąć to przedmieście przeciw uwagom jemu robionym, niechże je teraz trzyma; bliższe ściśnienie twierdzy wkrótce nastąpi». Z tem zostałem odprawiony.

Jakoż w dni kilka potem wszyscy podstąpili bliżej. Wojsko badeńskie zajęło bez wystrzału przedmieście Szydlic [1]) i zakryło nam lewe skrzydło, a legia północna wzięła Langenfurth. Chociaż zajęcie Szydlic powinno było nas zupełnie zabezpieczyć, strzegąc najdogodniejszego otworu do wycieczek, nie wiele skorzystaliśmy, gdyż Badeny tak się mało strzegli, tak rychło się wynosili przed oddziałami nieprzyjacielskimi, że po razy kilka Prusacy bez wystrzału wpadali do Szydlic, a Badeny, umykając bez dania znaku, wystawiali nas na klęski.

I tak w dzień wielkiego czwartku (jeśli się nie

---

[1]) Scheidlitz.

mylę) silna wycieczka, wpadłszy przez Szydlic z boku na Stolzberg, zabrała nam dwie kompanie piechoty i kilku oficerów, między innymi Dezydera Chłapowskiego, a widząc wtedy pole otwarte, nieprzyjaciel z wielką siłą zbliżył się do naszych leż. Zerwaliśmy się śpiesznie. Ja, porwawszy konia ułańskiego, z gołą głową pobiegłem naprzód; pułkownik Dziewanowski zbierał swoich jeźdźców, reszta dywizyi wystąpiła. Posłałem do kapitana Charles, aby jak najprędzej przybywał z bateryą artyleryi, a sam, zebrawszy uchodzącą bez ładu piechotę, uszykowałem ją nieco i postąpiłem naprzód. Ten ruch w pomyślnem położeniu wstrzymał zapęd nieprzyjacielski: linie jego stanęły, — a w tem artylerya przybyła do mnie. Wojsko nasze z kantonamentów zaczęło postępować w porządku, a marszałek, dopadłszy sam, stanął na czele batalionu pułku 2-go dowództwa Downarowicza, zsiadł z konia, a odpiąwszy surdut, odkrył hafty munduru i gwiazdy. kazał doboszom bić szarzę, a znajdując, że nie dosyć żwawo biją, sam bęben porwał i tak przyśpieszonym krokiem pędził ku nieprzyjacielowi. Cała linia postępowała śpiesznie; artylerya rozpoczęła ogień w marszu. Nieprzyjaciel zaczął śpiesznie cofać się, ale marszałek tak nagle gonił, że mu odciął dwie kompanie piechoty i wziął w niewolę. Gdyśmy weszli już pod ogień dział twierdzy, marszałek zawołał: — «Montrons leur, que les Polonais ne craignent pas le canon!»

Stanęliśmy pod wałami w przedmieściu. Tam przyjechało do marszałka dwóch oficerów badeńskich. Marszałek, robiąc im wyrzuty braku odwagi i ostrożności, używał wyrazów, których tu powtarzać nie

śmiem. Potem, urządziwszy straże, wróciliśmy na nasze kwatery, a marszałek tak był strudzony, że zajechał do mnie w Wannenbergu, położył się na mojem łóżku i tak kilka godzin spoczywał, kiedy niekiedy przemawiając do mnie z pochwałami o Polakach.

Już też zaczęto ścisłą blokadę twierdzy a dla dokonania tego po drugiej stronie Wisły, przecięcia komunikacyi z Pilawą i strzeżenia się napaści nieprzyjaciela od tamtej strony, wzmocniono brygadę generała Schramm naszymi dwoma pułkami: 2-gim Downarowicza i 4-ym Ponińskiego.

Wtenczas właśnie przysłano mi nominacyę na drugiego pułkownika (Gros-majora) pułku 4-go i rozkaz abym z nim maszerował za Wisłę. W rzeczy samej, pułkownik Poniński, lubo był zawsze z pułkiem, mało się trudnił nim i służbą, cała zatem władza i odpowiedzialność dowództwa spadła na mnie.

Tak, dopełniając obwód oblężenia, stanęliśmy na prawym brzegu Wisły: ja w Heubuden, a pułk w okolicach. W ciągu całego oblężenia cztery tylko ważne mieliśmy wypadki: 1-o usypanie reduty naprzeciwko cypla wyspy Holm, 2-o obronę tej reduty, 3-o wycieczkę rosyjskiego generała z Weichselmünde i Neufahrwasser i 4-o wzięcie korwety angielskiej «Sans peur».

Usypanie reduty nad prawym brzegiem Wisły zadziwiło nas wszystkich, mniej doświadczonych takich robót. Las, w którym koczowało całe nasze wojsko, był o kilkaset sążni od rzeki, przedzielony od niej płaszczyzną, wystawioną na ogień dział twierdzy Weichselmünde. Wykopano przeto rów komuni-

kacyi (boyeau), aż ku rzece i zakończono tę robotę wielką redutą nad samą wodą. Generał Gardanne przybył wieczorem i rozkazał, aby, skoro się zmierzchnie, całe wojsko było w pogotowiu; nikt z nas ani się domyślał celu tego alarmu. Skoro się ciemno zrobiło, kazano stanąć pod broń piechocie, niewidziane dotąd pontoniery zjawiły się i rozdały żołnierzom narzędzia do kopania. Dopiero objawiono, co mamy robić, i pod dyrekcyą inżynierów zaczęto. Żołnierz kopał, mając broń na plecach na wypadek napadu. Nim dobrze rozedniało rów szeroki na 6—8 łokci, tak, że zakrywał żołnierza, był skończony, a reduta tak posunięta, że już była schronieniem, lubo niedostatecznem. W dzień, kiedy nieprzyjaciel rozpoznał całe dzieło, okropny wszczęto ogień z Weichselmünde, a jednocześnie silna wycieczka z Gdańska rzuciła się na wojsko będące w reducie. Wycieczka została odparta, a ogień z Weichselmünde, zrobiwszy wielką szkodę w oficerach i żołnierzach, ucichł nareszcie. Straciliśmy tu dwóch kapitanów i kilku młodszych oficerów. Generałowie Gardanne i Schramm byli niewypowiedzianie zadowoleni z wytrzymałości naszego żołnierza. Następnej nocy dokończono reduty i zrobiono réduit tak wyniosły, że już żadna kula nieprzyjacielska szkodzić nie mogła. To się działo około 1-go maja. Tajemnica i szybkość wykonania tego dzieła były podziwienia godne.

Wieczorem dnia 6-go maja odebraliśmy rozkaz przesłania naszych grenadyerskich kompanii na lewy brzeg Wisły, wojsku zaś kazano przez całą noc być pod bronią. Generał Gardanne kazał mi objąć komendę w reducie i uwiadomił, że wyspa Holm ma

być wzięta tej nocy, że trzeba wielkiej czujności, gdyż nieprzyjaciel będzie zapewne usiłował zrobić dywersyę w stronę reduty. Jakoż równo ze dniem wyspa już była wzięta, nieprzyjaciel nic nie przedsięwziął, a strata całego wojska atakującego wynosiła kilku żołnierzy. Wyspa była broniona przez dwa bataliony wojska rosyjskiego. Sam tylko komendant uszedł i był, jak powiadają, w Gdańsku bardzo źle przyjęty przez swego dowódzcę. Niewolnika nie wzięto, wszystko zginęło, ale dostało się nam 16 armat wielkiego kalibru i mnóstwo narzędzi saperskich.

Kamiński, generał rosyjski, który już od niejakiego czasu przybył morzem w celu odsieczy, a przynajmniej pomocy twierdzy, wahał się długo, nakoniec 15-go maja atakował oblegających, usiłując przedrzeć się do twierdzy, ale waleczny odpór i miękkość natarcia sprawiły, że został odparty z wielką stratą; wkrótce potem napowrót się ambarkował i wrócił do Memla. My, Polacy, ponieśliśmy znaczne straty w tym dniu: szef batalionu z 2-go pułku, Parys, dwóch kakapitanów i dość znaczna liczba podoficerów i żołnierzy poległa.

Generał Gardanne, zadowolony sprawowaniem się swojego wojska, zaprosił nas tego dnia na obiad, którego pasztety sam przyprawiał. W ciągu obiadu przybył podporucznik saski z drugiej strony Wisły z powinszowaniem generałowi pomyślności bitwy. Generał odpowiedział, że gdyby nie tchórze Saksony, toby wypadek dnia tego był daleko ważniejszy, gdyż nawet dowódzca nie byłby nam uszedł.

Mathieu Dumas w swojej relacyi powiada, że marszałek Lannes, przybywszy ze swoim oddziałem,

wszystko zrobił. Inaczej było w rzeczywistości. Marszałek przybył w swojej osobie i ze sztabem, wojsko zaś jego jeszcze nie doszło, gdy już nieprzyjaciel uchodził. Wtedy Lannes z nieukontentowania sam ze swoimi oficerami szarżował uchodzącego nieprzyjaciela. W tym ataku został raniony szef batalionu, Zienowicz, ze sztabu marszałka. Generał Gardanne powtarzał, że gdyby batalion Saksonów spełnił swą powinność, toby wojsko Kamińskiego co do nogi naszych rąk nie uszło.

Dnia 19-go maja około południa, kiedyśmy najbezpieczniej w okopach spoczywali, gdyż garnizon Gdańska nie mógł już robić żadnej wycieczki tak był ścieśniony, — ujrzeliśmy prawie pomiędzy nami ogromną budowę, wysokości zadziwiającej. Była to korweta angielska, wszystkiemi rozwiniętemi żaglami pędząca z wiatrem naprzeciw wody. Brzeg Wisły, nizki z naszej strony, odsłaniał cały ogrom tej budowy; tak rączo szła wiatrem pędzona, żeśmy ją nagle postrzegli już wśród nas. Zerwać się bez komendy do broni, biedz na brzeg Wisły i strzelać do majtków, którzy manewrowali na pomoście, — było czynem jednego momentu. W tej okazyi batalion gwardyi paryskiej, który leżał pomiędzy nami, dowiódł największej przytomności i odwagi (nic zadziwiającego, gdyż te grenadyery miejskie były zbiorem wysłużonych, dymisyonowanych żołnierzy z wojska). — Ogień ich był tak rzęsisty i tak trafny, że w okamgnieniu wszyscy majtkowie byli spędzeni z pomostu, a korweta, zaraz przy brzegu naszym uwięzła na piasku. Komendant jej wywiesił biały pawilon i kapitulował. Zapewniał nas potem, że nie miał

majtków Anglików, tylko nieoswojonych z podobnymi wypadkami Prusaków, że byłby pewnie swoim statkiem mosty pogruchotał, wszystkie przeszkody przebył i stanął w Gdańsku z zasiłkiem amunicyi i żywności. Dziwiliśmy się nadewszystko żonie kapitana Anglika, która w tak niebezpiecznej wyprawie z największą spokojnością umysłu towarzyszyła mężowi. Gdy wysiedli na brzeg, marszałek Lefèbvre przyjął ich z największymi względami i, podawszy rękę kapitanowej, oddalił się z nimi do swojej kwatery. Francuzi, admirując odwagę kapitana, mówili, że tak hazardownego przedsięwzięcia zdolne były dwa narody: francuski i angielski. Korweta nazywała się «Sans peur».

Utracona już nadzieja wszelkiego posiłku, wreszcie opanowane stoki (glacis) bastionu Hagelsbergu, ukoronowana skryta droga (chemin couvert), zrobiona grobla przez fosę i bresza blizka końca — skłoniły feldmarszałka Kalkreuth do kapitulowania. — 24 maja układ był podpisany i wojsko pruskie z rosyjskiem zaczęło nazajutrz ustępować z twierdzy przez Na...(?) dla połączenia się ze swoimi. Ponieważ droga prowadziła przez nasze stanowiska, marszałek kazał nam wystąpić jak najparadniej i formować aleję, przez którą garnizon defilował. Feldmarszałek Kalkreuth szedł piechotą; czyniliśmy mu honory, jego stopniowi i waleczności winne; on zaś ze swojej strony, przeglądając nas, oświadczał zadziwienie, że w tak krótkim czasie tak się uformowało wojsko nasze. — Po przejściu feldmarszałka defilował garnizon, bataliony rosyjskie na czele. Z podziwieniem widzieliśmy oficera na czele postępującego, śpiewającego z całego

gardła i różne oklaski rękoma i figle wyrabiającego. Dalej Prusacy maszerowali bez śpiewu, dość znękanej postaci; Polacy, będący w ich szeregach, zaczęli się wymykać i chronić się za nasze linie. Generał pruski, prowadzący oddział, wołał o gwałcenie kapitulacyi i dobył pistoletu, chcąc strzelić do uchodzącego; ale kapitan z mojego pułku, Nepomucen Płaszczycki, dopadł do niego i zawołał że, jeżeli się odważy strzelić pomiędzy nasze szeregi, to on nie odpowiada za jego bezpieczeństwo. Generał udał się śpiesznie na czoło swego wojska, a porwawszy dwie swoje kompanie, prowadził je nazad ku naszym liniom w porządku, grożąc, że siłą wymoże na nas wydanie zbiegów. Ja właśnie przybiegłem na to, a ponieważ my staliśmy bardzo szeroko żołnierz od żołnierza, i po jednym szeregu z każdej strony drogi, kazałem jak najspieszniej zebrać kompanię woltyżerów, która właśnie stała na skrzydle, a uformowawszy ją, postąpiłem naprzeciw oddziałowi pruskiemu, z którym generał się zbliżał. Gdyśmy stanęli naprzeciw sobie, posłałem adjutanta pułkowego aby powiedział generałowi, że ja nie jestem zobowiązany robić policyę pruskiemu wojsku, że nie wiem o żadnym kartelu, że zbiegów wydać nie myślę, że jego oddziałowi dalej postępować nie pozwolę, a jeżeli się poważy, że go siłą odeprę. Na to generał, rozmyśliwszy się, kazał swoim kompaniom prawo w tył zrobić i dalej maszerować. Tak się zakończyła scena, z której się zanosiło na kłótnię. My zaś zyskaliśmy kilkuset żołnierzy Polaków od jazdy i piechoty, którzy do nas przeszli.

Skoro załoga ustąpiła zupełnie z twierdzy i ta

francuskiem wojskiem osadzona została, Napoleon sam przybył; oglądał roboty oblegających i oblężonych, dekretował gratyfikacyę dla wojska, z szczególną zaś uwagą lustrował legię północną, zostającą podówczas jako pułk, pod dowództwem Michała księcia Radziwiłła, pułkownika świeżo nominowanego; pułk ten odznaczył się nieraz w szczegółowych atakach dzieł twierdzy. Napoleon był przez marszałka korzystnie uprzedzony i dlatego, wszedłszy w ich szeregi, rozmawiał przez tłómacza z żołnierzami, a że byli zbyt obdarci i osmoleni biwakowym dymem, rozkazał pułkowi zostać w Gdańsku, przeznaczył na umundurowanie i oporządzenie onego hojne fundusze, a sam wracał do swojej armii, która stała naprzeciw nieprzyjaciela.

Dywizya generała Dąbrowskiego otrzymała asygnacyę na gratyfikacyę i razem rozkaz ruszenia natychmiast do wielkiej armii. Generał Dąbrowski, który, wyleczony z ran, już był wrócił do wojska, zebrał jak najśpieszniej rozrzuconą po przykopach dywizyę i ruszył na Kwidzynę ku Saalfeld, gdzie wtenczas znajdowała się wielka armia i cesarz. Szło jeszcze o odebranie gratyfikacyi dla dywizyi. W tym celu rozkazał mi zostać w Gdańsku, śpieszyć z odebraniem i dogonić dywizyę. Udawszy się do naczelnego inspektora, który wydawał asygnacye do kasy, spotkałem tam niemałą trudność, a mianowicie, iż bez listy imiennej podoficerów i żołnierzy każdego pułku dywizyi (dla nich tylko bowiem była przeznaczona gratyfikacya), wizowanej przez generała Gardanne, asygnacya wydana być nie mogła. Nadto listy te powinny były podług wzoru być pisane po fran-

cusku. — Mając przy sobie jednego tylko oficera, który nietylko po francusku, ale i po polsku nie biegle pisał, szukałem po mieście pisarza, ale gdy, pomimo wielkiej nagrody ofiarowanej, nie znalazłem żadnego, musiałem sam swoją ręką wszystko pisać. Tu zaszła jeszcze większa trudność: nazwiska podoficerów i żołnierzy całej dywizyi, artyleryi i pociągu. Kłopot ten zwyciężony został śmiałym pomysłem, żeby zachować wiernie ilość, a nazwiska pisać, jakie się nawiną. Była to hazardowna, bo naczelny inspektor mógł mieć listy imienne od podinspektorów, — co się tyczy ilości, tej byłem pewien z raportów sobie powierzonych. Dwa dni i noce z rzędu pracując, uformowałem nakoniec żądane listy, chociaż już i nazwisk brakło i do powyższych wracać trzeba było. Porucznik Murzynowski zmyślał nazwiska, podczas gdy ja pisałem. Ukończywszy tym sposobem robotę, udałem się do gen. Gardanne, który bez namysłu podpisał, poczem otrzymawszy asygnacyę, odebrałem sumę w grubej srebrnej monecie; suma była znaczna, gdyż każdy podoficer i żołnierz otrzymał po 12 franków. Z ciężarem takim i bez straży nie łatwo było udać się w drogę pełną dochodzących oddziałów, a co gorsza, maruderów. Dostawszy wreszcie wóz i cztery konie, po wielu trudnościach i niebezpieczeństwach, dogoniłem dywizyę pod Heilsbergiem.

Znalazłem wojsko swoje i francuskie znacznie zmniejszone codziennemi bitwami i marszami dzień i noc, bez spoczynku, ani dystrybucyi. Napoleonowi szło o to, aby zmusić uchodzącego nieprzyjaciela do

stanowczej bitwy, ale wojsko już ostatniemi dążyło siłami.

13-go czerwca przyszliśmy późno wieczorem pod Preussisch-Eylau. Gen. Dąbrowski otrzymał tam rozkaz do przejścia przez to miasto i maszerowania ku Domnau. Mimo niewypowiedzianego znużenia dywizyi, uskuteczniliśmy ten pochód, przechodząc w mieście popod oknami cesarza w porządku i cichości, aby nie przerwać jego spoczynku. Przybywszy do Domnau, stanęliśmy na piaskach, a głodni i zmęczeni żołnierze upadli śpiący, każdy w swojem miejscu. Rychło i dzień się zrobił i zamiast jakiegokolwiek spoczynku, zawołano dowódzców pułku do gen. Dąbrowskiego, którego już znaleźliśmy ubranego starannie, przy szarfie. Rzekł do nas:

— «Nieprzyjaciel jest z całą siłą o $1^1/_2$ mili stąd. Cesarz się spodziewa, że bitwę przyjmie tym razem; wojska już ciągną śpiesznie; honor i widoki dalsze każą nam być uczestnikami tej bitwy. Budźcie więc wasze pułki i każdy niech śpieszy, aby wstąpił w szeregi ciągnącej armii, nie zważając na miejsce».

Generał przewidywał, że będziemy mieli wielką trudność w podniesieniu żołnierza przywalonego snem i trudem — i dlatego rozkaz jego miał cechę dowolności. W rzeczy samej napróżno wołaliśmy, napróżno oficerowie francuscy biegając wołali, że cesarz będzie wszystko oglądał, — niewiele to pomagało. Ja, udając się do pierwszego swojego grenadyera, Jabłonowskiego, wezwałem go, aby zawołał na swoją kompanię. Ten stanąwszy z bronią przed frontem, wykrzyknął swym tubalnym głosem:

— «A cóż to, kiedy wszyscy bić się mają, to wy, bestye, spać będziecie?!»

Ten głos żołnierza dokazał, czego wszystkich oficerów usiłowania dokazać nie mogły: wszystko się zerwało, uszykowało do broni i, jakby najlepiej wypoczęte, żwawym krokiem wstąpiło w kolumny ciągnącego wojska.

Maszerowano żywo i niebawem wystrzały armatnie słyszeć się dały: czoło naszego korpusu, to jest marszałek Mortier, już stanęło wobec nieprzyjaciela. — Pułk jazdy dywizyi Dąbrowskiego pod dowództwem pułkownika Turno otrzymał rozkaz gwałtownego natarcia na strzelców nieprzyjacielskich, licznie rozsypanych po zbożu przed frontem naszej linii. Pułkownik Turno, chętny i odważny, ale niedoświadczony, miał biegłego doradcę, gros majora, Konopkę, legionistę. Za jego radą urządziwszy atak, Turno z takim impetem wpadł na owych strzelców, że wszystkie zboża oczyścił i dał linii głównej spokojnie formować się.

Gdy już cały korpus się uszykował około 9-ej rano, staliśmy przecie do 4-ej po południu. Nieprzyjaciel, stojąc z całą siłą na tej stronie Alle, rzeki pod Friedland, lubo mógł nas zaraz rozbić swojemi przeważnemi siłami, stał przecie spokojnie, przestając na posłaniu do nas kiedy niekiedy kuli lub granata działowego. — Napoleon, profitując z nieczynności nieprzyjaciela, kazał innym korpusom przyśpieszyć kroku, a szczególniej Lannes'a i Ney'a i te w ściśniętych kolumnach skupił na naszem prawem skrzydle. Gdy tak bez przeszkody wszystkie swoje dyspozycye ujrzał uskutecznione (była już 4-ta po południu),

zwołał do siebie marszałków i wskazując im miasto Friedland za środkiem kolumn nieprzyjacielskich, rzekł, pewien zwycięstwa:

— Voilà où il faut marcher».

A tymczasem rozkazał artyleryi ruszyć cwałem z 60 działami, zbliżyć się na mały strzał i rozpocząć ogień. Do marszałków zaś razem wyrzekł:

— «Partez!»

Łatwo się domyślać, co za wrażenie zrobił w wojsku nieprzyjacielskiem ten nagły ruch, w wojsku, które stało ścieśnione we wklęsłem kolanie, utworzonem przez rzekę Alle i staw z młynem, nie mogącem, ani się rozwinąć, ani posunąć naprzód. Okropny ogień artyleryi francuskiej, bijąc w piechotę, jazdę, artyleryę, stłoczoną prawie bez ładu na ograniczonej przestrzeni, straszliwe robił spustoszenia, a piechota, dopadłszy, dokonała nieładu. Tu już postrzegliśmy nieprzyjaciela zmieszanego i uchodzącego w nieporządku. Most jeden przez Allę do miasta nie był dostatecznym otworem dla wojska, które w odmęcie, wszystkie bronie razem, cisnęło się w tył. Pędzony morderczym ogniem, nieprzyjaciel nie zważał już na stromy brzeg rzeki: rzucało się wszystko, gdzie mogło, i ginęło, wraz z końmi i działami w nurtach nie szerokiej, ale głębokiej wody.

Korpus 8-my był tylko świadkiem tego jednochwilowego zwycięstwa. Dywizya Dąbrowskiego otrzymała tylko wśród samej wrzawy rozkaz, aby przepuścić pomiędzy swojemi lukami dywizyę dragonów i iść frontem za nią tak, aby w przypadku odparcia dragonów, oni się cofnęli za nas, a dywizya Dąbrowskiego natychmiast uderzyła z bagnetem w ręku na

opierającego się nieprzyjaciela. Ta dyspozycya stała się zbyteczną, gdyż ani dragoni, ani dywizya Dąbrowskiego nie miały już sposobności przyjścia do boju, tak śpiesznie nieprzyjaciel był zniesiony. — Mnóstwo niewolnika, dział, chorągwi było korzyścią tego zwycięstwa, dnia 14-go czerwca 1807 pod Friedland odniesionego.

Stojąc od rana pod ogniem armatnim, lubo mało szkodzącym, miała dywizya Dąbrowskiego straty kilkunastu ludzi, a na czele rannych był sam gen. Dąbrowski urywkiem od granatu lekko skaleczony. Nocowaliśmy na pobojowisku, a nazajutrz rano cesarz objeżdżał wszystkie pułki. Zwycięsca był godnie powitany przez szczęśliwe wojsko.

Poczem z wyborem wojska cesarz pomaszerował ku Niemnowi, a wojskom bardziej znużonym kazał zająć poblizkie Friedlandu stanowisko dla wypoczynku. Dywizya Dąbrowskiego zajęła miejsce w zamku Kloschen, zaraz na drugiej stronie Alli, patrząc na pobojowisko. Zamożne państwo dostarczyło dostatek żywności, a żołnierz mógł po raz pierwszy od przeszłej jesieni wypocząć i oczyścić się. — Oddawszy noc spoczynkowi, a cały następujący ranek ochędóstwu, po obiedzie uczuliśmy potrzebę świeżego powietrza, którem jednak ciągle żyliśmy. Wyszło więc wszystko nad brzegi Alli, pierwszy raz oddawna swobodnym przechodząc się krokiem. Widok pobojowiska okrytego trupem, potrzaskanymi wozami i t. d., nie czynił na nas odrażającego wrażenia; dzikość nabrana w długiej wojnie przez ciągłe własne cierpienia i niebezpieczeństwa przytłumia uczucie litości w sercu żołnierza. Rzeka zawalona była, jak i pobo-

jowisko; wśród niej świeciły się działa na dnie. Nie mającym nic do roboty żołnierzom kazałem dobywać zatopione działa; z wielką pracą wydobyto sztuk sześć, które zostały własnością dywizyi. Generał Dąbrowski kazał na nich wyryć, kiedy i gdzie były zdobyte.

W kilka dni odebraliśmy rozkaz postępowania z wielką armią, ale skoro się rozpoczęły negocyacye w Tylży, rozesłano nas szeroko po Prusiech. Zajęliśmy miasta: Goldap, gdzie była kwatera generała Dąbrowskiego, Oleck, Rastenburg i Lyck, gdzie stanąłem ze swoim pułkiem, wówczas 4-ym piechoty. Tu musieli miejscowi dostarczać nam żywności i materyałów do ubioru i oporządkowania. W harmonii z mieszkańcami, używaliśmy obfitości i przyjemnych chwil. W rzeczy samej ponieważ wszelkie dostarczania były kosztem skarbu królewskiego, mieszkańcy mało cierpieli i nie nadużywających wojskowych przyjaźnie przyjmowali.

Tymczasem pokój w Tylży został podpisany, a poseł rosyjski, ks. Kurakin, już jechał do Paryża. Przypadek chciał, aby w czasie, gdy przejeżdżał przez stanowisko pułku 4 go, powóz mu się zepsuł pod samem Lyck. Stosując się do odebranych rozkazów, kazałem mu czynić honory, sam z korpusem oficerów oddałem mu wizytę powitania i kazałem mu dostarczyć wszelkich potrzeb. Ujęty tem obejściem, książę zabawił w Lyck 24 godzin. Długie z nim prowadziłem rozmowy. Między innemi, ubolewał z całą Rosyą, jak powiadał, nad upartą niezdolnością generała Bennigsena.

— «Nous aurions eu, — mówił — il y a six

mois la même paix, aux mêmes conditions, mais Bennigsen voulait absolument se mesurer avec le Grand Capitaine et nous a gratifié de la perte de plus de 100.000 hommes, de frais incalculables et par dessus tout de l'humiliation en face de l'Europe».

Już też wojsko francuskie ciągnęło od Niemna i my otrzymaliśmy rozkaz wracania do kraju. Wszystkie cztery pułki dywizyi Dąbrowskiego dostały każdy osobną marszrutę, tak, aby różnemi drogami ciągnęły ku wyższej Wiśle. Przezorność ta nie była zbyteczna, gdyż cały kraj przy Wiśle między Toruniem a Warszawą był zupełnie spustoszony. W niewielu wsiach znaleźliśmy nieco mieszkańców; po większej części były zupełnie opuszczone i ulice wielką trawą zarosłe. Maszerowaliśmy prawie bez żywności i gdybym dziś był zapytany, czem żył żołnierz, nie umiałbym odpowiedzieć. Aleśmy ciągnęli żwawo i wesoło, gdyż myśl, żeśmy się przyczynili do pokoju i do odzyskania choć części kraju, krzepiła głodnych i strudzonych. Przytem wszyscyśmy żyli nadzieją, że za tak dobrym początkiem pójdzie reszta sama z siebie. Któż wątpił naówczas, że Francya i jej naczelnik są niezwyciężeni, że będą dyktować prawa całemu stałemu lądowi, że Polska, gorąca i interesowana aliantka Francyi, będzie wzniesiona do przyzwoitej potęgi, że nakoniec nową zaczniemy erę, naszem ramieniem zakreśloną? — O tem byliśmy przekonani. — Później, gdy nowe wypadki nas przewróciły, detraktorowie przeszłości odmawiali nam przezorności, a nawet patryotyzmu; byliśmy, według ich zdania, zaślepieni sławą wielkiego wojownika i jego skinieniom oddani, nie szukaliśmy in-

nych powodów, ani celów. Wielu bohaterów ławkowych, czyli izbowych, tak utrzymywało, sądząc po dokonanych już klęskach, a nie biorąc ówczesnego stanu rzeczy pod rozwagę.

Maszerując podlug rozkazów, trochę głodno, trochę wesoło, zeszła się cała dywizya Dąbrowskiego pod Zakroczymem. Mieszkańcy witali nas serdecznie, a prefekt Płocka, pan Lasocki, przyjął nas, jak mógł najlepiej: pierwszy raz po długiej podróży jedliśmy obiad za stołem. Tu przyszło ostateczne rozrządzenie leż zimowych. Dywizya księcia Poniatowskiego, pełniącego obowiązki ministra wojny, zajęła Warszawę i okolice, generała Zajączka — Kaliskie, a dywizya Dabrowskiego — Poznańskie. Radośna to była nowina dla naszych żołnierzy, że po znojach wojennych, z niejakim tryumfem wracają do własnych okolic. Ruszyliśmy więc razem całą dywizyą.

W drodze, około Łowicza, zaskoczył nas rozkaz, aby się dywizya wstrzymała: książę Poniatowski, minister wojny, miał jej przegląd robić. — Rzuciliśmy po sobie oczy zadziwienia: pierwszeństwo Dąbrowskiego było zatem zaprzeczone! Sam generał nie mógł ukryć nieukontentowania. Książę przybył, odbył zwyczajny przegląd, przyjął obiad dość posępny i odjechał. Zwiększył jeszcze nieukontentowanie nadesłany wkrótce po lustracyi rozkaz ogólny, obejmujący organizacyę całego wojska. Dotychczasowy porządek został przewrócony: dywizya księcia Józefa dostała Nr. 1 szy, generała Zajączka Nr. 2-gi, a Dąbrowskiego — Nr. 3 — i numera pułków, ciągle przez wszystkie dywizye, tak się u nas zmieniły, że pułk 1-szy ks. Sułkowskiego dostał Nr. 9-ty, pułk 2-gi

Downarowicza — Nr. 10, pułk 3-ci Mielżyńskiego — Nr. 11-ty, a 4-ty Ponińskiego — Nr. 12-ty. — Nasi oficerowie byli zasmuceni; każdy mówił: «Dowódzcą naszym jest Dąbrowski; któż zachował imię polskie od zguby? — myśmy się już bili, już się czemś odznaczyli, — tamci nie mają nic do cytowania». Ale na chlubę dywizyi, a bardziej ducha czasu, stało się, iż rychło miłość dobra powszechnego i dokładne pojęcie uległości i porządku zatarły te niesmaki w dywizyi i pułki bez wstrętu przyjmowały nazwy podług nowej organizacyi.

Za przybyciem na nasze stanowiska witani byliśmy chórem tychże obywateli, którzy się do naszej formacyi przyczynili. Któż wyliczy ofiary, jakie obywatele poznańscy robili i robić byli gotowi jak najchętniej. Opłaty pieniężne, dostawa produktów w naturze, przechody i stanowiska ogromnych wojsk, transport — nic ich nie zrażało. Widziałem damy pierwszych familii w Poznaniu, zajmujące parę najlichszych pokoików, a czasem przedpokój we własnym wielkim domu, oddając resztę na kwatery dla marszałków, generałów i t. d.; ta ofiara zwyczajnych wygód nie frasowała ich. Zgodność chęci i nadziei wszystko ułatwiła. Wymawiają Wielkopolanom chełpliwość — może coś jest w tem prawdy, ale kto ich widział działających, wyzna, że ich chełpliwość jest skromnym tylko wyrazem ich działania.

Pułk 12 ty przybył już na swoje stanowisko; sztab z 1-ym batalionem stanął w Rawiczu, a 2 gi batalion w Bojanowie, o 2 mile od pierwszego. Skoro się rozlokowałem i wypocząłem, przystąpiłem zaraz do organizowania i uczenia pułku. Nadesłano też

z ministeryum wojny wszelkie potrzebne instrukcye i urządzenia. Ponieważ przeznaczeniem naszem było długo jeszcze działać wspólnie z wojskiem francuskiem, najlepszej przeto jęto się drogi: przysłano wojsk francuskich regulamin musztry, kodeks administracyi, kodeks karny wojskowy i postępowania sądowego. Składaliśmy dzięki temu pomysłowi, gdyż wątpię, aby można ułożyć coś mędrszego i logiczniejszego stosownie do bieżących okoliczności. Wreszcie już sama jednostajność normalna w całej piechocie zapewniała rychłość jej postępów i harmonię w działaniu. — Na przedstawienie generalnego inspektora piechoty, gen. Fiszera, wódz naczelny i minister wojny, ks. Józef Poniatowski, wydał te wszystkie urządzenia i ścisłe do nich stosowanie się surowo zalecił. Inspektor jazdy, gen. Rożniecki, inaczej myślał: zakładał sobie jakieś odmiany i poprawki w ćwiczeniu jazdy, ale nie miał nigdy czasu do przedstawienia ministrowi coś ułożonego w tym względzie. Każdy pułkownik uczył podług swojej myśli lub wedle niezrozumiałych instrukcyi ustnych p. inspektora jazdy. Co się tyczy innych urządzeń, te lubo były i jeździe posłane, nigdy nie weszły w porządne wykonanie, gdyż inspektor wolał stan niepewny, w którym łatwiej mu było decydować podług swojej myśli, a w szczególności podług swojej korzyści. Z tego powodu jazda była, co do administracyi, zgorszeniem dla piechoty, a co do porządku i nauki daleko za nią.

Wracając do nas — wydane rozporządzenia narzuciły wielkie trudności na dowódzców pułków; gorliwa czynność inspektora piechoty, gen. Fiszera, ułatwiła je nieco, przysyłając pułkom urzędowe tło-

maczenia przepisu musztry i zaprowadziła jednostajność komendy. — Ale została część administracyjna, prawna; tu trzeba było czerpać z obcego języka. Wiadomo, pułki nagle formowane niewielu miały oficerów z dobrem pierwiastkowem wychowaniem, którzyby lotnie pojęli nieco trudną rachunkowość korpusową. Wszystko trzeba było wykładać i tłómaczyć systematycznie, jak w szkołach. Na ten koniec oznaczyłem godziny w dniu, kiedy się wszyscy oficerowie i zdatniejsi podoficerowie zbierali u mnie na lekcye, często elementarne. Trzeba było dać wyobrażenie o rachunkach i aplikacyi onych do ustaw. Francuska instrukcya musztry jest określona geometrycznemi wyobrażeniami, — trzeba było zatem dać dokładne pojęcie linii, kątów i t. d.

Około maja 1808 przyjechał do Rawicza inspektor, gen. Fiszer, dla lustrowania pułku. Chlubny raport inspektora do ministra i wskutek tego rozkaz dzienny podobnej treści był pierwszą i najmilszą osłodą moich usiłowań. Po wyjściu ze służby pułkownika Ponińskiego, nominowany został dowódzcą pułku pułkownik Zieliński, ale zaraz po lustracyi powyższej zostałem uprzedzony, że ten pułkownik był tymczasowy, a że mnie słusznie należący się pułk będzie wkrótce ze stopniem pułkownika oddany. Jakoż dnia 29-go lipca tegoż roku otrzymałem patent królewski na pułkownika i dowódzcę pułku 12-go, którego byłem reorganizatorem i instruktorem [1]).

---

[1]) List 29 lipca i patent 1 sierpnia 1808, podpisane oba przez ks. Józefa Poniatowskiego, jako ministra wojny, znajdują się w archiwum wydawcy.

Wkrótce potem król saski, nasz panujący, jako książę warszawski, dekretował, iż wszyscy dowódzcy pułków mają być dekorowani krzyżem «virtuti militari» — i ja byłem wówczas zaszczycony tą ozdobą [1]).

Gorliwość moja nie mogła być powiększona temi pomyślnościami, ale niepodleglejsze położenie otworzyło mi prostsze drogi i upoważniło do energiczniejszego przedstawienia potrzeb pułku. Brakowało nam ubioru, obuwia, oporządzenia; od kilku miesięcy pułk nie był płatny. Wszystkie te niegodności gorący duch czasu zwyciężył. Mieliśmy broń i patrontasze, więc musztra szła z największym zapałem. Ministeryum nasze widziało się zmuszonem do wynalezienia choć części funduszów na gwałtowniejsze potrzeby i w porozumieniu z wydziałem skarbowym obdarzyło nas, choć niedostatecznie. Wreszcie byłem upoważniony listem ministra do sprawunków na kredyt, na rachunek ministeryum. Zwołałem wtenczas fabrykantów miasta Rawicza i przeczytałem swoje upoważnienie; odpowiedzieli jednomyślnie, że ubiorą i oporządzą pułk kompletnie, ale nie poprzestając na zapewnieniu ministeryum, żądali aby pułkownik dał słowo, że im opłaty zatrzymane nie będą. Nie wahałem się dać żądane słowo; zaraz wzięto się do roboty i w parę miesięcy pułk został we wszystko opatrzony. Wypłaty były w rzeczy samej regularnie czynione i wszystkie zaspokojone.

Pułki francuskie z korpusu marszałka Davoust ruszyły do armii hiszpańskiej; trzeba było w pogranicznych miastach zastąpić opuszczone garnizony na-

---

[1]) Patent z d. 1. stycznia 1808 w arch. wydawcy.

szem wojskiem. We wrześniu otrzymałem rozkaz maszerowania z pułkiem do Torunia, dla zastąpienia tam 3 go pułku lekkiej piechoty francuskiej. — W Toruniu zastaliśmy jeszcze ten pułk, który czekał tylko na nasze przybycie i w kilka dni potem wymaszerował do Hiszpanii. — Komendantem miasta był gen. Woyczyński. — Wkrótce przysłano mi na gros-majora do pułku pana Darewskiego (później członka komisyi wojny). Niezrównany ten administrator stał mi się wielką pomocą; odtąd więcej mogłem się zajmować służbą i nauką. Pułk zatem wielkie czynił postępy we wszystkiem i nietylko łatwo i regularnie manewrował, ale ozdobnie występował. Tak się przebyło w Toruniu z korzyścią aż do wiosny 1809 r.

Biblioteka
Tow. wzaj. Pomocy
U. U. J.
w KRAKOWIE

ROZDZIAŁ V.

1809—1810. — Ślub Jana Weyssenhoffa z Teklą Otwinowską. — Kampania r. 1809. — Pułk 12-ty przyciąga z Torunia pod Warszawę. — Narada generałów o planie kampanii. — Poniatowski skłania się do zdania Dąbrowskiego. — Pułk 12-ty pod rozkazami Sokolnickiego, a prowadzony przez Weyssenhoffa, stacza 26 kwietnia pomyślną bitwę pod Grochowem. — Wzięcie przez Sokolnickiego okopu i mostu pod Górą, 3-go maja. — Wzięcie Sandomierza 17 maja.—Śmierć Marcelego Lubomirskiego. — Obrona Sandomierza 16 czerwca. — Weyssenhoff, ranny na murach miasta, leczy się w Lublinie, wraca do pułku w lipcu. — Kapitulacya Krakowa i podstępne wydanie miasta przez Austryaków Rosyanom. — Wejście wojsk polskich do Krakowa 15 lipca. — Spotkanie Weyssenhoffa z żoną. — Rzut oka na całą kampanię. — Przyjazd króla saskiego do Krakowa w maju 1810 roku.

W ciągu tej zimy (1808—1809) jeździłem niekiedy do Warszawy. Tam, wprowadzony przez przyjaciela mego, p. Aleksandra Linowskiego, do domu p. Otwinowskiego, Krakowiaka, kolegi brata mego Józefa w poselstwie na sejm czteroletni, poznałem córkę jego, pannę Teklę, a że była znakomitego wychowania i piękna, przywiązałem się do niej. Prosiłem o jej rękę listownie, gdyż ojciec był odjechał dla interesów

Biblioteka
Tow. wzaj. Pomocy
U. U. J.
w KRAKOWIE

do Krakowa, zostawiając córkę w Warszawie w towarzystwie państwa Leśniewskich i Izydorów Krasińskich. Otrzymawszy zezwolenie ojca (matka jej już nie żyła), przyśpieszyliśmy akt ślubny [1]). Świadkami byli: brat mój, marszałek Soltan, generał Hauke, Tadeusz Tyszkiewicz, Izydor Krasiński i wspomniany Aleksander Linowski.

Niedługo wszakże używałem szczęśliwych chwil, gdyż w parę tygodni przyszła wiadomość z Galicyi o zgonie ojca: było to w miesiącu lutym. W końcu zatem tego miesiąca musiała żona moja jechać do Krakowa, dokąd ją wzywały w nieładzie zostawione inieresa znacznego majątku. Z niewypowiedzianym smutkiem rozstawałem się z młodą żoną, tembardziej, że zachmurzony horyzont polityczny zapowiadał nowe burze i groził nawet przerwaniem komunikacyi z Krakowem. Po tem bolesnem rozstaniu się pośpieszyłem do pułku swojego do Torunia, gdzie przybycia mego niespokojnie wyglądano.

Mówiono już o niespokojności od granic austryackich, alić nagle odebraliśmy wiadomość o wypowiedzeniu wojny i razem o wkroczeniu w nasze granice mocnego korpusu nieprzyjacielskiego pod dowództwem arcyksięcia Ferdynanda. Lubo wszystko było groźne dla nas: i siły nieprzyjacielskie, pięć razy większe niż wszystkie, jakieśmy mu oponować mogli, i ubóstwo skarbu naszego, i trudność zastąpienia ubytków, — ta nowina nie zrobiła jednak w wojsku niekorzystnego wrażenia: chcieliśmy się spróbować z Austryakami, których wprawdzie dość mało

---

[1]) Odbył się w styczniu 1809 r.

ceniliśmy. Postęp nieprzyjaciela ku naszej stolicy był tak nagły, że kiedy książę Józef, wódz naczelny, zbierał co mógł wojska naszego pod Raszynem dla dania odporu zbliżającemu się nieprzyjacielowi, wtenczas dopiero doszedł nas rozkaz, aby jak najprędzej ciągnąć pod Warszawę, po prawym brzegu Wisły. Pułk był już zupełnie przygotowany; natychmiast zatem po odebraniu rozkazu kazałem uderzyć w bębny, urządziłem pułk i pożegnałem miasto. Major Darewski został z polową radą gospodarczą w Toruniu dla myślenia o dalszych potrzebach pułku.

Maszerując dzień i noc, pułk 12-ty przebył Płock i już zbliżał się do Wyszogrodu, kiedy spotkał pierwszego gońca, donoszącego o wczorajszej bitwie pod Raszynem. Stary pułkownik Parys zdawał się być przestraszony i tak w bitwie, jak w następstwach onej same tylko widział klęski. Rychło potem nadbiegł drugi goniec, major Chłapowski, który nam rzecz opisał tak, jak w rzeczy samej było. Bitwa pod Raszynem była najchlubniejsza dla naszego wodza i wojska: 7.000 naszych opierało się 40.000 nieprzyjaciela, który prócz przewagi liczby miał potężną artyleryę. Walka nierównemi siłami przez dzień cały tak była niestanowczą, że arcyksiążę Ferdynand nie wzbraniał się podpisać konwencyi, której całą pomyślność kampanii winni byliśmy. Książę Józef dowiódł w ciągu tego traktowania i przezorności wodza, i charakteru tęgiego człowieka. Zwyciężał trudności wnoszone przez wodza nieprzyjacielskiego jakiemś zaufaniem w swojej broni i udawaną gotowością do mierzenia się orężem pod stolicą, chociaż wiedział, że nie podoła; przez zawziętą walkę wczo-

rajszą wojsko było nieco zdemoralizowane i rozprzęgnięte. Swojej przeto jedynie energii winien był tę szczęśliwą konwencyę, mocą której całe wojsko miało swobodę cofnięcia się za prawy brzeg Wisły i czas do wywiezienia wszelkich wojennych zapasów, do zabezpieczenia sobie przedmieścia Pragi. Nadto nieprzyjaciel zobowiązał się szanować to przedmieście, nie niepokoić go od Warszawy, ani wylądowaniem wojska, ani działaniem z wysokich brzegów warszawskich. Po dokonaniu tej umowy wojsko nasze cofnęło się do Modlina.

Smutny przykład nieoświeconej burzliwości pospólstwa warszawskiego! Poduszczone przez kilka przewróconych głów, które się zawsze znajdą w krytycznych chwilach, pospólstwo warszawskie zaczęło wołać na zdradę i najchlubniejszą konwencyę, tę, która kraj zbawiła, a wojsko okryła sławą, wykrzykiwać przedajnością, przychylnością ku sprawie austryackiej, — tak, że wódz naczelny, wyprawiwszy wojsko za most, sam musiał prawie potajemnie i bocznemi uliczkami uchodzić z pomiędzy tego zwierzęcego wrzasku. Lecz najszkodliwsza w tem była, że ta opinia zaraziła i szeregi wojska i pomiędzy prostymi żołnierzami dały się gdzieniegdzie słyszeć powtarzania opinii szynkowych patryotów.

Przybywszy do Modlina, wszystko się dało powoli organizować. Z tego punktu trzeba już było coś stanowczego przedsięwziąć; od tego postanowienia zawisła nasza przyszłość. Wódz naczelny zwołał radę, do której należeli wyżsi generałowie i szef głównego sztabu. Zdania się dwoiły: szefa sztabu, generała Fiszera, było, aby się cofać ku Gdańskowi,

ponieważ uważał wszelki opór tak przeważnym siłom za zgubny. Za nim powtarzali niektórzy to samo, a szczególniej podszef sztabu, pułkownik Rautenstrauch. Generał Dąbrowski zaś wnosił, że trzeba działać na prawym brzegu Wisły, postępując zawsze ku Galicyi. Generał artyleryi, Pelletier, silnie to zdanie popierał: Napoleon z wielką armią działa stanowczo nad Dunajem, a my, nie opuszczając kraju, zachowujemy prawa nasze, wyjść możemy ze sławą, a tymczasem robimy bardzo korzystną dywersyę dla wielkiej armii; zneutralizować, jeżeli nie zniszczyć 40.000 wyborowego wojska nieprzyjacielskiego, było niemałą usługą oddaną cesarzowi. Z tej strony sława i korzyść, z tamtej upokorzenie i strata. Takie było zdanie Dąbrowskiego; nadto rozwinął on plan działania, wskutek którego, przypuszczając pomyślne wykonanie, z największą wyszlibyśmy chwałą, w razie zaś niepowodzenia zostawały nam liczne sposoby ujścia zupełnej klęski. Trzeba i to wziąć w uwagę, że Rosya nietylko nie była przeciwko nam, ale nawet stosownie do ostatniego traktatu winna była dać pomocy 40.000 wojska. Jakkolwiek później ta pomoc okazała się nam bardziej nieprzyjaźną, niż pożyteczną, moglibyśmy przynajmniej z tej strony być w początkach spokojni.

Książę Józef, radząc się szlachetnego charakteru i męstwa swojego, stanął przy zdaniu Dąbrowskiego.

Właśnie wtenczas przybyłem ze swoim pułkiem do obozu pod Modlinem. Postawa wojenna, czystość i nowe umundurowanie dwóch batalionów mego pułku i jakieś rycerskie zaufanie już w oblężeniu Gdańska ostrzelanego żołnierza wywarły widoczny wpływ na

całe zebrane wojsko, które nowo przybyłym z radością się przypatrywało. Około 4-ej po południu książę po mnie przysłał i tak mi mówił:

— «Odebraliśmy wiadomość, że nieprzyjaciel, przebywszy Wisłę powyżej Warszawy, przystępuje do Pragi, skąd umowa nie wzbrania jej atakować. Tyś się już mierzył, pułkowniku, z Prusakami i Rosyanami, ale Austryaków jeszcze nie znasz, masz teraz pole dowieść im waleczności pułku swojego. Generał Sokolnicki was poprowadzi. Idź i bądź wzorem dla wojska».

Wróciłem do pułku i rozkazawszy być w gotowości, rozdać ostre ładunki, broń opatrzyć etc., sam udałem się do generała Sokolnickiego. Niepodobna było wyjść niezachęconym od tego generała: duch przedsiębiorczy, wiadomości obszerne, wprawa wielka w konsultowaniu ludzi, map, a nadewszystko wypogodzone jakieś zaufanie i gorąca chęć działania, — podnosiły zapał i energię podkomendnych.

— «Idźmy zaraz — rzekł do mnie, objaśniwszy swój zamiar, — pułk 2-gi i dwie sztuki armat będą z nami».

Trzyfuntowe armatki pod dowództwem kapitana Adama Sołtana, jaką mogły, oddały nam usługę, ale trudno było działać, skoro się baterye sześciofuntowe nieprzyjacielskie odkryły. Ruszywszy z obozu wieczorem, maszerowaliśmy noc całą, a przybywszy przededniem [1]) na brzeg ostatniego lasku ku Pradze, stanęliśmy w nim w największej cichości, oczekując dnia i wiadomości z Pragi, z którą komunikacya

---

[1]) 26 kwietnia.

była jeszcze wolna. Skoro słońce weszło, ruszyliśmy naprzód: pułk 12-ty w ściśniętych kolumnach, batalionami, a pułk ułanów podzielony szwadronami na skrzydłach. W tym porządku postępując minęliśmy Pragę, nie spotkawszy nieprzyjaciela. Podstąpiwszy dopiero pod wzgórki piaszczyste (gdzie dziś żelazny pomnik drogowy), ujrzeliśmy piechotę nieprzyjacielską rozsypaną po wzgórzach. Tu już rzecz zaczęła być ważną. Maszerując zawsze naprzód, posłałem adjutanta pierwszego batalionu, porucznika Ludwika Dönnhoffa, do gen. Sokolnickiego z zapytaniem, co mam robić, czy tylko manewrować i przekonać się o sile nieprzyjaciela, czy zaś poprostu nacierać. Adjutant przyniósł: «Nacierać»! — To było łatwiejsze. Kazałem zatem podwoić kroku i w tym samym porządku postępować. Zbliżywszy się zaś tak do nieprzyjaciela, że jego ogień zaczął już sięgać naszych szeregów, zatrzymałem kolumny, a dla okazania więcej zimnej krwi i wrażenia porządku, wywołałem podoficerów wytycznych, kazałem adjutantom doskonale ich wyrównać, potem, zwinąwszy pierwszy batalion, zakomenderowałem:

— «W ramię broń» i — «naprzód, krok podwójny!».

Przekonany, że tylko gwałtownem działaniem można było jakąś korzyść odnieść, nie czekałem na rozwinięcie batalionu 2-go, ale posłałem rozkaz szefowi batalionu, Oskierce, aby starał się dogonić jak najśpieszniej i postępować w linii na lewem skrzydle 1-go batalionu. Kompaniom woltyżerskim kazałem rozsypać się po skrzydłach pułku i najgwałtowniejszy, jak można, robić ogień. Woltyżerowie nasi wów-

czas byli bardzo biegli w strzelaniu, bośmy tylko potrzebnych rzeczy uczyli i w mustrach żołnierzy do boju wprawiali. — Wskutek tych naszych ruchów piechota nieprzyjacielska, lubo znacznie liczniejsza, zaczęła ustępować. Wtem ukazał się z lasu po prawej ręce batalion nieprzyjacielski, który, biegnąc naprzód, wymijał nasze prawe skrzydło i groził tyłom. Osądziwszy, że tylko w zuchwałości zbawienie, nie wstrzymałem marszu, ale rozkazałem kapitanowi Białkowskiemu z kompanią grenadyerską 1-go batalionu rzucić się na skrzydło nieprzyjaciela. Ten ruch miał najpomyślniejszy skutek: batalion, przerażony napadem naszych bernic, zaczął natychmiast w nieładzie wracać do lasu, a kompania grenadyerów, uprzątnąwszy nieprzyjaciela, wróciła do swego szyku.

Pułk śpiesznym krokiem postępował za cofającym się nieprzyjacielem, aż pod Grochowem rozwinęła się austryacka baterya z 6 armat na samej drodze i zaczęła do nas ognia dawać na mały strzał, bez przeszkody. Kule czyniły nam straty, a szczególniej jedna, trafiwszy między doboszów maszerujących na czele, zabiła trzech i nieco uciszyła bębny. Zawołałem wtedy.

— «Dalej wiara! tej bateryi nie trzeba wypuścić!»

Znowu bębny odezwały się głośniej, żołnierze poszerzyli kroku, ale nieprzyjaciel, mimo piechoty osłaniającej, zwinął bateryę i śpiesznie cofać się zaczął. W tym porządku pędziliśmy, jedni goniąc, drudzy ustępując ku Wawrowi. Baterya, zająwszy jeszcze raz dobrą pozycyę, stanęła i działać zaczęła, ale widząc, że nas nie zatrzymuje, cofała się dalej.

Aż przybyliśmy pod sam Wawer. Za nim nieprzyjaciel zdawał się więcej ufać w swojem położeniu: baterya się rozwinęła, a dla osłonięcia onej podstąpiło kilka szwadronów huzarów (Kayserhusaren). — To był moment krytyczny: dwa bataliony bez żadnej pomocy oprócz dwóch kompanii woltyżerów pułku 8-go, przestrzeń milowa z tyłu otwartego pola, nieprzyjaciel z armatami i dobrą jazdą, nasz pułk ułanów strasznie miękki, niezabezpieczający piechoty, — oto konsyderacye, które mnie trapiły. Lecz trwając przy swojem zdaniu, że w walce z mocniejszym nieprzyjacielem, bez żadnego zabezpieczenia, jedna tylko zuchwałość zbawić może, będąc już blizko bateryi i huzarów, zakomenderowałem:

— «Za broń! na bagnety!» — i rozkazałem doboszom bić krok do nacierania (pas de charge).

Ta zmiana takie zrobiła na nieprzyjacielu wrażenie, że i baterya, i jazda zaczęły w nieładzie umykać w tył, gdzie je las wkrótce zasłonił i naszej pogoni koniec położył. Piechota nieprzyjacielska rozsypała się po lesie pojedyńczo; przekonaliśmy się o tem, słysząc przez całą noc strzały ręcznej broni we wszystkie strony po lesie.

Kiedy się wszystko uspokoiło o zachodzie słońca, kazałem zwinąć bataliony w kolumnę i, wystawiwszy straże ku lasowi, spocząć pułkowi z bronią w ręku. Strata nasza nie była znaczna. Najboleśniejszą dla mnie była strata porucznika Murzynowskiego. Już bataliony były zwinięte, oficerowie już rozmawiali o gorącej walce, kiedy przyszła z lasu jakaś stracona kula i ugodziła Murzynowskiego w kolano tak szkodliwie, że we dwadzieścia cztery godziny umarł

z tej rany. Korzyść nasza była: poległych wielu nieprzyjaciół i sto kilkadziesiąt niewolnika, między innymi kilku oficerów, a szczególnie rotmistrz od ułanów, Jakób Rzewuski, z Hrubieszowskiego, który był ranny i wzięty. — Gdyby nasza jazda walczyła tak odważnie, jak piechota, jest wielkie podobieństwo, że i mnóstwo niewolnika, i działa nieprzyjacielskie rąk by naszych nie uszły [1]).

Ledwo gwar w pułku uciszać się zaczął, przybiegł adjutant generała Sokolnickiego z pochwałami dla wojska i razem z poleceniem, aby się pułk cofnął pod Pragę. Ja, osądziwszy, że gdy się cofnie dla spoczynku lub bezpieczeństwa pod Pragę, a w tem mały patrol nieprzyjacielski zwiedzi pobojowisko, zajdzie niepewność otrzymanego placu, której przy pierwszem zwłaszcza zwycięstwie trzeba było starannie unikać, — duch wojska zawisł od tego. Posłałem więc odwrotnie do generała z temi uwagami i z prośbą, aby mi pozwolono zostać noc całą za Wawrem, gdzie stanąłem. Zezwolił na to generał i noc całą najspokojniej przebyliśmy. Ze wschodem słońca przyszedł rozkaz, aby pułk zmęczony i głodny cofnął się aż do Nieporęta, gdzie i spokojność i żywność znajdzie. Inne tymczasem wojsko zajęło miejsce pod Wawrem. Spocząwszy 24 godzin w Nieporęcie, pułk 12-ty ruszył podług rozkazu ku Okuniewowi, a stamtąd, połączywszy się z pułkiem 6-ym piechoty pułkownika Sierawskiego, jako awangarda wojska, komendero-

---

[1]) Porównaj opisy tej bitwy pod Grochowem u Skarbka (Dzieje Księstwa Warszawskiego. — T. II, s. 32) i u Romana Sołtyka (Relation... etc. de 1809. — str. 179—184).

wana zawsze przez generała Sokolnickiego — ruszył ku Karczewowi.

Wiadomość odebrana w sztabie głównym, że pod górą Kalwaryą Austryacy robią most i sypią przedmościa na prawym brzegu była powodem tego ruchu. Przebywszy Karczew, maszerowaliśmy do wsi Ostrowca na wysokim brzegu nad Powiślem, o ćwierć mili od rzeki położonej, prosto prawie naprzeciwko góry Kalwaryi. Słońce już zniżało się ku zachodowi, kiedyśmy stanęli w tej wsi. Wysokie krzaki nie dały widzieć, co robi nieprzyjaciel nad Wisłą, do której, oprócz odległości, dostęp był nadzwyczaj trudny: krzaki gęste, błoto i woda, dróżki żadnej.

Przysłany od księcia generał Pelletier, dowodzący artyleryą, rozpatrzywszy się w położeniu i w trudnościach, mimo bardzo przedsiębiorczego charakteru, był zdania, aby dziś nic nie przedsiębrać, a przez noc powziąć dokładniejsze wiadomości. Generał Sokolnicki stał spokojnie nad kartą i oczekiwał na gospodarzy tej wsi, po których był posłał. Wiadomość od nich zasiągnięta bardzo blizka pewności była, że nieprzyjaciel usypał i już prawie ukończył na naszej stronie wielki okop, z wyniesieniem w środku drugiego (réduit), że już cały pułk piechoty się w nim znajduje z kilku działami, pod zasłoną tego okopu robi most na Wiśle i już kilka tylko tratew ma do dokończenia. Generał Sokolnicki, zważywszy to wszystko, wziął dwóch ochoczych chłopów na przewodników, a odprawiwszy resztę, zawołał nas pułkowników i wobec generała Pelletier mówił do nas:

— «To jest chwila stanowcza: nieprzyjaciel, tak

zabezpieczając sobie przeprawę, zamyśla zapewne przejść z całą siłą na tę stronę, a wtenczas niepodobieństwo odporu odrzuca nas w tył i innej drogi nam nie zostawia, jak cofanie się do Gdańska. W tym wypadku wszystko stracone, a imię nasze zginie bez chwały. Dziś w nocy musimy wziąć ten okop, most zniszczyć, albo wszyscy poledz».

I nie rozbierając dalej, dał rozkaz, aby natychmiast ufundowany był batalion z 6 kompanii grenadyerskich, t. j. pułku 6-go, 12-go i 8-go, który się z nami tu złączył. Szefowi batalionu Blumerowi dał dowództwo tego batalionu. Drugi kazał ufundować z kompanii woltyżerskich tych pułków, a dowództwo powierzył podpułkownikowi Majaczewskiemu. Batalion grenadyerów otrzymał rozkaz maszerowania prosto przed siebie, przez wyż wspomniane krzaki i wody. Woltyżery zaś, podszedłszy w górę Wisły ćwierć mili, miały maszerować ku okopowi brzegiem onej, dróżką wygodniejszą. Przydał obu dowódzcom przewodników z zaleceniem Majaczewskiemu, aby, ponieważ on, według wszelkiego podobieństwa, prędzej przyjdzie na miejsce, wstrzymał atak, aż grenadyerzy go rozpoczną. Z tyłu za grenadyerami postępowało kilka kompanii piechoty dla pomocy w razie potrzeby; reszta wojska stała pod bronią na miejscu, w Ostrowcu.

Łatwo sobie wystawić, że wobec trudności pochodu grenadyerów, woltyżery przybyły wcześniej przed okop. Podpułkownik Majaczewski, postrzegłszy, że nieprzyjaciel już był ostrzeżony, zrozumiał, że oczekiwać na grenadyerów nie czas i rzucił się gwałtownie na okop. Ale nieprzyjaciel, nie mając dywer-

syi z drugiej strony, całą siłą mu się stawił i z wielką stratą naszych odparł ten atak. Wtem grenadyery zaczęły się wydobywać z krzaków i pod samym okopem spokojnie formować się. Skoro większa część batalionu była uformowana, szef Blumer przystąpił tak żwawo do okopu, że po krótkiej walce opanował fosy. Nieprzyjaciel, roztargniony pierwszym atakiem i już mniej śmiały w obronie, dał grenadyerom wdrapać się na wał.

Wtem i woltyżery ponowiły atak, bój stał się powszechny, krwi nie oszczędzano. Trwało to aż do wielkiego dnia, kiedy nasze wyborowe wojsko ujrzało się panem okopu, dział i reszty pułku nieprzyjacielskiego. Kazano natychmiast podstąpić dwom kompaniom, które szły w asekuracyi, i zaraz kopać rów naprzeciwko mostu, który już był blizkim ukończenia. Nieprzyjaciel, postrzegłszy swoje straty z drugiego brzegu, usiłował dokończyć mostu, ale nasze kompanie, zakopane nad brzegiem, tak dzielnym ogniem raziły wojsko i rzemieślników postępujących po moście, że nakoniec, widząc niepodobieństwo, nieprzyjaciel odstąpił swego przedsięwzięcia. Grenadyery i woltyżery wracały już do obozu, prowadząc jeńców: pułkownika Czerwinkę ze 40 oficerami i resztę pułku wallońskiego, Latour-Baillet. Myśmy ponieśli wielką stratę w wojsku i obadwaj dowódzcy byli ranni: podpułkownik Majaczewski miał aż 5 kul w sobie, a szef Blumer jedną, ale niebezpieczną.

Tymczasem arcyksiążę Ferdynand, uwiadomiony w Warszawie o rozpoczętej walce, pędził do Góry z całą artyleryą i przybył o 10 rano — i tak już zapóźno. Sądząc jednak, że ze swojego wysokiego

brzegu zdoła wypędzić naszą straż z okopu, rozpoczął straszliwy ogień wszystkich dział, lecz okop już był ewakuowany, a dwom kompaniom, które głęboki rów ukrywał, nic szkodzić nie mogło. Po przeszło dwugodzinnem nadaremnem traceniu amunicyi, rozkazał resztę mostu zniszczyć i wrócił do Warszawy z artyleryą, którą przyprowadził [1]).

Generał Sokolnicki wysłał podoficera, który mu się nawinął, dla pośpiechu, z ustnym raportem do księcia Józefa o tak pomyślnym wypadku. Rzecz była uważana za tak trudną, prawie niepodobną, że temu raportowi wierzyć nie chciano. Sam generał Pelletier przybiegł konno dla sprawdzenia tego: z zadziwieniem znalazł potwierdzenie wszystkiego, spotkał jeńców i działa już ruszające do głównej kwatery. Co za tryumf! Generał Pelletier nie taił, że był przeciwny zdaniu Sokolnickiego, że upatrywał niepodobieństwo w wykonaniu tak hazardownego przedsięwzięcia. Ale gdy się rozpatrzono, że kilkanaście godzin opóźnienia uczyniłoby może daremnemi usiłowania całego naszego wojska, gdy się okazało, że to zwycięstwo otworzyło nam cały prawy brzeg Wisły i drogę do Galicyi, wszyscy oddali sprawiedliwość przezorności i odwadze generała Sokolnickiego. Pomyślność całej kampanii zawisła od tej chwili. Książę wódz naczelny przybył sam do Ostrowca, aby wodzowi i wojsku oświadczyć swoje zadowolenie.

Zabezpieczone Wisłą prawe nasze skrzydło, otwarte obszerne pole przed nami — zmieniło plan działań. Część wojska była posłana ku Zamościowi,

---

[1]) Działo się 3 maja 1809.

a po wzięciu tej twierdzy, generał Rożniecki miał polecenie wtargnięcia z całą jazdą do Galicyi. Wszystko to uskutecznione zostało, jak później zobaczymy. Generał Sokolnicki zaś, wzmocniony 3-im pułkiem piechoty i pułk 3-ci ułanów zastąpiony pułkiem 6-ym Dziewanowskiego — otrzymali rozkaz postępowania w górę wzdłuż Wisły. Tak wkrótce przez Puławy (gdzie nas księżna Czartoryska czekała z ucztą), przybyliśmy do R....owa (?). Tam generał Sokolnicki, zwoławszy swoim zwyczajem wszystko, co tylko gadać umiało, wprawnie rozpoznając prawdę od bajek, dowiedział się, że w Sandomierzu był garnizon 3.000 piechoty i nieco jazdy z kilkudziesięciu działami różnego kalibru; że piechota była po większej części złożona z nowego żołnierza, że miasto było otoczone okopami etc. Odważnym pomysłem postanowił tu przejść Wisłę i wziąć Sandomierz.

W tych okolicznościach dowódzca 2-go batalionu pułku 12-go, Oskierka został posłany na dowódzcę pułku 5-go piechoty, niegdyś ks. Michała Radziwiłła, a ks. Marceli Lubomirski został mi przysłany w to miejsce na dowódzcę batalionu.

Generał Sokolnicki nie wahał się w swoich projektach i natychmiast rozkazał spędzić ile się dało statków różnej natury. Ku wieczorowi dnia następnego wojsko zaczęło się przeprawiać. Woltyżery pułku 12-go najpierwsze wylądowały na lewy brzeg; wsiadłem na pierwszy statek ze swoimi woltyżerami. Kilkunastu huzarów nieprzyjacielskich flankierujących nad brzegiem ogień woltyżerów zaraz spędził; reszta dywizyi spokojnie się przeprawiła, a urządzone wojsko ruszyło ku Sandomierzowi bez żadnej prze-

szkody. Na czele jechał bryczką żyd z Kazimierza, który ofiarował się być przewodnikiem pod samo miasto (nazwiska jego nie wiem). O zachodzie słońca [1], stanęliśmy pod Sandomierzem. Miasto to jest opasane wąwozami i bardzo trudnego dostępu. Nikt z nas nie znał tej okolicy. Większa nieco droga prowadziła ze środka nas do miasta, ale ta spuszczała się kręto pomiędzy wąwozy, tak iż rozpoznać jej niepodobna było. Generał kazał najprzód rzucić kilka granatów do miasta, a gdy się zmierzchło, dał rozkaz, aby jedna kompania grenadyerska pułku 12-go zwiedziła tak daleko, jak można będzie, tę drogę. Marceli Lubomirski żądał być dowódzcą tej wyprawy; nie odmówiłem mu, ceniąc tak szlachetny zapał. Dwie kompanie środkowe postępowały w pewnem oddaleniu za grenadyerską dla wsparcia w potrzebie. Przybywszy pod samą bramę, którą osłaniał mały okopek pomiędzy wąwozami, niewstrzymany Lubomirski wskoczył na okop i w tym momencie w piersi ugodzony kulą, został na miejscu. Nieprzyjaciel zaczął sypać gęstym ogniem z murów i z okopu. Grenadyery, nie widząc nic przed sobą, noc ciemna bowiem już zapadła, nie mogąc zboczyć z drogi otoczonej przepaściami, wrócili do obozu, unosząc ciało swego dowódzcy.

Gdyby znajome było położenie, Sandomierz mógł być zaraz wzięty, ale lepiej się stało, gdyż dopięliśmy tego z większą korzyścią i bez rozlewu krwi [2].

---

[1]) 17 maja.

[2]) Weyssenhoff nie wspomina o pomyślnych działaniach pułkownika Sierawskiego i generała Rożnieckiego, którego atak na most skłonił załogę do kapitulacyi.

W godzinę po nieprzewidzianej utarczce przybył od nieprzyjaciela kapitan od inżynierów, Męciszewski, który fortyfikował Sandomierz, z propozycyą kapitulacyi. (M. wszedł później do naszego wojska, postąpił na pułkownika, a w czasie rewolucyi 1831 r. zginął obok generała Hauke). Kondycye generała Sokolnickiego były, aby wszyscy Polacy, w wojsku będący, byli zostawieni w mieście, oraz działa większego kalibru, zapasy i magazyny w całości, i aby miasto było ewakuowane natychmiast. Austryacy byli tak przerażeni, że na wszystko przystali. Ze wschodem słońca weszliśmy do miasta, a nieprzyjaciel nie miał ani czasu, ani sposobu uprowadzenia nawet tych dział, które mu kapitulacya akordowała. Wszystko zostało przy nas: żywność, amunicya, wiele zapasów wojskowych, tysiąc Polaków z wojska.

Pomyślność ta była wszakże przyćmiona żalem całego wojska po stracie Lubomirskiego. Młody ten człowiek, starannego wychowania, szlachetnych zasad i gorącego przywiązania do kraju, dał poznać w pierwszym kroku, czego się towarzysze po nim spodziewać mogli. Łzy powszechne towarzyszyły mu do grobu.

Po opanowaniu Sandomierza generał Sokolnicki urządził służbę i dopełnił potrzeb. Szef batalionu, Bontemps [1]), komendant artyleryi, miał sobie powierzone

---

[1]) Szef batalionu artyleryi, później pułkownik, a za organizacyi Królestwa — generał brygady, dyrektor materyi artyleryi. Następnie miał ten sam stopień i przeznaczenie w służbie rosyjskiej. Zginął przez zerwanie jaszczyka w próbie ognia Pexame(?).

Przypisek autora.

wydoskonalenie fortyfikacyi, a wojsko winien był zaopatrzyć w amunicyę: materyałów znalazł aż nadto. Co do pierwszego, szedł drogą najniewłaściwszą, jak zobaczymy, — o drugiem zaś wcale nie myślał. Te dwa błędy wielką zrządziły różnicę w dalszym ciągu kampanii. — Wódz naczelny był zdania, aby, zabrawszy wszystko z Sandomierza, wojsko Sokolnickiego wróciło na prawy brzeg Wisły i połączyło się z resztą, — w przekonaniu, że to miasto nie mogło być bronione przeciw całej sile nieprzyjaciela, panującego na lewym brzegu Wisły. Ale generał Sokolnicki, nie chcąc odstąpić swego tryumfu, tak usilnie prosił o pozostanie w Sandomierzu, że książę zezwolił.

Około tego czasu Zamość był wzięty [1]). Pułk 2-gi piechoty pod dowództwem pułkownika Stasia Potockiego szczególnie się tam odznaczył. Generał Rożniecki wybierał się już do Galicyi.

Wadą generała Sokolnickiego była namiętność pisania kwiecistych raportów — i tu się niemi bawił, a mniej dozorował utwierdzenia naszego niebezpiecznego stanowiska. P. Bontemps rozszerzył nierozważnie linię obrońców, tem osłabił wszystkie punkta i obronę utrudnił. Więcej zaś zawinił, zaniedbując zupełnie konfekcyę amunicyi: żołnierze tylko patrontasze mieli opatrzone, a kiesony próżne. Opieszałość ta pozbawiła nas najświetniejszego tryumfu tej kampanii i przyczyniła się do przedłużenia onej.

Wódz naczelny był na prawym brzegu Wisły pod Warszawą, my zaś trzymaliśmy Sandomierz

---

[1]) W nocy z 19 na 20 maja przez gen. Pelletier.

z niepojętem zaślepieniem: moc nieprzyjacielska groziła nam, a my żadnej pomocy ani cofnięcia się mieć nie mogliśmy, gdyż Wisła bez mostu przedzielała nas od reszty wojska. — Stało się, jak przewidziano: generał Schauroth podstąpił pod miasto z 11.000 wojska i mocną artyleryą. Siła nasza składała się z trzech pułków piechoty, to jest 3-go Żółtowskiego, 6-go Sierawskiego i 12-go mojego i z pułku jazdy Dziewanowskiego. Pułki piechoty liczyły ledwie po 1.000 ludzi, a pułk jazdy około 400 koni. Armat mieliśmy dosyć, ale nieczynność pana Bontemps zostawiła większą ich część bez użytku. — Z wież Sandomierza obserwowaliśmy nieprzyjaciela, który swoją siłę ukrywał za górami i w lasach, przednie straże zaś jego rozciągały się na polach w blizkości miasta. Częste utarczki, mniej więcej pomyślne, zmusiły nieprzyjaciela do cofnięcia straży aż o milę. Nie wątpiliśmy jednak, że ta siła nieprzyjacielska była przeznaczona na powetowanie klęsk i odebranie nam miasta.

15 czerwca ujrzeliśmy ku wieczorowi znaczną ilość dział ustawiających się na przedmieściu zrujnowanem na drugiej stronie rzeki, naprzeciw miasta. Wojsko wodza naczelnego było tymczasem zatrudnione zmyślonym atakiem przez znaczne siły nieprzyjacielskie, które wraz ze wspomnianą artyleryą przeprawiły się przez Wisłę powyżej Nowego Miasta. — Wojska rosyjskie, niby nasze auxyliarne, pod dowództwem generał-lejtnanta Suworowa stały w blizkości księcia i książę rachował na ich pomoc, a przynajmniej na okazanie większego frontu przemożnemu nieprzyjacielowi. Ale na żądanie księcia,

aby Suworow zbliżył się do naszego lewego skrzydła, przeszkody jakieś i zmyślone przyczyny nie dozwoliły Rosyanom odpowiedzieć temu oczekiwaniu. Bez żadnej klęski obeszło się przecież, ale Sandomierz był atakowany bez dywersyi. Artylerya, która już się ustanowiła w przedmieściu, jak wyżej powiedziano, stosowała się do dyspozycyi generała Schaurotha i w milczeniu oczekiwała sygnału. Generał Schauroth zbliżył się z całą siłą ku miastu i około 9-tej wieczorem [1]) przysłał groźny bilet do generała Sokolnickiego, wzywający do poddania miasta i garnizonu, zapowiadający szturm i wszystkie nieszczęścia stąd wyniknąć mogące. Generał austryacki, Schauroth, był ten sam, którego oddział spędziliśmy pod Grochowem, i któremu wzięliśmy okop pod Górą. Generał Sokolnicki odpisał mu natychmiast następujący bilet:

«Mon général! Vous m'avez déja fourni l'occasion de prouver, que les troupes, que j'ai l'honneur de commander, savent attaquer les postes fortifiés; Vous voulez bien maintenant m'en fournir une pour prouver, qu'elles savent tout aussi bien les défendre. J'accepte le défi et je vous attends».

Odprawiwszy tak, generał zwołał natychmiast dowódzców pułków, udzielił im tę wiadomość, rozkazał, aby się udali na swoje miejsca i urządzili wszystko stosownie do wcześniej wydanych instrukcyi. Rozbiegli się natychmiast do swoich pułków. Pułkownik Żółtowski miał sobie powierzoną obronę bramy Lubelskiej i ościennych pozycyi; pułkownik Sie-

---

[1]) 16 czerwca.

rawski — bramy Krakowskiej i lewego frontu, a ja — głównego frontu od kościoła św. Pawła aż do klasztoru . . . . . (?) przytykającego do prawego frontu, bronionego przez pułk 3-ci. Ta niezmiernie rozciągła linia w najniekorzystniejszem położeniu i nadto osłabiona dodatkami poczynionemi przez pana Bontemps, nie pozwoliła mi rachować na moc okopów; cała nadzieja spoczywała w doświadczeniu i waleczności pułku mojego. Część pułku była ustawiona pod murami miasta za okopem niby obronnym, ledwo po pas zasłaniającym żołnierza; druga część była rozesłana po oddzielnych stanowiskach, wysuniętych zbyt odlegle naprzód i równie słabo fortyfikowanych.

Około 10-ej zaczął nieprzyjaciel okropny ogień tak z frontu jak i z za Wisły. Granaty zapaliły drewniane po większej części miasto w pięciu miejscach; wołanie mieszkańców, krzyk przeraźliwy żydów, zebranych w bożnicy, — czyniły chwilę straszną. Ogień trwał blizko dwóch godzin, skuteczny, bo miał obszerny przedmiot, poczem ucichł, co było znakiem, że ma się rozpocząć szturm. Tu dowódzcy pułków obiegali swoje stanowiska, zachęcając żołnierzy do mężnego stawienia się. Ja, wydawszy we wszystkich stanowiskach potrzebne dyspozycye, udałem się do najoddaleńszego posterunku na cmentarzu kościółka św. Pawła. Ten posterunek, wysunięty kilkaset sążni przed mury miasta i panujący całemu położeniu, zdawał się najważniejszym i zapewne na usiłowania nieprzyjaciela najbardziej wystawionym. Broniły go dwie kompanie pułku 12-go pod dowództwem dzielnego podpułkownika Białkowskiego, jedno działo sześciofuntowe i granatnik polowy. Słabać to była załoga, ale

Biblioteka Tow. wzaj. Pomocy U. U. J. LWÓW

wskutek rozwlekłej linii bojowej wzmocnić jej nie było czem. Skoro tam przybyłem, następujące poczyniłem dyspozycye. Noc była spokojna, ale nadzwyczaj ciemna; do oświecenia trochę pola przed sobą były przygotowane wielkie stosy drzewa przekładane materyałami palnemi, — po bokach i opodal od obwodu cmentarza. Wybrałem zaufanego podoficera i dałem mu kilku żołnierzy z rozkazem, aby z nich ustawił łańcuch przed posterunkiem i słuchał, gdyż nic widać nie było. Skoro te wedety usłyszą tentent postępującego nieprzyjaciela, wnet miały bez wołania zmykać do kompanii, a stosy palne miały być zapalone przez ludzi na to umyślnie przeznaczonych. Miało się to stać bez hałasu i, o ile możności, niepostrzeżenie od atakującego. — Wszystko było uskutecznione, jak rozkazano, a wkrótce zbiegająca się straż do cmentarza, stosy zapalające się i raport podoficera «już idą!» — kazały być gotowymi na groźny moment. Żołnierzom swoim w największej cichości rozkazałem skryć się za murkiem i nie powstać, aż zawołam. Niedługo kolumny nieprzyjacielskie, postępując spiesznym krokiem i w porządku, weszły w sferę już oświeconego pola. Czatowałem za murkiem, a przypuściwszy kolumny na kroków czterdzieści, ufny dobremu strzelaniu żołnierzy, dałem półgłosem komendę:

— «Teraz się podnieść spokojnie — dowolny ogień!»

Wojsko rozpoczęło zabójczy ogień: żadna kula nie chybiała; nieprzyjaciel, przerażony, zachwiał się, a oficerowie zaczęli już wołać:

— «Avance, avance!»

Wówczas podniósłszy kapelusz, zawołałem:

— «Dobrze mierzyć! Już kolumny nie postąpią naprzód, bo krzyczą».

W rzeczy samej, usławszy trupem pole przed cmentarzem, cofnęły się i nastąpił moment ciszy. Później strzelcy pozakradani w parowach, które otaczały cmentarz, zaczęli szkodzić nam, mało będąc wystawieni na nasz ogień. To trwało z godzinę, poczem postrzegliśmy, że kolumna nieprzyjacielska ciągnie po naszej lewej przez rzadki sadek przytykający do stanowiska naszego, dążąc do zajęcia nam tyłów i uderzenia od strony miasta. Wtem kolumny frontu znów ruszyły. Położenie nasze było krytyczne: droga od miasta do cmentarza szła wąwozem, a cmentarz od tej komunikacyi był zamknięty drewnianą bramką z cienkich i nawpół zgniłych tarcic. Nieprzyjaciel podszedłszy cicho, mógł wyłamać tę bramę ręką nawet i wcisnąć się do cmentarza. Osądziwszy, że lepiej walczyć, widząc nieprzyjaciela, kazałem bramkę otworzyć, ostatnią swoją rezerwę z 30 ludzi podzieliłem na dwoje: jedną połowę postawiłem wprost bramki o kilka kroków, a drugą z boku pod prostym kątem do pierwszej z poleceniem, aby, gdy nieprzyjaciel będzie się wciskał w otwór, naprzeciw stojący oddział dał ognia plutonem, a gdyby to nie powstrzymało, wtenczas boczny oddział miał się rzucić z bagnetem. Wykonanie tej dyspozycyi poleciłem z zaufaniem podpułkownikowi Białkowskiemu i nie byłem zawiedziony. Jak przewidziałem, Austryacy, zaszedłszy z tyłu prosto biegli na bramkę, która ich tembardziej wabiła, że była otwarta. Ogień oświecający z daleka nie pozwalał dokładnie rozeznawać,

a oficerowie austryaccy, chcąc ułatwić sobie przystęp, przed samą bramą zaczęli wołać:

— «Cicho, cicho! to woltyżery pułku 6-go!»

Pan Białkowski, nie dowierzając tym głosom, przypatrywał się z największą bacznością, a dostrzegłszy, że to nieprzyjaciel, w momencie, kiedy ten już wchodził w bramkę, zawołał głośno:

— «A palże do tych k . . . . ! to nie nasi!»

Wystrzał oddziału był tak skuteczny, że oficerowie i żołnierze idący na czele padli wszyscy, a reszta zmieszana ratowała się ucieczką.

Kiedy się to działo, ja, atakowany od frontu na nowo, pomyślnie odpierałem nieprzyjaciela, a chcąc, aby działo 6-funtowe kartaczami strzeliło do kolumny, wbiegłem na platformę, zawołałem na artylerzystów, którzy mimo mojego rozkazu mieli już działo nabite kulą. Nieukontentowany tem, porwałem kanoniera za kołnierz, wciągnąłem na platformę w celu dania ognia, choć mniej skutecznego, kulą. Wtem kanonier, kulą w piersi ugodzony, upadł mi pod nogi na stos ładunków armatnich dla pośpiechu przy dziale ułożonych. Lont gorejący, który trzymał w ręku, zapalił ładunki. Wybuch był tak silny, że mnie rzucił o kilka kroków w tył, spaliwszy mi mundur na węgiel, a twarz i oczy do żywego oparzywszy. Nie przeszkadzało mi to być czynnym, gdyż bóle i zaćmienie oczu przyszły dopiero w kilka godzin później. Kanonier był zabity, ja miałem przestrzelony kapelusz [1]).

---

[1]) Por. R. Sołtyk (Relation . . . etc.), str. 288—289, oraz

Odtąd zaniechał nieprzyjaciel ataku i tylko w wąwozach ukryte strzelcy jego szkodliwym ogniem nam dokuczały. Już się też i dzień wielki zrobił i słońce weszło. Nie widzieliśmy nieprzyjaciela ani przed, ani za nami: wszystko się uciszyło, oprócz wyż wspomnianych strzelców. Generał Sokolnicki przysłał nam wówczas w pomoc kompanię grenadyerską batalionu 2-go, pułku 12-go, dowodzoną przez swego kapitana, Jana Płońskiego, a ponieważ już nam nie była potrzebna, wysłałem ją, aby bagnetem strzelców nieprzyjacielskich z wąwozu wypłoszyła. Uskutecznił to kapitan dokładnie: bez wystrzału zabrał prawie wszystkich w liczbie dwustu kilkudziesięciu i przyprowadził do cmentarza.

Tak się ten szczęśliwy dzień w tym punkcie zakończył. Nie cała linia pułku 12-go była równie szczęśliwa: zbytecznie rozległa, rozproszonemi oddziałami broniona, była w środku przełamana. Szef batalionu Morawski i około 100 żołnierzy dostało się w niewolę nieprzyjacielowi, ale miasto zostało obronione; nieprzyjaciel cofnął się o milę w tył. Tryumf ten był tem większy, że wszystkie korzyści były po stronie atakującego: przemożność sił, ilość dział, znajomość położenia i słabość okopów. Atak był i tem ułatwiony, że plan onego był ułożony przez kapitana Męciszewskiego, który sam to miasto fortyfikował. Aczkolwiekbądź przymuszeni byliśmy dobrowolnie ustąpić z Sandomierza, obrona ta może być policzona między najpiękniejsze fakta militarne. Opieszałości

---

Rys kampanii 1809 r. (Poznań 1869) — str. 70—71 i rozkaz dzienny ks. Józefa 18(?) czerwca 1809 r.

p. Bontemps winniśmy byli tę przeciwność. Po skończonym ataku, gdy wszystkie pułki zużyły swoją amunicyę, pokazało się, że p. Bontemps nie miał ani jednego ładunku gotowego, że znajdujące się w magazynie ładunki po Austryakach nie mieściły się w naszym kalibrze. Przerabiać je wtenczas było zapóźno. Nieprzyjaciel zapowiadał ponownie szturm dnia następującego. Mimo najmężniejszej dyspozycyi garnizonu, generał Sokolnicki, zważywszy, że cała piechota nie miała ładunków (o czem nieprzyjaciel był zapewne uwiadomiony przez gęste komunikacye, które się natychmiast między nim a miastem ustanowiły), że wszyscy trzej dowódzcy pułków byli ranni, że na artyleryę pod dowództwem p. Bontemps nie mogliśmy rachować, — zmuszony był do wejścia w układy. Stanęła następująca konwencya: wojsko polskie wyjdzie z miasta, zabierając wszystkie działa i wozy; wszyscy Polacy wcieleni z wojska austryackiego w nasze szeregi pozostaną przy nas; wojsko maszerujące w dół Wisły nie mogło być atakowane aż się przeprawi przez rzekę; jeńcy będą wymienieni na równą liczbę (mieliśmy ich przeszło 600). Ta konwencya była dosłownie wypełniona. W zamian za naszych oficerów i stu żołnierzy oddaliśmy wszystkich Niemców, Węgrów, Wołochów etc. Tym sposobem szef batalionu Morawski w liczbie oficerów był nam wrócony.

Miałem tak mocno skaleczoną twarz i głowę, że musiałem być osobno transportowany do miejsca, gdzieby mnie spokojnie mogli leczyć. Na żądanie generała Sokolnickiego, dowódzca austryacki dał mi dla bezpieczeństwa eskortę z huzarów. Ci z największymi

względami przeprowadzili mnie do Józefowa, gdzie przepędziłem trzy dni. Cierpienia wzmagały się, głowa spuchła niebezpiecznie i 48 godzin miałem obawę o wzrok. Na drugi dzień po przybyciu moim do Józefowa przysłała księżna marszałkowa Czartoryska, z Puław, karetę, chcąc abym tam był przewieziony i staranniej leczony, ale cierpienia moje, brak wzroku i słuch przytępiony nie dały mi skorzystać z tak powabnej propozycyi. Zawieziono mnie do Lublina; pani Umieniecka ofiarowała mi u siebie mieszkanie, a starania o chorym w domu jej były takie, że w domu rodzicielskim nie doznałbym więcej pieczołowitości. Po kilku tygodniach leczenia, jeszcze z plastrami na nosie i uszach, pojechałem do Puław dla złożenia dzięków księżnej, i następnie połączyłem się ze swoim pułkiem.

Tymczasem już na wielkim teatrze los wojny się decydował. Napoleon gotował się do bitwy pod Wagram. Austryacy ściągali tam wszystkie swoje siły, arcyksiążę Ferdynand otrzymał także rozkaz opuszczenia Polski; wojska jego, dobrze podniszczone, ciągnęły śpiesznie na Kraków do Czech. Nasz wódz naczelny postępował żywo za nimi, ale dopiero w Krakowie dogonił ich aryergardę. Ja dopadłem swego pułku w Kielcach, gdzie od kolegów i wodza naczelnego uprzejmie byłem witany. Tam książę uformował brygadę przyboczną w nagrodę prac i czynów kompanii. Pułkownik Staś Potocki ze swoim pułkiem 2-im (który wziął Zamość), i ja z moim 12-ym, złożyliśmy tę brygadę, która do końca głównej kwatery nie odstąpiła.

Przybywszy do Krakowa, znaleźliśmy tam, jak

powiedziałem, tylną straż nieprzyjacielską. Generał Rożniecki otrzymał rozkaz atakowania i wzięcia Krakowa. Za zbliżeniem się jego, generał austryacki ofiarował kapitulacyę, Kraków był oddany, a wszyscy ranni poleceni ludzkości wodza polskiego. Umowa stanęła wieczorem około godziny 9-ej [1]). Ponieważ wojsko nasze było tylko o dwie mile od miasta i żadna trudność przewidzieć się nie dała, generał Rożniecki przestał na obustronnem podpisaniu umowy, nie zajął żadnej bramy, ani sobie zabezpieczył niczem posiadania miasta.

Wojsko polskie, będąc tak blizko, nazajutrz rano miało wejść do Krakowa. Przed nocą zbliżyliśmy się aż do Michałowic, o małą milę od miasta. Stała przed nami sławna stolica; opanować ją, wrócić ją ojczyźnie – była myśl tak radośna, że nie myśląc ani o spoczynku, ani o pożywieniu, wszystko się tylko czyściło, ubierało, aby świetnie uczcić tę drogą sercom chwilę. Oficerowie i żołnierze wybiegali na wzgórza, aby dostrzedz jaką wieżę lub jakie światło tego tak dawno utraconego grodu. Skoro słońce się pokazało, ruszyło całe wojsko w największej paradzie ku miastu; serca wszystkie biły z radości. Ale ledwieśmy uszli ćwierć mili, uczucie to zamieniło się w nienawiść i chęć zemsty. Raport przysłany z miasta doniósł księciu, że w nocy Rosyanie miasto zajęli. Tu pokazała się zła wiara i nikczemność Austryaków: nie mogąc obronić miasta, wódz austryacki, podpisawszy kapitulacyę z nami, sprowadził przez noc wojska rosyjskie, śpiesznie wie-

---

[1]) 14 lipca.

zione z Tarnowa furami i pocztą, — i tym wydał miasto, zapewne w nadziei dochowania go sobie, przy pokoju powszechnym. Nasz książę, przerażony tą wiadomością, przypisał winę generałowi Rożnieckiemu i zapowiedział mu, że Kraków musi być natychmiast przez naszych zajęty. Do wzięcia, ile potrzeba, wojska, upoważnił książę generała. Trudne to było polecenie, gdyż z Rosyanami bić się nie można było, a do wyparcia ich innego sposobu nie upatrzył. Z tem wszystkiem generał Rożniecki, wziąwszy dwa pułki ułanów i kazawszy 2-mu pułkowi piechoty jak najżywiej pośpieszać za sobą, z kapitulacyą w ręku, kłusem ruszył do miasta. Bramy onego już były osadzone przez wojsko rosyjskie, lecz ułany szły tak zdecydowanym kłusem, że się warty pousuwały. Tak wpadł generał na rynek, a rozkazawszy pułkom biedz ciągle kłusem, w pośród zadziwionych Rosyan, do mostu na Podgórze, sam się zatrzymał, widząc ich piechotę na rynku i 12 dział z lontami zapalonymi, a na ich czele gen. Sieversa, który zapytał, jakim prawem wkroczył do miasta przezeń zajętego. — Generał Rożniecki, pokazując mu akt kapitulacyi wczorajszej, odpowiedział:

— «Oto jest moje prawo; wiecie tak dobrze jak i my, aleście się porozumieli z nieprzyjacielem».

Wtem piechota nadciągnęła i podobnież, mimo niejakiego oporu wart, siłą weszła do miasta. Włodzimierz Potocki i pułkownik Krukowiecki, widząc główny hauptwach zajęty przez Rosyan, którzy stali pod bronią jakby gotowi do boju, rozkazali kompanii grenadyerskiej maszerować rotami przez prawo, zajść w tył tej warty między nią i domem, uformować

front i stać spokojnie, zająwszy izbę oficerską i żołnierską. Ten fortel udał się pomyślnie, gdyż kompania rosyjska, nie mogąc zostać tyłem do naszej o trzy kroki, po niejakim namyśle zmuszona była ustąpić, zostawiając naszym grenadyerom posiadanie głównego hauptwachu, co, stosownie do obyczaju wojskowego, stanowi o posiadaniu miasta. Tymczasem brygada jazdy przebiegła most, a za Podgórzem podzieliwszy się, jeden pułk rzucił się na lewo i zajął Wieliczkę i Bochnię, a drugi na prawo — Gdów. — Już też i reszta wojska nadciągnęła i wódz naczelny, mimo zaprzeczeń warty, wkroczył do miasta; część wojska zajęła korzystne położenie na około. — Wyrzuty naszego wodza czynione generałowi Sieversowi, a bardziej wszystkie ulice zapełnione naszą piechotą, strwożyły Rosyan, którzy po 24 godzinnem targowaniu się, ustąpili nareszcie z działami i wojskiem za Wisłę, zostawiając tylko dla przyzwoitości, mały oddziałek piechoty w mieście, a i ten, za przybyciem generał-lejtnanta, Suworowa, wyszedł i połączył się ze swoimi. — Wojsko nasze, obrażone podstępem, wrzało całe, ale konsyderacye polityczne kazały stłumić ten zapał. — Tak zostaliśmy spokojnie w mieście i za miastem, a wódz nasz zajęty był tylko planami dalszego działania w kierunku za uchodzącym nieprzyjacielem.

Teraz wracam do opowiadania o sobie. Gdy wojsko przybyło pod Kraków, pułk 12-ty otrzymał rozkaz zajęcia stanowiska pod przedmieściem Wesołe. Generał Zajączek komenderował całem skrzydłem. Całe wojsko około miasta, w szyku bojowym, oczekiwało niecierpliwie rezultatu wkroczenia naszych.

Gdy wkrótce przyszły wiadomości zaspakajające, pułk 12-ty spoczywał na swojem stanowisku pod bronią. Wtem postrzegłem powóz z miasta idący ku stanowisku; poznałem z daleka lokaja i biegłem do powozu. W powozie była moja żona w towarzystwie krewnego swego, Ludwika Morsztyna [1]), przyjaciela mego i kompana podróży po Francyi, Włoszech i Szwajcaryi. — Spotkanie to z niedawno pojętą żoną było rozrzewniające; żona, widząc mnie z obwiązaną głową, potrzebowała czasu, aby się przekonać, że już żadnych szkodliwych skutków z tego obawiać się nie należało. Morsztyn, od lat ośmiu niewidziany — wszystko to było nadzwyczajnych wzruszeń powodem. Na prośbę moją, generał Zajączek akordował mi urlop, aż do wieczora. Wsiadłem więc do powozu i w tem najmilszem towarzystwie pierwszy raz wjechałem do Krakowa i oglądałem mury tej dawnej naszej stolicy.

Kiedyśmy kilka dni stali spokojnie, kiedy Lwów, Przemyśl i cała Galicya była zajęta przez naszą jazdę i nowo formujące się wojska, pewnego ranka huk dział nas obudził, a rozkaz dzienny ogłosił zwycięstwo Napoleona, bitwę pod Wagram [2]), i zawieszenie broni z Austryą. — Podczas rokowań pokojowych w Schönbrunn, radość nasza była powszechną, bośmy nie wątpili, że zdobyta przez nas Galicya zostanie nam powrócona, pomnoży nasze siły i zasoby. Niestety — rachowaliśmy bez gospodarza. Wkrótce nadesłane punkta pokoju uwiadomiły nas, że całą

---

[1]) Matka Tekli Weyssenhoffowej, była Morsztynówna.

[2]) 5 i 6 lipca.

wschodnią Galicyę wracamy Austryakom, wyjąwszy województwa Podlaskie i Lubelskie. Żup nawet solnych w Wieliczce i Bochni ustąpić musieliśmy, zachowując tylko połowę korzyści z eksploatacyi Wieliczkowskiej, wróconej wszakże pod administracyę austryacką. Mówią, że cyrkuł i twierdza Zamościa byłyby także oddane Austryakom, gdyby właściciel, ordynat Zamoyski, nakładem kilkudziesięciu tysięcy dukatów nie odwrócił tego układu. Książę Talleyrand, który brał, gdzie się zdarzyło, miał nie wzgardzić i tym darem.

Długośmy sobie powiedzieć nie śmieli, ale nakoniec wyznaliśmy, że mimo naszych bohaterskich poświęceń dla «wielkiej sprawy» (tak zwano wówczas sprawę francuską), mimo dowodów wierności i męstwa, mimo dojrzałości narodu do rządu monarchiczno-reprezentacyjnego, Napoleon nie myślał o przywróceniu Polski. Dogodniej mu było tylko mieć ku północy lud walczący, żyjący nadziejami i wszystko im poświęcający, — jako silną dywersyę w każdym razie, — ale nie naród ukonstytuowany i niepodległy. — Tę dyspozycyę już był zdradził pokój Tylżycki, wskutek którego utraciliśmy Wisłę od Torunia do morza, Grudziądz, Gdańsk, obwód Białostocki etc., co wszystko zdobyte w ciągu wojny, na rzecz Polski zostawione być powinno. Następnie kampania 1812 r. wykazała jeszcze jaśniej prawdę tej opinii.

Województwo Krakowskie, już połączone z Polską, otrzymało administracyę i kodeks francuski, który w reszcie kraju był od niejakiego czasu zaprowadzony. Wódz naczelny z wojskiem bawił w Krakowie aż do października, poczem wymaszerował do

Warszawy, zostawiając tutaj tylko pułk 12-ty, nowo uformowany pułk 15-ty Miaskowskiego i pułk 3-ci ułanów Łączyńskiego. Komendę tego wojska otrzymał generał Biegański. Nie taiłem, żem zazdrościł pułkom wracającym do Warszawy. Pułk mój pod jej oczyma rozpoczął zwycięstwa kampanii i niezawodnie z oklaskiem miasta byłby witany. Tego tryumfu miłości własnej żałowałem tak dla pułku, jak i dla siebie samego, są to rozkosze bowiem stanu wojskowego, dla których się biedy i niebezpieczeństwa znosi. — Obok wielkich zwycięstw i działań na wielką skalę wojsk francuskich nad Dunajem, małe nasze zwycięstwa ze szczupłemi siłami i wypędzenie tak przeważnie silniejszego nieprzyjaciela, — zrobiły jednak wielkie wrażenie między marszałkami francuskimi. Wódz nasz, książę Józef, odbierał listy od marszałków, winszujące mu, a od Napoleona szablę honorową i wielką wstęgę orderu legii honorowej. Przytem pewną ilość tego orderu mniejszych klas przysłano dla różnych stopni. Otrzymałem wówczas krzyż kawalerski legii honorowej [1]). Nadto król saski, a nasz książę warszawski, nadesłał krzyże polskie «Virtuti militari» dla wszystkich, którzy się odznaczyli. Rozdanie tych krzyży w Krakowie było uroczyste. Na polu między miastem i Wisłą odbyła się ta ceremonia wobec mnóstwa obywateli. Całe wojsko wystąpiło w paradzie, a wódz naczelny rozdawał nagrody wojskowym, podanym przez dowódzców i rady pułkowe. Następnie przemawiał do każdego pułku. Ten ob-

---

[1]) Patent z dnia 14 lipca 1809, podpisany przez księcia de Neuchatel, znajduje się w arch. wyd.

chód, a po nim wesołe uczty zakończyły kampanię 1809 r.

Jednomyślność wszystkich stanów w czasie tej wojny była najzaszczytniejszym dowodem charakteru narodowego. Obywatele ze wszech stron dążyli do obozu z wiadomościami nam potrzebnemi, wystawiając się na największe niebezpieczeństwa. Potrzeby wojska były skwapliwie zaopatrywane bez wzywań i nakazów. Nie wiem, czy wiele takich epok powszechnej harmonii znajdzie się do cytowania w dziejach naszych. Z Warszawy damy uwiadamiały umówionymi kolorami ubioru o tem, co się dzieje, pułkownika Hornowskiego, dowódzcę Pragi, po postąpieniu wojska w górę Wisły pozbawionego wszelkiej komunikacyi. Świetna ta kampania, którą cały kraj dzielił, nie miała przecież dotąd pisarza, któryby ją bezstronnie opisał. Mnie doszedł tylko mały poszyt generała Rautenstracha, który ją przyćmił, ile mógł, a nie mając nic o sobie do powiedzenia, ujmował tym, którzy się odznaczyli. Ja nie przedsięwziąłem opisywać tu ogólne działanie kraju i wojska, pamiętnik mój był mi przedmiotem, wzmiankowałem przeto tylko o tem, co mnie osobiście tyczyło, lub co sam osądziłem, nie wspominając w szczegółach o wielu ważnych czynach, jako to: wzięcie twierdzy Zamościa, opanowanie Galicyi, działanie generała Zajączka na lewym brzegu Wisły, po usunięciu się nieprzyjaciela z Warszawy, uformowanie przez gen. Dąbrowskiego 12.000 nowego wojska w Poznańskiem. Prowincya ta nie pierwszy raz posłużyć mogła za przykład niezrównanych poświęceń i czynności patryotycznej. Ileż to czynów indywidualnych bohaterskich

w milczeniu utonęło, takich np., jak onego podoficera od jazdy w Galicyi, który przebrany wcisnął się do obozu austryackiego i wykradł z obozu generała dowodzącego. W tym powszechnym zapale wiele było czynów, zasługujących na przejście do potomności, bo niepodobna było dokonać rzeczy tak trudnej bez nadzwyczajnych wysiłków.

Po odejściu z Krakowa wodza naczelnego z wojskiem, pozostałe tam pułki zajęły się uregulowaniem swojej rachunkowości i wydoskonaleniem w ćwiczeniach i służbie. Nie dałem się w tem uprzedzić nikomu, zajmując się przytem interesami majątkowemi żony. Ojciec jej, przedawszy przed zgonem ostatnią wieś, którą posiadał w Galicyi, zostawił tylko kapitały, wynoszące około 700.000 złp. w ręku kilku Galicyan.

. . . . . .

. . . . . .

NOTA WYDAWCY. — Opuszczamy tu przydługie narzekania na niesumienność dłużników, na sądy cyrkułu Myślenieckiego i Tarnowskiego i na redukcyę walorów austryackich w r. 1810, z których to powodów znaczny majątek Tekli Weyssenhoffowej stopniał do jednej trzeciej swojej wartości.

Dawne i już prawie zapomniane widowisko czekało Kraków w maju r. 1810: zapowiedziano przybycie króla saskiego, a naszego księcia panującego. Lubo ten panujący ani królem naszym, ani Polakiem nie był, wielkie to przecież i radosne wraże-

nie zrobiło na mieszkańcach. Znane cnoty i powaga tego monarchy, przez Napoleona nam nadanego, usposobiły serca polskie do przyjęcia go z oznakami radości. Książę, wódz nasz, przybył wcześnie z całym sztabem i wielu generałami dla przygotowania. Kiedy król zbliżał się do miasta, wojsko całe wystąpiło w paradzie, a na rynku czekał piękny batalion, z kompanii grenadyerskiej złożony, pod mojem dowództwem. Wszystkie stany, cały Kraków wyszedł za miasto naprzeciw króla. Zachwycający był widok, zwłaszcza, że najpiękniejsze słońce go oświecało. Skromność ekwipażu, mała liczba służby i lokaj za królewską karetą na walizie siedzący — przypominały dawne zwyczaje niemieckie, oszczędne rządy domowe. Wszystko miało postać prywatnej familii, podróżującej z rachubą. Krótkie rozmowy króla ze znakomitszemi osobami w ciągu kilkudniowego pobytu, treści dość obojętnej, oglądanie grodu, w którym przodkowie jego panowali, bez najmniejszego zajęcia, — dowodziło, że książę ten sądził się obcym naszej sprawie, że niechętnie przyjął narzucone rządy kraju, niepewny o przyszłość. Może też jego starodawne niemieckie zwyczaje nie miały nic wspólnego, ani z charakterem naszym, ani z naszymi obyczajami? — Po odjeździe księcia do Warszawy opinia powszechna wolała się osadzić na tem ostatniem mniemaniu.

ROZDZIAŁ VI.

Rok 1811—1812. — Wymarsz pułku 12-go z Krakowa do Warszawy w maju 1811. — Pożegnanie pułku przez Kraków. — Roboty około fortyfikacyi Modlina. — Kampania 1812. — Weyssenhoff opuszcza pułk 12-ty i zostaje szefem sztabu generała Zajączka. — Pobieżne wzmianki o początku kampanii aż do bitwy pod Smoleńskiem. — Dwa zdarzenia przy rozdawaniu krzyżów legii honorowej. — Bitwa pod Borodinem. — Weyssenhoff ranny w tej bitwie. — Wejście do Moskwy. — Bitwa pod Czurykowem. — Weyssenhoff dostaje stopień oficera legii honorowej. — Bitwa pod Woronowem. — Klęski odwrotu. — Przeprawa przez Berezynę. — Przybycie do Wilna. — Podróż z Wilna do Warszawy.

Zimę z r. 1810 na 1811 przepędziliśmy podobnie do poprzedniej, z tą różnicą, że w ciągu tej zaczęto szeptać o nieprzyjaźnych stosunkach między Francyą a Rosyą. Przygotowałem pułk mój do wszystkiego, co nastąpić mogło: codzienne musztry w przykre dni zimowe, powtarzane marsze z zupełnym pakunkiem i amunicyą po dwie i trzy mile od miasta, przez śniegi, błota i złe drogi, nic nie było omieszkane, aby przygotować pułk do trudnej na północ wy-

prawy. Ku wiośnie coraz wzmagały się wieści o rychło nastąpić mogącej wojnie.

W maju 1811 odebrał cały garnizon krakowski rozkaz maszerowania do Warszawy. Naprzód wyszedł pułk 3-ci ułanów, potem pułk 15-ty piechoty, nakoniec ruszył mój pułk 12-ty. Pożegnanie pułku było rzewne. Nie chciałem pozwolić na żadne uczty w momencie wymarszu, gdyż to rodzi zazwyczaj nieporządek. Więc po dorywczem śniadaniu u prefekta Stanisława Wodzickiego, na które pozwoliłem oficerom odchodzić od frontu kolejno tylko po jednemu z kompanii, ruszył pułk w drogę. Wszystkie władze, obywatele i mieszczanie, mężczyźni i kobiety — odprowadzili nas piechotą. Kiedy pułk uszedł już dobre pół mili, kiedy prosiłem prefekta, pieszo idącego, ażeby się nie trudził, ujrzałem na wzgórzach pod Promnikiem przygotowane śniadanie dla całego pułku. Tu nie mogłem odmówić, zniewolony tylu dowodami miłości i chęci obywateli, których kochałem i ceniłem wysoko. Stanął więc pułk, a złożywszy broń w kozły, rozszedł się do śniadania. Prefekt Wodzicki, podniosłszy puhar, przedniem winem nalany, wniósł życzenia pomyślności zbrojnych współbraci; chór niezliczony ozwał się powtarzając życzenia. Wzajemne dzięki i wynurzania się skończyły się na łzach, gdy przyszedł moment rozstania: lubo nikt z nas nie sądził, może wszakże jakieś uczucie mówiło, że ostatni raz żegnamy ten drogi nasz Kraków.

Zdawszy komendę gros-majorowi Morawskiemu, sam wróciłem do miasta. W towarzystwie obywatelstwa znalazłszy się sam jeden wojskowy, ze smutkiem spoglądałem na wszystko, co otaczało: główna

warta już była zajęta przez złożoną naprędce straż municypalną; staruszek Wolf, pierwszy bankier krakowski, komenderował nią; zwiedzając hauptwach, znalazłem w izbie oficerskiej, zamiast drewnianych prostych mebli, stoły mahoniowe i miękkie sofy — nie było już służby. — Po kilku dniach ułożywszy interesa, a nadewszystko boleśnie pożegnawszy żonę, dogoniłem pułk swój pod Kielcami.

Przybywszy do Warszawy, stanął pułk na placu Saskim, a po odbytym przeglądzie przez wodza naczelnego został umieszczony w koszarach, niegdyś gwardyi królewskiej, dziś Aleksandrowskimi zwanych. Niedługo tam pozostał, gdyż we trzy dni odebrałem rozkaz maszerowania do Modlina. Pod Modlinem stanął pułk obozem koło Nowodworu; kazano mu budować sobie baraki, dostarczywszy mu żerdzi i trzciny. Na początku czerwca, w dni ciepłe i piękne, było to łatwe i przyjemne. Znaleźliśmy już tam koczującą po różnych stronach twierdzy większą część naszych pułków piechoty. Wkrótce nakazano pułkom dawać do robót około fortyfikacyi po 200 ludzi. Póki trwało ciepło, wszystko to było znośne, a przynajmniej nie zgubne dla wojska, ale roboty przeciągnęły się aż do grudnia, żołnierze w wodzie kopać musieli, często lód przebijać, ażeby dalej pracować — i tak zmoczeni, przeziębli, wracali późno do swoich barak ze trzciny, mając słomę tylko na posłanie i lekki płaszcz na pokrycie. Takie życie musiało sprowadzić choroby, a szczególniej deklarował się szkorbut tak powszechnie, że mało oficerów uszło tej zarazy. Kilkanaście tysięcy wieśniaków, spędzonych ze wszystkich województw, pracowało z żołnierzami, a że ci biedni mieli

jeszcze mniej wygód i porządku, choroby bardziej między nimi grasowały. Śmiertelność zaczęła być za straszającą. Pułkownicy, przerażeni ubytkiem w pułkach, wysłali mnie i Krukowieckiego do Warszawy, abyśmy przełożyli klęski nasze księciu, naczelnemu wodzowi, i prosili o oszczędzanie reszty pułków przez uwolnienie żołnierza przynajmniej od prac zbyt rannych i zbyt późnym wieczorem. Książę uznał słuszność tego zażalenia, lecz, że to się działo z wyraźnego rozkazu Napoleona, trudno było zaradzić. Nadewszystko generał Fiszer, zachęcony przez Bignona, ministra wówczas przy Księstwie Warszawskiem, a raczej komisarza cesarskiego, utrzymywał z uporem, że to jest jedyny sposób zobowiązania cesarza, że twierdza Modlin bardziej potrzebna do dalszych jego zamiarów, niż nasze 50.000 wojska; nie spełniać woli cesarza było to wystawiać się na jego niechęć i szkodzić naszej sprawie. Nie pomny na honor naszych zastępów, powtarzał rozumowania Bignona i przez to stawiał wodza naczelnego w trudnem położeniu. Później dało się widzieć, że i tu Napoleon chciał mieć Polskę narzędziem, ale nigdy nie myślał o jej niepodległości. Skarb nasz, wycieńczony przez nadzwyczajne wydatki, spodziewał się zasiłków od Francyi, ponieważ dla niej się wyczerpał. Kiedy roboty około Modlina miały już ustawać dla niedostatku funduszów, przysłano wprawdzie z Francyi 3 miliony złp., ale piemoncką monetą, która we Francyi nie miała kursu, a w połowie wartości musiała być wydawana u nas. I w tem dała się uczuć dobra chęć Francuzów dla nas. Nie chciała wiedzieć Francya, że kampanie 1806 i 1808, pobyt wojsk francuskich

w naszym kraju, formowanie wojsk, posyłanie do Hiszpanii dywizyi piechoty, kampania 1809 i nakoniec uzbrajanie się na nową wojnę — mogły się uskutecznić tylko przez heroiczne poświęcenie Księstwa naszego, przez wyzucie się ze wszystkiego jego gorliwych mieszkańców.

Lecz wróćmy do ucisku obecnego. Nic nie otrzymaliśmy z naszego poselstwa; generał Fiszer zarzucił nam złą chęć, na co odpowiedziawszy przyzwoicie, wróciliśmy do obozu. Roboty około twierdzy szły aż do grudnia, poczem wycieńczone pułki rozeszły się na kwatery zimowe. Pułk 12-ty stanął w Warszawie w koszarach gwardyi litewskiej niegdyś i przepędził resztę zimy na leczeniu swoich chorych, którzy nigdy do zupełnego zdrowia nie przyszli. — Ku wiośnie przyszedł rozkaz kompletowania pułków; nakazano rekruta. Pułk 12 ty potrzebował 900, dano mu 700; stąd wnosić można, w jakim stanie pułk się znajdował w porze, kiedy przygotowania do wojny stały się jawnemi. Chcąc, ile można, usposobić nowego żołnierza do boju, kazałem przez całą wiosnę samych tylko ogniów uczyć. Dobre strzelanie było celem wszystkich ćwiczeń; o postawie i marszu porządnym nie było czasu pomyśleć, tylko dorywczo. Nakoniec w maju 1812 r. otrzymaliśmy rozkaz do zebrania dywizyi.

Wojsko polskie podzielono na trzy dywizye, złożone każda z 4-ch pułków piechoty, jednego pułku jazdy i licznej artyleryi. Każda dywizya zostawiła w kraju jeden pułk piechoty dla załóg w twierdzach i służby wewnętrznej. Po potrąceniu tego, wstąpiły dywizye do swych obozów, po 10 do 11 tysięcy głów,

Biblioteka Tow. wzaj. Pomocy U. U. J. w KRAKOWIE

licząc w to sztaby i pociągi. (Do ogółu dodać należy liczną rezerwę jazdy, artyleryi, parków etc. pod dowództwem generała Rożnieckiego). Numera dywizyi były podwójne: jedne między sobą, drugie w ogromie całej armii Napoleona, i tak: 1-sza, dowództwa generała Zajączka, miała Nr. 16-ty w armii; 2-ga, dowództwa gen. Dąbrowskiego — Nr. 17; 3-cia pod imieniem księcia Poniatowskiego, naczelnego wodza — Nr. 18 i była dowodzona przez gen. Kniaziewicza.

W czasie kiedy dywizye zbierały się, przypadek zrządził, że pułkownik Kosecki, szef sztabu gen. Zajączka, złamał nogę i generał, mając prawo wybrać sobie jego zastępcę, podał mnie na swojego szefa sztabu. Lubo nie bardzo chętnie, zgodziłem się jednak na opuszczenie pułku, którego byłem od początku organizatorem i dowódzcą [1]). Myśl rozstania łagodziła jednak myśl, że odnowiony w znacznej części pułk nie posiadał już tego zaufania, z którem przedtem stawił czoło nieprzyjacielowi. Nadto ze stanowiskiem szefa sztabu okres mój działania rozszerzył się i sposobił mnie stopniowo do obowiązków generalstwa. Zdanie pułku następcy, pułkownikowi Wierzbińskiemu, nie zabrało więcej, jak dzień jeden: dawne porządki utrzymano w dowództwie i administracyi onego. — Pożegnałem dawny swój pułk nie bez wzruszenia i udałem się do Radzymina, miejsca przeznaczonego na zbór dywizyi gen. Zajączka. Oprócz przykrości opuszczania wychowanego przeze mnie pułku

---

[1]) Listy w tej materyi szefa sztabu generalnego gen. Fiszera, gen. Kamienieckiego i gen. Zajączka z 11 i 12 maja 1812 r. w arch. wyd.

miałem jeszcze zmartwienie z nieukontentowania księcia naczelnego wodza, że opuszczałem dowództwo pułku w tak krytycznej chwili. Po zebraniu się dywizyi na dzień przeznaczony, użyto parę tygodni czasu do uporządkowania i organizowania służby.

Wkrótce rozpoczęły się ogólne ruchy naprzód: wszystkie dywizye maszerowały ku Augustowowi. Dywizya 16-ta gen. Zajączka przyszła około 19-go czerwca do Dobrego Lasu, między . . . . . a Stawiskami w Augustowskiem. Tu staliśmy, aż do 22-go, niewiadomo dlaczego tak długo; wynikło z tego, że potem śpiesznie bez żywności maszerować musieliśmy. 4 lub 5 mil, a czasem bez dystrybucyi — niszczyły nasze wojsko, zanim nieprzyjaciela widziało. Nadto dywizya jazdy generała Deloge, maszerując najnieregularniej z liczną artyleryą i bagażami, co moment przerzynała naszą piechotę i po kilka godzin zatrzymywała. — 1 go lipca marsz do Grodna, gdzie nasza przednia straż już wówczas stanęła. Tu się ściągnęło całe prawe skrzydlo armii pod dowództwem Hieronima Bonaparte, króla westfalskiego. Korpus westfalski odznaczył się zaraz nieslychanym rabunkiem, jak później nikczemnem tchórzowstwem. Król stał w Grodnie na koszcie miasta, bardzo uciążliwym, a ponieważ tak mu się podobało, staliśmy tu dni pięć, które później zabijającym marszem nagrodzić usiłował. Ale wszystko zniszczył, a nie dokazał tego, aby, stosownie do myśli cesarza, Bagration był odcięty. Uchybienie to strategiczne stało się pod Smoleńskiem, gdzie się cała armia połączyła, powodem gorzkich wymówek Napoleona, lecz całe nieukontentowanie spadło na naj-

niewinniejszych dowódzców korpusów, a królowi Hieronimowi odjęto komendę.

Kiedyśmy się zbliżyli do Bobrujska, dywizya 17-ta generała Dąbrowskiego została w tem mieście dla strzeżenia Berezyny i tyłów armii, gdyż już miano wiadomość, że stanął pokój Rosyi z Portą, i że wskutku tego część wojsk rosyjskich pod Czyczagowem i Tormansowem ciągnęła od Bessarabii na Litwę.

Bitwa pod Smoleńskiem jest tak szczegółowo opisana przez wielu, a przez Ségura, między innymi, że o niej powiem tylko kilka słów. Napoleon żądał bitwy, gdyż w tem tylko spoczywała nadzieja pomyślności i końca wojny, której przedłużenie smutny koniec wszystkim zapowiadało. Lubo wojsko było zniszczone, zmniejszone i zniechęcone, zwycięstwo jednak było pewne przez samą wyższość geniuszu wodza, talentów i doświadczenia generałów i męstwa żołnierza. Żądaliśmy przeto wszyscy bitwy, ale przezorny nieprzyjaciel unikał jej zręcznie. Tu w Smoleńsku zdawał się stawić czoło, bo mu obmurowane miasto (dawna twierdza) i Dniepr podawały sposobność bitwy, bez narażenia się na wielką klęskę; postanowił zatem bronić tej pozycyi. Armia nasza zbliżała się powoli ku murom, spędzając zewsząd przednie straże. Nareszcie Napoleon, rozpoznawszy położenie, rozkazał atak ze wszech stron. My trzymaliśmy prawe skrzydło całej armii. Mając przed sobą przedmieście prowadzące do mostu, weszliśmy pierwsi do miasta, co straszliwie rozgniewało Davousta, pod którego dowództwem był wówczas nasz korpus. Miłość własna jego była bardzo obrażona, że nie Fran-

cuzi wybili bramę. — Jakkolwiekbądź, opanowaliśmy miasto puste i mosty na Dnieprze, chociaż nieco popsute. Rosyanie cofnęli się za rzekę. Korzyści z tej bitwy ograniczyły się tylko na opanowaniu mocnej pozycyi, ale ani ludzi, ani spodziewanych magazynów nie zastaliśmy w mieście, wszystko było wypróżnione, gdyż nieprzyjaciel był panem mostów aż do nocy. Straty nasze były ogromne. My, Polacy, straciliśmy 83 oficerów różnego stopnia. Między innymi polegli: generał brygady, Michał Grabowski, dowódzca pułku 3-go piechoty, Zakrzewski etc., etc. Między rannymi gen. Zajączek, kilku pułkowników. Koń pod generałem Zajączkiem był trafiony pięcioma kulami i tyle tylko zachował siły, aby jeźdźca swojego odwieźć do ambulansu: skoro zdjęto generała, koń padł i skończył. Spoczynek dnia następnego na pobojowisku był smutny: nie doliczyliśmy się wielu towarzyszy; sztab generała Zajączka stracił młodego człowieka rzadkich przymiotów i wielkich nadziei, Jana Dębińskiego, członka jednej z najszanowniejszych rodzin krakowskich.

Napoleon, zadowolony działaniem wojska polskiego, przybył sam do naszego obozu i, rozpytując o najmniejsze szczegóły, hojnie rozdawał krzyże wszystkim stopniom, a chcąc wiedzieć, jak się kto sprawował w tej bitwie, zapytywał wodza, księcia Józefa, o generałów, tych o pułkowników, pułkowników o sztabs-oficerów i tak następnie, a stosownie do danej opinii rozdawał nagrody. Wśród tej czynności były dwa zdarzenia godne pamięci. Adjutant (nazwiska nie pamiętam) batalionu pierwszego pułku 16-go piechoty, widząc, że pomimo pochlebnego przed-

stawienia przez swego pułkownika, księcia Konstantego Czartoryskiego, cesarz go minął, nic mu nie dawszy, zbliżył się do niego i rzekł:

— «J'ai fait mon devoir comme les autres; Votre Majesté a récompensé tous ceux, qui ont mérité une mention favorable et à moi Elle n'a rien accordé».

Cesarz mu na to:

— «Tu es jeune, tu auras encore le temps de mériter toutes les récompenses» — i powiedziawszy to dalej postępował. Kiedy adjutant postrzegł, że cesarz mija już lewe skrzydło batalionu, zastąpił mu raz jeszcze drogę i ponowił swoją prośbę z naleganiem. Cesarz mu odpowiedział, jak pierwej, ale żywiej i z niejakiem zdziwieniem. Zmartwiony adjutant postępował za cesarzem, a gdy już cesarz zupełnie pułk mijał, poskoczył, zatrzymał go prawie za połę munduru, mówiąc z uniesieniem:

— «Tous mes collègues se glorifient des récompenses dont V. M. les a honorés: moi seul je suis condamné au silence; j'ai pourtant été partout oú le devoir m'appelait, toujours à la tête là, oú il fallait agir et affronter le danger — et je suis oublié; l'on dira, que je n'étais pas de cette bataille, ou que je me suis mal conduit, que je suis un lâche! voilà ce qu'on dira!»

Cesarz, stanąwszy przed nim, wpatrywał się i mierzył go oczyma, a po niejakiem milczeniu wziął go za jedną faworytę i rzekł:

— «Allons — voilà un brave!» — a zwróciwszy się do świty: «légion d'honneur accordée».

Drugie zdarzenie było następujące. — Cesarz, otrzymawszy od pułkownika zaszczytne świadectwo dla jednej ze środkowych kompanii pewnego pułku, rozkazał zapisać krzyż legii honorowej dla dowódzcy, stojącego na czele tej kompanii, co usłyszawszy tymczasowy dowódzca, porucznik, przystąpił do cesarza i rzekł:

— «Sire, la récompense, que vous m'accordez ne m'appartient pas; c'est au capitaine, qui nous a commandé, qu'elle est dûe.

Cesarz zdziwiony:

— «Et où est donc le capitaine?»

— «Blessé, à l'ambulance».

Ten postępek porucznika (którego na nieszczęście nazwiska nie pamiętam), tak wzruszył obecnych, że generałowie, stojący za cesarzem, klasnęli w ręce. Sam Napoleon milczeniem zdradzał wzruszenie, a porucznik w skromnej i szlachetnej postawie stał przed cesarzem, oczekując wyroku. Obadwaj zostali ozdobieni.

Od Smoleńska o 25 wiorst nieprzyjaciel się zatrzymał i zdawał się tu chcieć bronić drogi do Moskwy. Bitwa była krwawa, ale tylko cząstkowa; większa część armii nie brała w niej udziału. Bitwa nie była stanowcza, jak powiadano, przez winę generała Ingrot (?). Straty z obu stron były znaczne, nadewszystko opłakiwana była śmierć generała dywizyi Gudin [1]). Armia postępowała potem wielką drogą ku Moskwie z mniej znaczącemi utarczkami.

---

[1]) 19 sierpnia 1812.

Ja nie opisuję kampanii, jeno piszę pamiętniki: to, co mi się zdarzyło, lub czego naocznym byłem świadkiem; opuszczam więc wszystkie szczegóły, aż do chwili nas zajmującej.

Wojsko polskie pod dowództwem księcia Józefa maszerowało ciągle na prawem skrzydle, równając się zawsze z awangardą armii, dowodzoną przez Murata. Niepodobna sobie wystawić trudności, które spotykały co moment naszego wodza, księcia Józefa: marsz częstokroć bez śladu ludzkiego, przez błota i lasy; ani karty dobrej topograficznej, ani przewodnika, gdyż wszyscy mieszkańcy uciekali przed nami. Po większej części kierowaliśmy się tylko na głos dział, które prawie co ranek i wieczór brzmiały w przedniej straży króla Joachima. — Rosyanie, ustępując, Francuzi, zajmując stanowiska, zawsze zamieniali kilka strzałów armatnich i na tem się kończyło, a dla nas to była jedyna wskazówka, na jakiej wysokości i w jakiem oddaleniu zatrzymać się mamy. Pochód zatem wojska naszego był niebezpieczny, trudny i głodny.

Zbliżyliśmy się nareszcie pod Borodino, wieś położoną na wielkiej drodze o milę od Możajska. Tam w korzystnem położeniu nieprzyjaciel stanął i postanowił przyjąć walną bitwą. Dnia 5-go września nasz korpus, postępując zawsze na prawem skrzydle na równi z awangardą, spotkał nieprzyjaciela. Atakowaliśmy natychmiast z natarczywością; nieprzyjaciel śpiesznie ustępował aż do krzaków, w których walka stała się uporczywszą i straty znaczne, większe przecież u nieprzyjaciela. Trwał bój po całej linii armii, aż do nocy. Skutkiem onego było opanowanie mame-

lonu osadzonego działami przed frontem nieprzyjaciela i zupełne odkrycie jego położenia. — Dnia 6-go września armie stały w cichości naprzeciw siebie i gotowały się wzajemnie do wielkiej walki, która nazajutrz, to jest 7-go, nieuchronnie nastąpić miała. Napoleon, objeżdżając swoje linie, gdy przybył do naszej, stojącej na wczorajszem pobojowisku, widział wzgórze okryte trupami i zawołał:

— «On s'est bien battu ici!» Tu dobrze walczono!

W rzeczy samej mieliśmy przeciwko sobie gwardye rosyjskie, a szczególnie strzelców i pułk Pawłowski, które bardzo wiele straciły. Nie mogę tu nie wspomnieć o jednem z najświetniejszych zdarzeń w bitwie wczorajszej. Dywizya kirysyerów rosyjskich wpadła ze strasznym szturmem na dwa słabe pułki jazdy z korpusu króla neapolitańskiego. Te nie wytrzymały ataku i pierzchnęły; goniąc za nimi cała dywizya wpadła w środku obszernego pola na jedną kompanię grenadyerską pułku 16-go, komenderowaną przez swego kapitana Skrzyneckiego (znanego później naczelnego wodza). Nieustraszeni grenadyerowie uformowali się w kłąb i tak dzielnie się bronili, że zrobiwszy sobie przedpiersie z kirysyerów różno-kołnierzowych, zmusili ich do odstąpienia, nie straciwszy sami prawie ani jednego człowieka. Gdy, jako szef sztabu, troskliwy o los tej kompanii, nie wiedząc co się z nią stać mogło w tem zamieszaniu, wyjechałem na rzeczone pole, wszyscy oficerowie pułku francuskiego lekkiej piechoty, stojącego opodal w krzakach, wybiegli naprzeciw mnie, jednogłośnie wołając:

— «Allez, commandant, faire au prince Poniatowski le rapport sur la conduite de cette invincible

compagnie; c'est le plus brillant fait d'armes, qu'on puisse voir. Citez nous tous comme témoins oculaires».

W rzeczy samej, gdym przyjechał do kompanii, stojącej jeszcze w swojem miejscu, znalazłem ją otoczoną poległymi kirysyerami, opatrującą spokojnie broń swoją. Kapitan Skrzynecki został za ten czyn ozdobiony krzyżem legii honorowej. Pisarze francuscy, a szczególnie Ségur, na karcie 368 tomu I-go, przeistoczyli to factum, nazywając kompanię batalionem, a Polaków Francuzami.

Borodino

7-go września rozpoczęła się bitwa, najkrwawsza może od początku wojny rewolucyjnej. Nasze wojsko miało z ćwierć mili krzaków gęstych, wysokich i tak okrytych liśćmi, że nietylko przez nie przedrzeć się, ale na krok przejrzeć było trudno. Jenerał Sebastiani, który komenderował dywizyą polskiej jazdy, należący do korpusu naszego, przyjechał do księcia Józefa przed rozpoczęciem naszego ruchu i oświadczył, że, ponieważ tu jazda działać wcale nie może, on chce pełnić służbę adjutanta przy księciu. Rzeczone krzaki były osadzone przez nieprzyjaciela, trzeba było zatem walczyć z zawiązanemi oczyma. Dywizya Zajączka otrzymała rozkaz maszerowania naprzód przez krzaki, za któremi było wysokie wzgórze (mamelon), cel wszystkich naszych usiłowań, gdyż zostawiona tam nasza artylerya byłaby strychowała wzdłuż i z tyłu lewe skrzydło głównego frontu nieprzyjaciela, ale on, widząc niebezpieczeństwo tego położenia, wzmacniał coraz te krzaki, przeznaczając do ich obrony najlepsze swoje pułki. Gdyśmy się krwawo przebijali przez te gąszcze, ja jechałem z kilku

sztabu naszego oficerami na prawem skrzydle pułku 16-go, a że dla gąszczu musiałem zwracać konia to w prawo to w lewo, oddaliłem się o kilka kroków od frontu na miejsca nieco rzadsze. Wtem ujrzałem tuż przed sobą ze 20 grenadyerów Pawłowskich; poznałem ich po mosiężnych kaszkietach; nie dali mi się jednak rozpatrzeć, gdyż oficer komenderował natychmiast: ognia! — i wszyscy razem wystrzelili do mnie. Tak nadzwyczajnie blizko żadna kula nie powinna była mnie minąć, a przecież tylko jedną byłem ugodzony w prawe ramię, które zostało przeszyte. Utrzymałem się przecie na koniu, a postrzegłszy bagnety zbliżającego się naszego frontu, wołałem na Rosyan, aby się poddali, sądząc, że mogą być otoczeni, — lecz w tej chwili kula przeszła mi między lewym bokiem i łokciem, nie naruszywszy mnie, ale z taką siłą, że mię zrzuciła z konia i dała kontuzyę. Józef Mieroszewski, kapitan z naszego sztabu, wpadł w tym momencie z kilku grenadyerami i kazał mnie w tył odprowadzić. Wojsko tymczasem postępowało dalej i nakoniec zdobyło owo ważne wzgórze, ale niedługo mogło się utrzymać, bo odnawiane coraz pułki rosyjskie nie dały się tam osadzić. Rychło też i noc nadeszła, a położywszy koniec walce, dała Rosyanom cofnąć się spokojnie.

Nazajutrz rano już nie było nieprzyjaciela przed nami. Korzyści tej strasznej bitwy ograniczały się na kilku sztukach dział opuszczonych, kilkuset jeńcach i placu otrzymanym. Nie wynagradzało to ogromnej straty w wojsku, a nadewszystko tej demoralizacyi, która pochodziła z opinii, że nieprzyjaciel, cofając się, wzmacnia swoje siły, a my, postępując, tracimy

je coraz. Napoleon w tej bitwie był nadto przezorny; nic tu w nim nie było z owego śmiałego wodza, który ważąc wiele, zwyciężał stanowczo i świat zadziwiał. Sam cesarz dwa razy nie dał tej walce być stanowczą: pierwszy — gdy odmówił marszałkowi Davoust, który go błagał o pozwolenie, aby z korpusem i przybranem polskiem wojskiem obejść lewe skrzydło nieprzyjaciela, a tym sposobem odciąć mu wszelką możność cofnięcia się — i to marszałek łatwo mógł zrobić, gdyż nieprzyjaciel albo by musiał przeciw niemu manewrować, albo trzymając front przeciw głównemu atakowi, dwa ognie znosić i być koniecznie zmieszanym. Ruch ten marszałka, łatwy i bezpieczny, wskazywały położenie i stara droga pocztowa do Możajska. Za śmiałe to było dla cesarza, który jako generał na tyle się odważał. Drugi raz, kiedy wśród bitwy marszałek Ney, opanowawszy klucz pozycyi nieprzyjaciela ze słabym swoim korpusem, przysłał z żądaniem jednej dywizyi piechoty i zapewniał cesarza, że przełamie nieprzyjaciela, Napoleon kazał ruszać dywizyi polskiej Nadwiślańskiej, stojącej w rezerwie przy jego gwardyach, a w kwadrans później rozkazał ją odwołać na swoje miejsce. Tym sposobem usiłowania marszałków zostały zniweczone i bitwa skończyła się tylko na czczym tryumfie otrzymania placu. Nazajutrz ruszyliśmy w pochód za nieprzyjacielem, ale ten, ośmielony, już mocniejszą aryergardę przeciw nam rozwijał i porządnie się cofał.

Weszliśmy nakoniec do Moskwy. Artur Potocki i ja, jako ciężko ranni, zostaliśmy umieszczeni w szpitalu księcia Golicyna. Znaleźliśmy tam dużo rannych oficerów rosyjskich, którzy nas przyjęli z radością

jako załogę bezpieczeństwa przeciw nadużyciom zwycięskiego wojska. Lecz, że polski korpus przeszedł tylko przez przedmieście i zaraz odebrał rozkaz maszerowania po drodze ku Kałudze, książę Józef, nie sądząc bezpiecznem zostawiać nas w palącej się stolicy, posłał nazajutrz rano karetę swoją i Alfreda Potockiego (brata Artura), aby nas zabrał i wiózł za korpusem, a gdy w dalszym pochodzie bagaże zaczęły być napadane, wsiedliśmy na konie, maszerując z wojskiem, chociaż niewygodnie ale bezpiecznie.

Zbliżywszy się pod Czurykowo, korpus nasz spotkał całą aryergardę Kutuzowa pod dowództwem gen. Miłoradowicza, który, będąc dwa razy mocniejszy od nas, zawzięcie nas atakował. Książę Józef zaś poczynił tak dobre dyspozycye i tak umiał natchnąć odwagą wojsko, że nieprzyjaciel, poniósłszy znaczną stratę, zmuszony był do odwrotu, poczem postąpiwszy na pozycyę o pół mili przed Czurykowo, stanęliśmy obozem w miejscu, «pod Brzeziną» zwanem. Za ten dzień, w którym byłem czynny, choć cierpiący jeszcze na ranę, zostałem ozdobiony stopniem oficera legii honorowej [1]).

Staliśmy tu dni kilkanaście wskutek jakiegoś częściowego zawieszenia broni. Po naszej prawej zajął pozycyę król neapolitański, a po lewej gen. Sebastiani z korpusem jazdy ciężkiej, tak, że formował kąt prawie prosty z naszą linią. Król Murat, objąwszy wtenczas główną komendę, objeżdżał codzień

---

[1]) List księcia de Neuchatel z 11 paźdz. 1812 oznajmiający o nominacyi i list wielkiego kanclerza hrabiego de Lacepède tejże daty — w arch. wydawcy.

wszystkie przednie straże; książę Józef często mu towarzyszył. Król rozmawiał z generałami rosyjskimi i ledwo nie był pewny, że już pokój mieć będziemy wskutek czynnych o tenże negocyacyi. Orszaki obu naszych wodzów rozmawiały takoż z adjutantami Miłoradowicza, mając sobie polecone, aby nie mówić ani słowa o polityce, ani o obrotach wojennych. Rosyjscy oficerowie wszakże, mówiąc o obojętnych rzeczach, wciskali niekiedy uwagi niepokojące nas. Czas był nadzwyczaj pogodny i miły nadspodziewanie w tym kraju, ale w październiku przewidywano już złą porę roku. Był to największy postrach dla nas. Staliśmy tak pod Brzeziną, jak powiedziałem, dni kilkanaście, bijąc się to z chłopami, to z wojskiem, o każdą garstkę owsa i każdą wiązkę siana; żywność dla wojska była tym sposobem nabywana. Bieda doszła do tego stopnia, że nakoniec musieliśmy posyłać o mil kilka jazdę i piechotę z armatami, ażeby coś zdobyć żywności. Straty mieliśmy codzienne, a łupy tak szczupłe, że konie zdychały z głodu, ludzie zaś nędznie żyli. Wszyscy musieliśmy myśleć o sobie; ja wówczas miałem jeszcze wszystkie swoje konie i ludzi, posyłałem więc z temi komendami moich dostarczycieli. Przemysł i śmiałość mojego poczciwego Johanna zawsze mi coś dostarczyły. Sam książę Józef miał tak szczupło, że oficerowie z jego sztabu szukali lepszego pożywienia, gdzie mogli. Artur Potocki przeniósł się zupełnie do mojej baraki, — razem jadaliśmy, co mój kucharz uwarzył.

Generał Sebastiani ze swoją wyborową jazdą przytykał do naszego lewego skrzydła i formował kąt z nami, jak powiedziałem, rozciągając swoją linię

w tył. O półtorasta kroków przed jego frontem zaczynał się głęboki las brzozowy, pełen wygodnych dróżek od nieprzyjaciela. Jenerał jednak nie urządził potrzebnych ostrożności, warty jego stały przed samym obozem, a wedety w brzegu lasu. Artylerya tego korpusu jazdy (sztuk 36) stała pomiędzy wartami (grande garde); w przypadku więc ataku z lasu, ani straże, ani artylerya nie miały już czasu zerwać się do broni. Błąd generała był tem mniej wybaczony, że po kilkakrotnie kozacy w kilkadziesiąt koni wpadli na jego wedety, co wyraźnie dowodziło, że siły im tylko brakowało, aby uderzyć na cały front armii, prawie bez alarmu. Wielu oficerów przewidywało niebezpieczeństwo, a mianowicie pułkownik dowodzący artyleryą, stary i okryty ranami wojak, powtarzał, że w długich przebytych wojnach jeszcze mu się nie zdarzyło być z działami w przedniej straży. Generał Zajączek, pozostały w Smoleńsku dla ciężkich ran niezupełnie zagojonych, opuścił wreszcie Smoleńsk i przybył do swojej dywizyi.

— Tam cierpią nasi, trzeba iść cierpieć z nimi, — mówił do otaczających, ruszając w niebezpieczną podróż. Szczególnie szlachetny rycerski duch znamionował tego generała; jeżeli mu brakło talentów, to miał w nagrodę odwagę, głębokie poczucie honoru i najdelikatniejszych obowiązków rycerza.

Nazajutrz po jego przybyciu do obozu (18 października) około 7-mej rano usłyszeliśmy kilka wystrzałów pistoletowych na linii gen. Sebastianiego. Szczęściem cała nasza piechota i jazda były pod bronią na swojej linii bojowej; wystąpiono do apelu, do którego wódz nasz kazał zawsze stawać jak do boju,

z bronią i całym pakunkiem. Ta przezorność zbawiła nietylko nas, ale i korpus króla, stojący po naszej prawej. Przez napad 12.000 jazdy rosyjskiej z rzeczonego lasu, korpus Sebastianiego był zupełnie starty, bez obrony, bez jednego wystrzału działowego. Karabinierów i kirysyerów brał nieprzyjaciel w barakach, a znaczna część Rosyan, przebiegłszy zniszczoną linię, wpadła nam w tyły i na bagaże, które stały zaprzężone, gotowe do ruchu, stosownie do wyrzeczonego rozkazu. Kiedy nieprzyjaciel uganiał się za bagażami, które biegały w kółko, jak mogły, gen. Zajączek wysłał ze swojej dywizyi kilka kompanii woltyżerów. Te odbiły bagaże, ubiły nieco Dońców i wzięły w niewolę kilkudziesięciu starych, ozdobionych po większej części krzyżami, należących do tych 40.000 nowoprzybyłych z Donu, którymi nam Rosyanie grozili. Pułkownik Blumer z dwoma batalionami swojego pułku cofnął się dzielnie z pośród nieprzyjaciela ze swojego posterunku o ćwierć mili przed naszym frontem. Król Murat przypadł do nas właśnie wtenczas, kiedy książę Poniatowski odmienił front dywizyi 16-ej lewem skrzydłem w tył, aby stawić czoło nieprzyjacielowi, który, po rozbiciu korpusu Sebastianiego, wzmocniony piechotą, postępował prosto na nasze lewe. Ten manewr księcia uratował resztę wojska od klęski. Murat, którego prawe skrzydło, to jest właściwy korpus jego, i lewe, czyli korpus Sebastianiego, pierwsze w nieładzie, a drugie zupełnie zniesione, pozbawiły nawet nadziei ratowania reszty, znalazłszy korpus środkowy, t. j. księcia Poniatowskiego, w największym porządku mężnie odpierający nieprzyjaciela, odetchnął. Cała nasza piechota,

gdy się nieprzyjaciel zatrzymał, zwinęła się w kolumny pułkami, gdyż bardzo liczna jazda rosyjska ukazała się na naszej lewej, ale nie śmiała nic przedsięwziąć, chociaż groziła ruchami przygotowawczemi. Tak staliśmy naprzeciw siebie aż do zmroku, poczem cofnęliśmy się spokojnie aż do Woronowa. W tej bitwie dywizya 18-ta utraciła wielu oficerów, a szczególnie pułk 12-ty. Gen. Zajączek został znowu lekko ranny kulą ręczną w lewy bok i to był tylko dodatek do cierpień, które mu niezgojone jeszcze rany z pod Smoleńska sprawiały. Generał Fiszer poległ w tej bitwie śmiercią bohaterską. Będąc obok księcia, miał najprzód rękę strzaskaną kulą karabinową, a gdy mu książę kazał cofnąć się i ranę opatrzyć, odpowiedział, że jeszcze może siedzieć na koniu. Wtem druga kula ugodziła go w same czoło i położyła koniec jego cnemu życiu. Gen. Fiszer był żałowany przez wojsko, bo się odznaczał odwagą, poczciwością i czynnością niezmordowaną.

Od tego dnia zaczęło się cofanie nasze ku granicom polskim i owe klęski, których opisać niepodobna. Napoleon poszedł z gwardyami i korpusem vicekróla Eugeniusza i Davoust'a ku Małojarosławcowi na drodze ku Kaludze, a reszta wojska i my w tym tłumie tąż samą, którą przyszliśmy, drogą na Możajsk, Wiazmę ku Smoleńskowi. Pod Małojarosławcem była krwawa bitwa przez dwa dni, oba wojska straciły mnóstwo ludzi, ale chociaż zwycięstwo zostało przy Napoleonie, już było zapóźno: nie miał czem dokonać klęski nieprzyjaciela. Zwrócił zatem z resztą gwardyi i korpusów ku naszej drodze i połączył się pod Wiazmą. Już się wszczęły mrozy, śniegi

i zawieruchy: porządek coraz się rozprzęgał. Ludzie i konie, maszerując o głodzie, zaczęli padać po drodze; widocznie topniały szeregi; szczęśliwy pułk, który jeszcze nieco żołnierzy utrzymywał przy orłach. Gwardye najdłużej się trzymały; reszta szła pomieszaną, różnobarwną hordą, rzucając broń i wszystko, co tylko ciężyło; konie żywe i zdechłe były jedynym pokarmem. Łatwo się pojmie ten stan, skoro się przypomni, żeśmy wracali tąż wielką drogą, którąśmy przyszli. Same zgliszcza po drodze, a zniszczenie zupełne na kilka mil po prawej i po lewej; magazynów nigdzie nie znajdowano, a może i nie założono, a jeżeli w pewnych punktach coś przysposobiono, to tylko resztce gwardyi się dostawało. Z podziwieniem naszem, w tym nieładzie płynęliśmy spokojnie; sądziliśmy, że nieprzyjaciel, wśród swojego kraju jest zaopatrzony we wszystko, że ani na broni, ani na amunicyi zbywać mu nie może, a przecież nic nie przedsiębrał. Przekonaliśmy się później, że i jego wojska stan był opłakany, co śmiało przypisać można złej jego administracyi. We wszystkich wojnach Rosyi zła administracya albo hamowała, albo zrządzała klęski. Armia rosyjska, posuwając się obok z nami, mogła nam w wielu punktach zastąpić drogę i znieść nas ostatecznie, nas prawie bezbronnych, ale nie śmiała. Tentowała parę razy, ale tak słabo, że zawsze była ze stratą spędzona przez resztki naszego wojska, które jeszcze mogły jako tako czoło stawić. Przyszliśmy nareszcie do Smoleńska, gdzie znaleźliśmy resztki naszych rannych w bitwie pod miastem z dnia 17-go i 18-go grudnia. Pułk konnych strzelców dowództwa pułkownika Przebendowskiego odznaczał się swoją

porządną jeszcze postawą, chociaż wychodził z najtrudniejszej i najniebezpieczniejszej wyprawy z korpusem marszałka Neya, który, oddzielony od armii z 6000 piechoty i 300 konnicy Przebendowskiego przebił się przez 80-tysięczną armię Kutuzowa i połączył się z główną kwaterą. Czyn ten marszałka Neya był podziwieniem całej armii.

Stąd cofaliśmy się ku Borysowowi. Przyszedłszy pod to miasto, zatrzymani byliśmy przez most spalony na Berezynie i generała Czyczagowa z 30.000 przybyłymi z Wołynia, zajmującego korzystne stanowisko na przeciwnym brzegu. Napoleon wahał się między różnemi zdaniami, jak tę trudność zwyciężyć, albo jej uniknąć. Wtem znalazł się jakiś krajowiec, może naszej sprawie przychylny, który wskazał o milę od Borysowa najmniej trudną przeprawę, która podług podobieństwa miała być broniona przez Czyczagowa. Działo się to około 4-ej godziny. Wojsko, zebrane przeciw Borysowowi, szykowało się i przybierało pozór jakoby w tem miejscu przebić się zamyślano: skoro zaś zmierzchło, ruszyło wszystko, co było pod bronią, z porządkiem i cichością zadziwiającą ku robiącemu się mostowi. Przybywszy tam równo ze dniem pierwsze korpusy zaczęły przechodzić. Dziwnie prędko zrobiono mosty, chociaż jakie takie ale co więcej dziwiło, to że zdołano ugacić drogę od mostów do brzegu górnego przez wielką przestrzeń trzęsawicy.

Wojsko przechodziło w porządku: nic niefrontowego nie puszczano: sam cesarz z marszałkami stał przy moście i pilnował, przekonany zawsze, że Czyczagow będzie atakował. Ataku przecież nie było:

Biblioteka Tow. wzaj. Pomoc

generał rosyjski dał się omamić, a może i nie śmiał? któż wie? A tak było łatwo zatrzymać wojsko, idące po gaci z chrustu świeżo ułożonego, zwłaszcza broniąc suchego i wysokiego brzegu. Całe nakoniec wojsko przeszło i trochę uporządkowane, z artyleryą, zajęło pozycyę w stronę Borysowa. W tem zdarzeniu ja, będąc ubrany w szpencer kolorowy i okryty tylko kołnierzem od płaszcza, z czarną czapką na głowie, byłem wzięty przez marszałka Lefebvre za niefrontowego i ledwo nie odpędzony od mostu, ale szczęściem, gdy przemówiłem, marszałek mnie poznał i przepuścił. Scena była okropna po przejściu wojska, kiedy reszta niefrontowa, bezbronna, dwa razy liczniejsza jak wojsko, wszystkie wozy skarbowe i prywatne, zaczęły się cisnąć na most, a wtem jazda rosyjska przybiegła z działami z tyłu i zaczęła rzucać granaty pomiędzy tę masę, — scena, której okropności opisać niepodobna. Zbytecznym natłokiem most złamano i wszystko, co się nie utopiło w rzece, było wytępione przez ogień nieprzyjacielski. Sciskano się tak gwałtownie, że studnia, która się znajdowała we środku, była zapełniona zepchniętymi ludźmi. Patrzyliśmy z daleka na tych nieszczęśliwych, nie mogąc im nieść żadnej pomocy; odwracaliśmy oczy od tego widoku z tem zimnem odrętwieniem, którego już nawet egoizmem nazwać nie można, gdyż nieszczęścia ogólne i indywidualne cierpienia własne nie dopuszczały ani uczucia do serca, ani łzy do oka. — «Daleka jeszcze droga — mówiono — wszystkich nas to czeka».

Generał Dąbrowski z resztą swojej dywizyi, po obronie Bobrujska cofnięty na nasz brzeg, połączył

się z korpusem naszym. Po przebyciu tej strasznej przeprawy marszałek Ney objął ze swoim korpusem i korpusem księcia Poniatowskiego dowództwo tylnej straży. Reszta dążyła drogą ku Oszmianie. Staliśmy na pozycyi nazajutrz dzień cały; mróz i zawierucha z obfitym śniegiem gorzko nas trapiły. Brzezina dostarczała wprawdzie drew, ale te mokre palić się nie chciały. Trzeciego dnia nakoniec Czyczagow ośmielił się nas atakować; odparty przez rzeczoną tylną straż zostawił na placu wiele zabitych i rannych i kilka tysięcy jeńców, z którymi nie wiedziano co począć. Marszałek Ney, swoim bohaterskim zwyczajem zawsze na czele, zachęcał przykładem przemarzłych żołnierzy. Nasi trzej generałowie dywizyi byli wszyscy ranni: Dąbrowski miał rękę przestrzeloną, Kniaziewicz silną kontuzyę dostał w nogę od kuli armatniej, a Zajączek miał nogę potrzaskaną w kolanie. Pierwsi byli opatrzeni naprędce, a Zajączek był odniesiony w tył, gdzie Larrai, naczelny chirurg armii, zrobił amputacyę nogi wobec Napoleona. Ile człowiek znieść może! dość było widzieć tego starca zniszczonego, bez życia prawie, cierpiącego na niezagojone jeszcze rany, operowanego pod gołem niebem w mróz i zawieruchę, męczonego potem przez nieprzyjaciela nielitościwą podróżą z Wilna do Połtawy. Duch niezłomny utrzymywał ciało!

Odtąd maszerowaliśmy wolni już od ważniejszych napaści, zawsze w stanie nieładu. Oprócz garstek żołnierzy, którzy pod wodzą swoich oficerów maszerowali około czczonych orłów, reszta płynęła jak potok, bez szyku, ani broni. Książę Józef, z powodu, że mu koń padł na zmarzniętej grudzie i przycisnął

nogę, musiał jechać w powozie. Ja zawsze na koniu, na którego mnie wsadzano, gdyż rana w ramieniu nie dozwalała mi samemu wsiąść, nie mając innego okrycia jak kołnierz od płaszcza, barankami podszyty, postępowałem razem z wojskiem, nocując zawsze na zagonie, w mrozy od 25 do 28°.

Zbliżając się do Wilna spotykaliśmy oddziały to jazdy, to piechoty, które szły z tego miasta w celu zasłonięcia naszej rejterady, ale to wszystko odrętwiałe od mrozu i przerażone naszym stanem, łączyło się z nami i topniało w rzece płynącego tłumu. Cesarz ruszył już z Oszmiany naprzód, zostawiwszy dowództwo Muratowi; ten zostawił je vice-królowi Eugeniuszowi, wreszcie niewiadomo komu, gdyż już nic się w oddziały formować nie dało. Przybyliśmy nareszcie pod Wilno.

Spodziewając się tam znaleźć kogoś znajomego, pośpieszyłem do miasta i nie zawiodłem się: znalazłem tam wiele znajomych oficerów, którzy należąc do pułków nowo-formowanych w Litwie, wygodne pędzili życie, nie domyślając się naszych cierpień. Na widok naszej nędzy biegli wszyscy na pomoc. Ja zaś znalazłem w Wilnie brata mego, Sołtana, i zaraz do niego kazałem się zaprowadzić. Tu byłem otoczony najtkliwszem staraniem. Krewne nasze, pani Mirska i Szumska, przysłały natychmiast materace i poduszki, sądząc, że wygodny wypoczynek będzie mi najkorzystniejszy. Brata mojego nie było jeszcze w domu, gdyż, nieuwiadomiony o mojem przybyciu, wrócił dopiero wieczorem. Służący, pewien, że jestem zgłodniały, zastawił mi zaraz parę pieczonych kuropatw i butelkę wina; ja sam sądziłem, że tego będzie za

mało, ale ledwom zjadł jedno skrzydło i wypił kieliszek wina, już więcej przełknąć nie mogłem, tak mało było siły w znędznionych wnętrznościach. Spieszyłem położyć się do łóżka, ale, rozebrawszy się raz pierwszy po kilku miesiącach, takich dostałem kurczów po całem ciele, a szczególniej w nogach, że musiałem znowu się ubrać w moje zużyte odzienie i tak się położyć na dywanie, na ziemi; tym dopiero sposobem spocząłem godzin parę snem posilnym.

Wilno jeszcze nie było zagrożone przez nieprzyjaciela, aleśmy wiedzieli, że to wkrótce nastąpić musi; przeto mimo fatygi i osłabienia śpieszyliśmy opuścić to miasto. Brat mój dał mi wygodne sanki, zaprzężone parą tęgich koni. Miałem ukontentowanie ofiarować w swoich saniach miejsce adjutantowi księcia, Kickiemu (później generałowi brygady; zginął pod Ostrołęką), który nie znalazł w Wilnie brata, jak ja. Stąd już jechaliśmy wygodnie do Warszawy; najuboższa chałupka, byle ciepła, zdawała się nam nieporównanym noclegiem.

Przybyliśmy nareszcie do Warszawy, okropnie zmieszanej naszym widokiem, a zwłaszcza przewidywaniem klęsk, jakie ją czekały. Każdy śpieszył do domu własnego, krewnych lub przyjaciół, często niepoznany od swoich, tak nędza, mrozy i ubiór obszarpany nas odmieniał. Ja, nie mając nikogo z krewnych, udałem się prosto do gen. Wielhorskiego, ministra wojny, który mnie oddawna przyjaźnią zaszczycał. Skorom wszedł i zapytał sług, czy państwo w domu, lokaje zadziwieni, że taki brudas pyta z pewnym tonem zaufania, zatrzymali mnie w przedpokoju, nie śpiesząc nawet z zameldowaniem. Wtem przechodzi

sama generałowa przez przedpokój, a postrzegłszy mnie, zapytuje lokaja, coby to był za jeden? — «A to jakiś, odpowiedzieli, Bóg tam święty wie». — Zabawiło mnie to, a że byłem pewny dobrego przyjęcia, pozwoliłem trwać tej scenie. Gdy więc generałowa, wracając przez przedpokój, rzekła: — «Niechże mi da pokój ten człowiek», a lokaj już mi chciał drzwi pokazać, przemówiłem zwyczajnym głosem, a generałowa, uderzona znajomym dźwiękiem, zbliżyła się:

— «Co to jest? kto to być może?»

A poznawszy mnie, po długiem rozpatrywaniu, wzięła mnie za rękę i zaprowadziła do generała. Zostałem otoczony najczulszem staraniem; oczyszczenie, ubranie od stóp do głów było pierwszą rzeczą: garderoba generała wszystkiego dostarczyła i w jego surducie chodziłem, póki nie sprawiłem sobie własnego.

Wkrótce nadeszły resztki wojska naszego. Nieliczni oficerowie i żołnierze otaczali orły, z których żaden nie był stracony. Artylerya prowadziła swoje działa; utraciliśmy sami tylko jedną 12-funtową sztukę, zdemontowaną pod Tarutyną, Francuzi zaś stracili nam całą jedną bateryę, to jest sztuk sześć, które dostarczyliśmy w miejsce ich potraconych dział. Warszawa witała serdecznie, ale ze łzami te resztki walecznych. Gen. Izydor Krasiński był na czele tych szczątków. Po przejściu przez Wilno wojska rozdzieliły się na trakty: francuskie poszły na Prusy, a polskie i saskie do Warszawy.

Tu wszczęły się pod Blachą u księcia Józefa ważne rozprawy, co dalej robić? Regnier (?), generał francuski, komenderujący korpusem Saksonów, przy-

był z Wołynia dość porządnie; książę Józef widział możność utworzenia jeszcze nieco polskiego wojska z resztek załóg, które w kraju pozostały i z ochotników. Generał Deudels (?), dowódzca Modlina, obowiązywał się bronić tej twierdzy do ostatka. Ci trzej zatem generałowie (?) byli zdania, że można bronić Wisły, ułatwić cesarzowi reorganizacyę jego wojska i przytłumić nieco tym śmiałym krokiem duch niespokojny w Niemczech, który się tam już powszechnie objawiał. Lecz te wielkie cele zostały zniszczone przez oświadczenie korpusu saskiego, że ma rozkaz wracać do kraju. A tak wódz i wojsko, przez niechęć tych Niemców, zostali pozbawieni świetnej sławy. Bronić się na własnej ziemi, w obliczu swojej stolicy! — i sił i męstwa by nie zbrakło. Ale powie ktoś, że cesarz Aleksander z całą potęgą postępował ku nam, — niech weźmie na uwagę, że wojsko jego nie było w lepszym stanie, jak nasze, że parę miesięcy musiało się zbierać i organizować nad naszemi granicami, że najmniejszy opór byłby znaczne przyniósł korzyści, że Prusacy byliby się pewnie dłużej namyślali nad oświadczeniem odszczepienia, że nakoniec marszałek Macdonald ze swoim pięknym i licznym korpusem nie byłby zmuszony cofać się tak nagle, bo, pociągnąwszy nieco w górę Wisły, znalazłby oparcie o nas. W tem położeniu możebyśmy Wisłę obronili, a przynajmniej z pewnością do wiosny utrzymali. To przedsięwzięcie wywarłoby wielki wpływ na całą spiknioną Europę i obudziłoby energię francuską. Postępek wojska saskiego mało nas nadziwił: doświadczyliśmy już bowiem z jaką skwapliwością 1809 r. po bitwie Raszyńskiej nas opuściło, nie prze-

1809 Raszyn
1872 a Dr
1813 Lipsk

widując tak świetnych wypadków owej kampanii. Później w bitwie pod Lipskiem, przechodząc nagle z naszych szeregów do nieprzyjaciela, położyło ostateczne piętno swojej złej wiary i nikczemności. Prusacy wynagrodzili im tę predylekcyę zaborem połowy prawie ich kraju, najżyźniejszych i przemysłowych prowincyi.

Gdy postępkiem Sasów zniszczone były zamiary nasze, książę Józef, dokompletowawszy swoje pułki zakładami i przysposobionym przez nie żołnierzem, oraz zabrawszy wszystko, co przybyło z organizowanych pułków litewskich, urządził odwrót ku Krakowowi i wkrótce pochód rozpoczął. Nieprzyjaciel, ośmielony naszym odwrotem i widząc kraj zupełnie opuszczony przez siłę zbrojną, zaraz się wcisnął w nasze granice, nie nacierając jednak na nasze tylne straże.

Napoleon w ciągu kampanii 1812 r. był w ręku zdradzieckich lub niezdolnych swoich dyplomatów. Kiedy ostrzegano księcia Bassano, że oddzielnie działający 30-tysięczny korpus austryacki porozumiał się z nieprzyjacielem, książę na to z uśmiechem odpowiedział:

— «Le prince Schwarzenberg, commandant ce corps, est l'homme de l'Empereur».

Kiedy nasz sejm w Warszawie, pod laską księcia Czartoryskiego, sądził potrzebnem ogłosić pospolite ruszenie, dla zabezpieczenia tyłów wielkiej armii, będącej pod Moskwą, ksiądz Pradt, komisarz cesarski, oponował się temu całemi siłami. Gdyby jednak to się zrobiło w czas, wielka armia nie byłaby może wcale zmuszona do odwrotu, a przynajmniej nieza-

wodnie Dniepru byłaby nie opuściła. Nie trzeba być ani dyplomatą, ani wojownikiem, aby pojąć, jaki wpływ ten krok byłby wywarł na wszystkie strony. Cóż robi biedny dyplomata Pradt? Zrywa się nagle, kiedy już kraj był prawie zajęty przez nieprzyjaciela, wydaje najgorętsze odezwy, wzywające do powstania, obiecując rychły powrót cesarza zwycięzcy. Powstało parę województw i co mogły, dostarczyły, ale już było po czasie i liczba ofiar tylko się powiększyła.

ROZDZIAŁ VII.

Kampania roku 1813. — Nominacya Weyssenhoffa na generała brygady. — Na czele brygady piechoty maszeruje do Krakowa. — Zatargi ze sprzymierzonem wojskiem austryackiem. — Marsz do Saksonii. — Weyssenhoff prowadzi całą kolumnę. — Warunki przemarszu przez Czechy i Morawy i zachowanie się wojska austryackiego. — Przyjęcia u hrabiny Pachta, hr. Waldstein, hr. Haugwitz. — Przybycie do Zittau. — Zawieszenie broni. — Weyssenhoff przechodzi z piechoty do jazdy i otrzymuje brygadę jazdy. — Wypowiedzenie zawieszenia broni 10 sierpnia i pierwsze działania pod Zittau i Bautzen. — Brygada Weyssenhoffa oderwana od korpusu polskiego i przyłączona do korpusu hrabiego Lobau. — Marsz przez góry i Elbę pod Königstein do Hellendorf w Czechach. — Generał Dumonceau. — Bitwa pod Hellendorf i działanie w niej Weyssenhoffa.— Wzmianka w »Moniteur«. — Szarża brygady pod Peterswalde pod komendą Napoleona — Bitwa pod Zahra. — Cofanie się do Drezna. — Weyssenhoff z brygadą swą osłania odwrót. — Utarczki z Kirgizami i Kozakami. — Utarczki pod Dreznem.— Krytyka działań marszałka Gouvion St. Cyr — Kapitulacya Drezna 11-go listopada. — Paszport i powrót do Krakowa. — Sprawy familijne 1814 roku.

Manewrując ku Krakowowi, przybyliśmy 1 lutego 1813 roku do Piotrkowa. Tu książę odebrał ku-

ryera z Drezna od króla saskiego, który nigdy nie złożył berła księcia warszawskiego, wierny sprawie i przyjaźni Napoleona, mimo wrzaski całego kraju swojego. Odpowiadając na przedstawienia naszego wodza, Fryderyk August przesłał nominacye i patenta na generała dywizyi księciu Sułkowskiemu, na generałów brygad: mnie, Rautenstrauchowi i Sierawskiemu. Zwołani zaraz do wodza, odebraliśmy z rąk jego nasze patenta; poczucie jednak położenia naszego przytłumiało radość z tych nagród, bo cóż taka nagroda w obojętnych obcych krajach? Przypuszczaliśmy, że opuszczamy granice nasze na zawsze; mało było między nami szczęśliwie zaślepionych, którzy jeszcze obiecywali sobie odzyskanie utraconej sprawy. Awansowanie nasze w czasie pochodu dało nam nieco kłopotów, trzeba było przywdziać ubiór naszego stopnia, a możności żadnej sprawienia. Książę Sułkowski dał mi swoje dawne hafty, które do mojego munduru jako tako przyszyłem. Całe wojsko zatrzymało się dni parę w Piotrkowie i tam, po ogłoszeniu naszego awansu, wódz naczelny dopełnił organizacyi: nowi generałowie otrzymali brygady. Mnie dano komendę nad brygadą, złożoną z 1-go i 16-go pułku piechoty. Poczem ruszyliśmy w dalszy pochód, zatrzymując się po kilka dni w różnych stanowiskach. Ja z moją brygadą spoczywałem 10 dni w Olkuszu. Tu przybyła do mnie żona z dzieckiem: Włodzimierz miał wówczas drugi rok. Ze smutkiem patrzyłem na te przedmioty rzewnej mojej miłości; myśl rozstania się z nimi może na zawsze, opuszczenia ich bez opieki, szarpała mnie, a obowiązek okazywania spokoju wśród towarzyszów dopełniał goryczy uczuć.

Za przybyciem do Krakowa kazano mi iść za Wisłę na Podgórze i zająć stanowisko na Krzemionkach, wzgórzach, panujących nad tem przedmieściem. Rychło potem powiększono moje dowództwo batalionem Francuzów, zebranym z pozostałych po lazaretach; batalionem tym dowodził major francuski, człowiek światły i na wszystko gotowy.

Wojsko austryackie, niby przyjazne, usiłowało wszystko nam utrudnić. Generał ich, Bianchi, postanowił zająć Podgórze, a tym sposobem stanąć między nami a Krakowem. Jakoż wprowadził, nie ostrzegłszy nas, batalion grenadyerów do przedmieścia, między nami a miastem położonego. Nie odwołując się dalej, wysłałem sztabsoficera do tego batalionu z oświadczeniem, że to przedmieście do mnie należy, że jeżeli nie ustąpią natychmiast, to z nastawionym bagnetem uprzątnę sobie ten kwaterunek. Wymowne to oświadczenie skłoniło Austryaków do wymaszerowania bez zwłoki.

Tak rozłożone wojsko naokoło Krakowa i w mieście stało spokojnie aż do pierwszych dni maja. Smutne to było położenie, bośmy nie wiedzieli, jaki los nas czeka. Wódz naczelny oczekiwał rozkazów cesarza i wiedział na pewno, że te dojść muszą, gdyż Austrya jeszcze nie zdeklarowała się przeciw niemu. Tymczasem organizowano i opatrywano pułki, w co było można. Z powstania krakowskiego uformowano szwadrony, później Krakusami zwane. Te nam wielką później oddały usługę; męstwo i wytrwałość, równie jak gorące przywiązanie do kraju, znamionują wieśniaka krakowskiego, on lepiej zdaje się pojmować te szlachetne uczucia, niż reszta naszego ludu. W Wiel-

kopolsce szlachta gorliwa, ale lud już obojętnością i flegmą niemiecką zarażony. Przeciwnie, szlachtę krakowską egoizm znamionuje, a po części i obojętność (nie bez wyjątku wszakże), a cały zapał narodowy jest w pospólstwie.

Odebraliśmy rozkaz ciągnięcia przez Morawy i Czechy do Saksonii, dla połączenia się z wielką armią francuską. Cesarz Napoleon otrzymał od teścia swego, cesarza austryackiego, swobodne przejście dla nas przez jego prowincye. Utworzywszy nowe armie po klęskach w Rosyi, z zadziwieniem całej Europy, korzystnie skończył kilka bitew i opanował Saksonię. Kondycyami przejścia były: spokojność i porządek najściślejsze, broń tylko podoficerom zostawiona, żołnierska zaś cała wieziona za wojskiem; wojsko, podzielone na pięć kolumn, co trzy dni po sobie następować miało. Wódz nasz wyznaczył generałów do każdej kolumny; ja z moją brygadą byłem w ostatniej, której dowódzcą generał Izydor Krasiński miał zostać, lecz gdy ten jeszcze przed wyruszeniem zachorował, książę mnie powierzył dowództwo kolumny. W duchu przyjętych warunków przejścia przez terytoryum austryackie, potworzyliśmy oficerów bez miary dla zachowania największej ilości broni w szeregach. Żona moja odprowadziła mnie aż do pani Dembińskiej pod Kętami; tam spędziliśmy ostatni wieczór w domu przyjacielskim i gościnnym; nigdy nie doznałem tak boleśnie milczącego rozstania się, jak wówczas.

Pókiśmy ciągnęli przez Galicyę, obywatele, wystawiając się na prześladowania, zabiegali nam drogę: każdy chciał nas mieć u siebie w domu. Toasty za

pomyślny i rychły nasz powrót do ojczyzny nie były do smaku urzędnikom austryackim, towarzyszącym każdej kolumnie dla rozpisywania kwater i potrzebnych transportów. Nim doszliśmy do Kęt, generał Sokolnicki, wysłany z Saksonii przez Napoleona, spotkał nas w drodze i, stanąwszy na swoim powozie, ogłaszał przechodzącemu wojsku nowe zwycięstwa pod Lutzen, Bautzen, Hochkirchen, odniesione przez wojska francuskie. Entuzyazm był niewypowiedziany: zdawało się nam, że już cesarz rozpoczął nowy szereg tryumfów; nie wątpiliśmy, że, złączywszy się z wielką armią, i my do żniwa nowych laurów należeć będziemy. Nową zagrzani nadzieją, ciągnęliśmy przez Morawy i Czechy do Saksonii. Nie było nam tajnem, że znaczne wojsko austryackie postępuje obok nas w małym odstępie. Młodzi oficerowie z tego wojska grozili nam obskoczeniem i zabraniem bezbronnych w niewolę; starsi nawet posuwali nierozsądek aż do zapowiadania tego w miastach, przez które przechodzić mieliśmy, nie mając na to ani odwagi, ani rozkazów z góry, zwłaszcza, że cesarz austryacki, uwiadomiony o naszem porządnem postępowaniu, chcąc zapewne ująć Napoleona, przysłał, ledwieśmy kilka marszów w Morawy postąpili, rozkaz, ażeby wrócono wojsku polskiemu całkowitą broń, «nie godzi się bowiem, — brzmiał rozkaz, — pozbawiać broni tak waleczne wojsko, kiedy ono porządkiem w marszu i obchodzeniem się z mieszkańcami na największą zasługuje pochwałę». Odtąd, uzbrojeni zupełnie, maszerowaliśmy w najściślejszej zgodzie z obywatelami, gardząc pogróżkami wojska, które nas z daleka eskortowało.

Uprzejmie nader nas przyjmowano. Cały kraj, uprzedzony przez czynnych nieprzyjaciół naszych, że jesteśmy barbarzyńcami i niesforną dziczą, a doświadczając przeciwnie najspokojniejszego naszego postępowania, nie mógł wyjść z podziwu, i powziął o nas najkorzystniejszą opinię. W istocie żołnierz nasz, przyzwyczajony do niedostatku i niewygód, zadowolony tem, co znalazł u wieśniaka morawskiego, lub czeskiego, dziękował mu jeszcze za przyjęcie. Wkrótce po wejściu naszem w Morawy, przybyłem z kolumną moją do miasteczek Friedeck i Misteck, które dzieli mała rzeczka. Mimo woli mojej zrobił mi komisarz austryacki kwaterę w zamku hrabiny Pachta. Tam zostaliśmy dni sześć dla ułatwienia marszu kolumnom poprzedzającym. Hrabina przyjęła nas z niezwyczajną grzecznością, ze zbytkiem prawie; kobieta przystojna, prawie półwieczna, oświadczyła mi zaraz przy powitaniu, że życzy, aby mi było w jej domu jak najwygodniej i najswobodniej; wie dobrze, że mając liczny sztab przy sobie, miło mi będzie u siebie z nim obiadować, że jednak, gdyby to było przyjemnem, czekać nas będzie codzień z wieczerzą. Stosowałem się do tego: przy sztabie miałem Józefa Mieroszewskiego, znanego z dowcipu i talentu pisania wierszy, Stanisława Platera, biegłego w literaturze niemieckiej, Michała Walewskiego, dowcipnego i wesołego w towarzystwie, Wiktora Łuniewskiego etc. — wszystkich mówiących po francusku i po niemiecku, dobrze wychowanych młodych ludzi. Z orszakiem tym miło mi było prezentować się u hrabiny. W jej towarzystwie znaleźliśmy poetę Niemca, który nam czytał swoje wiersze, bujając zawsze

Biblioteka Tow. wzaj. Pomocy U. U. J. w Krakowie

w «Sonnenglanz» i «Gestiernenstaub». Między grzecznościami, które nam prawił, było i to, że dla sławy naszej koniecznie było potrzeba przechodzić przez te obce kraje, gdyż złość, nie mogąc szkodzić opinii o naszem męstwie, rozsiewała niekorzystne wieści o naszej moralności i wychowaniu; uprzedzeni mieszkańcy byliby przy tem pozostali, gdyby się naocznie przekonać nie mieli sposobności.

Po miłym kilkodziennym pobycie w tym zamku, maszerowaliśmy dalej przez Wischau, Austerlitz, Trebitsch, Iglau, Kolin, Jungbunzlau, Gabel, skąd już weszliśmy w granice Saksonii ku Zittau. W ciągu tego marszu częste miewaliśmy kłótnie z pojedyńczymi oficerami, którzy odwiedzali nasze stanowiska; śmiało zapewnić mogę, że takowe niesnaski kończyły się zawsze z honorem dla naszych oficerów. Powodem były zawsze grube rodomontady oficerów austryackich, zapowiadających, bez względu na naszą obecność, zupełne zniszczenie armii francuskiej i wytępienie wszystkich Napoleonistów, do czego jednak męstwo ich mało się przyczyniło. Tu trzeba zauważyć, że wówczas cesarz i cały rząd austryacki nie był jeszcze przeciwny sprawie Napoleona, ale burzliwy zapał wojska, któremu nigdy nie zbywało na czczych przechwałkach, zmusił prawie później rząd i cesarza do zmiany opinii. Tak zrobiło i wojsko pruskie w 1806 roku, nagląc swojego króla do wojny, która skończyła się czasowem wymazaniem Prus z rzędu niepodległych potencyi. Austrya, pod osłoną całej Europy, uniknęła tak smutnego końca.

W Trebitsch przyjął nas wspaniale hrabia Waldstein. Żona jego, Rzewuska z domu, rodzona siostra

Rzewuskiego, «Arabem» zwanego, traktowała nas, jak ziomków, z zaufaniem: pokazała mi wszystkie swoje kosztowności i miejsca, gdzie były złożone, w celu, abym wiedział, co i gdzie mam bronić w przypadku, gdyby mnie zaprowadził do Trebitsch los wojny, którą już ze strachem przewidywano. Później w zamku Namiest spotkał nas hrabia Haugwitz bardzo wspaniale. Nie zdarzyło mi się widzieć tak wypogodzonego i wesołego starca, jakim był ojciec dzisiejszego majorata, stary hr. Haugwitz, przedwieczny generał Maryi Teresy, lub przynajmniej Józefa II-go. Całe towarzystwo było ożywione jego dobrym humorem, a dwie bardzo przystojne wnuczki były mu wdzięczne za piękne słówka, któremi moi młodzi ludzie, ośmieleni przez staruszka, do nich przemawiali.

Stąd ciągnęliśmy przez Kolin do Gabel, ostatniego miasteczka czeskiego. Tu opuścili nas komisarze i inżynierowie austryaccy, a miejsce ich zastąpił tylko rotmistrz węgierski z kilku huzarami, gdyż nie mieliśmy, jak milę do granicy saskiej. Na granicy pożegnaliśmy go i już w Saksonii ciągnęliśmy swobodnie ku Zittau, gdzie się znajdował nasz wódz naczelny z poprzedzającemi kolumnami. Przysłany z Drezna przez Napoleona generał-adjutant jego lustrował przybywające kolumny; w mojej najbardziej go zajęły trzy szwadrony Krakusów, dowodzonych przez oficerów z jazdy; mieli sukmany i czapki krakowskie, a za broń — lance; Krakowiak, pojętny i żwawy, zadziwiał swoją zręcznością w postawie zupełnie wiejskiej. Cesarz kazał im później, gdyśmy się połączyli z wielką armią, defilować przed sobą w pełnym pędzie konia; niespodziewana siła małych koni,

ogień i żwawość jeźdźców, tak mu się podobały, że natychmiast kazał im dać dobre umundurowanie, nie zmieniając kroju, zastępując tylko ich sukmany szare, lub białe, granatowemi, i opatrując ich w resztę potrzebnych efektów. Całe nasze wojsko stało spokojnie pod Zittau, gdyż trwało zawieszenie broni, z którego miano nadzieję pokoju.

Wojsko nasze składało się ze starych polskich pułków, wzmocnionych, jak się wyżej powiedziało, swojemi zakładami, i pułków litewskich, które miały dużo oficerów, a bardzo mało żołnierzy. Postanowił zatem wódz nasz (zapewnie z wyższego rozkazu) zmniejszyć o połowę liczbę pułków i wszystkie litewskie wcielić do starszych polskich. Niektórzy litewscy oficerowie, szczególnie starsi, sarkali przeciw temu, mieniąc to krzywdą, nie bacząc jednak, iż bez tego, ze swoimi oficerami tylko, nie mogliby służyć czynnie w następującej wojnie. Wszystkim zachowano jednak stopnie i dawność, oddając tylko dowództwo starszym i doświadczonym w kampaniach oficerom. Operacya tego przemieszczenia była powierzona mnie co do piechoty, a co do jazdy — generałowi Umińskiemu. Za rozkazem sztabu głównego wystąpiło w tym celu wojsko w całej sile, osobno piechota, osobno jazda. Wcielenie nowych do starych pułków, sporządzenie kontrol i odmian wyszczególnienie zabrały czynność dnia całego na polu. Wojsko, odchodzące z placu, już przybrało postać uorganizowanego korpusu. Wódz nasz naczelny był zupełnie zadowolony, a miasto i obywatele przygotowali nam niespodziewaną ucztę wieczorną pod rozbitemi namiotami.

Po takowem urządzeniu podzielono dywizye i brygady między dowódzców. Książę Sułkowski otrzymał komendę dywizyi jazdy, złożonej z brygad generała Umińskiego i mojej. Tu wymienić muszę, jakim sposobem przeszedłem z piechoty do jazdy. Brygada druga w dywizyi księcia Sułkowskiego nie miała jeszcze dowódzcy; kilku generałów ubiegało się o nią, ale książę, wódz naczelny, nominował mnie jej dowódzcą. Wyznam, że ten niespodziewany wybór zdawał mi się zrazu niedogodnym z przyczyny, że od początku byłem w piechocie, że szczegóły służby w jeździe były mi nieco obce, że nareszcie ból reumatyczny w lewej nodze nie pozwalał mi rączo na koniu pracować. Gdy jednak upatrywano coś zaszczytnego w tej preferencyi dla mnie, przyjąłem, a profitując z wolnego czasu, który nam jeszcze trwające armistycyum zostawiało, wziąłem się całemi siłami do wyuczenia się nowych obowiązków moich, co mi łatwo przyszło, gdyż wszyscy doświadczeni wojownicy wiedzą, że dobrze pojęta szkoła piechoty usposabia najlepszych oficerów jazdy.

Dokonawszy zupełnej organizacyi swego korpusu, wódz naczelny rozkazał, aby wojsko zostało wygodniej i obszerniej rozłożone po okolicach. Przysłany komisarz królewski z szefem sztabu głównego rozpisywali stanowiska. Dywizyi Sułkowskiego dostała się okolica Herrnhut; moja brygada stanęła na około samego miasteczka, tej stolicy Braci czeskich. Tu się pokazał przemysł pana komisarza, tak bowiem wystawił przełożonym tego związku nadużycia i złe obchodzenie się nasze, że ci obowiązali się płacić tygodniowo po kilkaset talarów, aby tylko miasteczko

samo było uwolnione od kwaterunku; ale, przekonawszy się z doniesień wsi okolicznych, a między temi i swoich własnych, że to była potwarz, a że opłata była uciążliwa, udali się z prośbą do księcia, aby zrobiono kwaterunek w mieście i zwolniono ich z tej opłaty. Komisarz odpowiedział, że to nie może już być odmienione. Wszyscyśmy widzieli coś w tem nieczystego; powszechna opinia obwiniała podszefa sztabu, generała Rautenstraucha, o porozumienie się tajemne z komisarzem. Pozostający czas krótki do wypowiedzenia armistycyum poświęciliśmy ćwiczeniom i porządkowaniu wojska.

Tymczasem ciągnęły się negocyacye w Pradze. Sprzymierzeni, wsparci przystąpieniem cesarza austryackiego do wspólnej wojny przeciw jego zięciowi i zbliżaniem się nowych wojsk, a szczególniej Bernadotta ze Szwedami, zmienili ton konferencyi i podali ultimatum, którego Napoleon przyjąć nie mógł. Wypowiedziano zatem zawieszenie broni dnia 10 sierpnia, jak było w umowie, i kroki nieprzyjacielskie natychmiast się rozpoczęły. Korpus księcia Poniatowskiego odebrał rozkaz zebrania się na wzgórzach przed Zittau ku Czechom.

19-go sierpnia cesarz przybył do korpusu. Ja z moją brygadą stałem na czele, formując niby przednią straż. Na rozkaz cesarza wysłałem pułk huzarów dla zlustrowania obszernego pola aż do lasu ku czeskiej granicy, dokąd przybywszy, pułk się zebrał i czekał obok drogi. Tymczasem cała piechota z artyleryą postępowała naprzód do lasu i przez las, moja brygada posunęła się naprzód i spędziła strzelców austryackich, rozsadzonych po rowach i zbo-

żach, którzy zemknęli aż do Gabel i w tem mieście zdawali się chcieć bronić, ale kilka kul armatnich i widok rozwiniętej piechoty doradziły im, aby to miasto opuścili; jakoż bez oporu weszliśmy do miasta. Parę dni spokojnego posiadania tego punktu było dostateczną wskazówką, że znacznych sił nieprzyjaciela nie było przeciw nam; zostawiwszy zatem moją brygadę dla zajmowania tego punktu, korpus wrócił do Bautzen. Kilka ruchów korpusu ku granicom czeskim były tylko wielkiemi zwiadami, ściągającemi się do ogólnego planu wojny. Wkrótce i mnie z brygadą ściągnięto do Bautzen. Kiedy dywizya nasza była tylko o mil parę od obozu, wśród ciemnej nocy usłyszeliśmy pod Bautzen mocne strzelanie z ręcznej broni. Dowódzca nasz, książę Sułkowski, kazał ruszyć dywizyi wielkim kłusem, aby tam dobiedz; obiecywaliśmy sobie, że, wpadłszy niespodziewanie z tyłu na nieprzyjaciela, atakującego nasz obóz, będziemy mogli uskutecznić bardzo korzystną dywersyę. Zbliżywszy się, napotkaliśmy uchodzących ludzi, którzy nas zapewniali, że jazda rosyjska wpadła na nasz obóz. Strzelanie nie ustawało. Przybiegliśmy bez przeszkody do jednej bramy, ale ta była zamknięta i zatarasowana. Ruszyliśmy bokiem miasta, nie spotykając nigdzie obcego wojska, i pokazało się, że fałszywy alarm podniosły konie, które się pourywały i poprzewracały kozły z broni; z tych kilka wystrzeliło, upadając. Dzień już się zrobił: rozpatrzono się. Zamieszanie było jednak powszechne tak, że potrzeba było dnia całego, aby wrócić do porządku.

Tymczasem dywizya nasza postąpiła nieco naprzód i zasłaniała obóz szykujący się. Chcąc dowie-

dzieć się z pewnością o zapowiedzianym przez szpiegów nieprzyjacielu, wódz naczelny wysłał dwa silne wzwiady: generała Umińskiego z jego brygadą i kilku kompaniami piechoty w jedną, a mnie z moją brygadą i paru kompaniami woltyżerów w drugą stronę. Ja odebrałem rozkaz dotarcia aż o kilka marszów do obozu. Przybyłem tam, nie spotkawszy, jak tylko kilku huzarów węgierskich. Mając rozkaz oczekiwania w Rumburgu dalszych dyspozycyi, stanąłem obozem przed miastem tak dla bezpieczeństwa, jakoteż dla zapobieżenia nadużyciom i rabunkom, zwłaszcza, że tu przyszła do mnie baterya artyleryi konnej francuskiej; wiadomo, że ci nie oszczędzali mieszkańców. Rozstawiłem szyldwachy około mego małego obozu i rozkazałem surowo, aby nikt nie ważył się iść samowolnie do miasta, dokąd posłałem komendanta placu z małym oddziałem, na co Francuzi bardzo sarkali. Zyskałem na tem, że władze miejskie, wdzięczne za wzorowy porządek w wybieraniu żywności i furażu, uwiadamiały nas wiernie o bliższych ruchach nieprzyjaciela.

Po kilku dniach nadciągnął tu z całym korpusem książę Józef. Już były zapewne dyspozycye zbliżania się do Drezna, gdyż wkrótce ruszyliśmy ku Lobau. Dywizya Sułkowskiego i Krakusy formowały tylną straż. Hrabia Kellerman już był objął dowództwo całej jazdy naszego korpusu. Po żwawej utarczce pod Lobau ciągnęliśmy do Drezna; dywizya Sułkowskiego ciągle w aryergardzie. Kiedyśmy się zbliżyli do Stolpen tak, że już widać było śród płaszczyzny wznoszący się zamek na bazaltowej górze, huzarzy austryaccy zaczęli silnie nacierać na tylną straż.

Hr. Kellermann kazał naszej dywizyi zatrzymać się, rozwinąć i dać odpór huzarom. Skorośmy stanęli do boju i wsparli naszych flankierów, huzarzy natychmiast się zatrzymali i rozpoczęło się tylko mało znaczące flankierowanie, a korpus tymczasem maszerował ku Stolpen.

Wśród tego naszego harcowania odbieram bilet od hr. Kellermanna następującej treści:

«A la reception de la présente vous quittez avec votre brigade le champs de bataille et marchez par la plus courte à Hellendorf en Bohême pour y rejoindre le 1-er corps d'armée, commandée par le général comte de Lobau, dont vous recevrez les ordres ultérieurs. Vous passerez l'Elbe à Königstein. Vous ne négligerez pas de prévenir votre collègue le général Umiński de la tenance de cette disposition, afin qu'il prenne ses mesures».

Żadnej wiadomości o dyrekcyi ani drogach powziąć nie można było: z wojskowych nikt nie wiedział, a mieszkańcy ze wsi pouciekali. Szczęściem, mieszkając cztery blizko lata w Saksonii, dość dobrze pamiętałem położenia i, nie namyślając się, kazałem brygadzie zajść trzema w prawo i maszerować za mną polem bez drogi w dyrekcyi Königstein, jak miarkowałem. Pamiętając, że, ażeby dojść do Elby, trzeba było przebyć część gór skalistych, należących do tak zwanej Szwajcaryi Saskiej, przewidywałem wielkie trudności. Tam już niepodobna było instynktem się kierować. Zbliżywszy się do gór, spostrzegłem osadę, a że to było dość daleko od hałasu wojennego, dostałem we wsi przewodnika. Pokazało się, że maszerowałem dotąd w dobrej dyrekcyi. Prze-

wodnik uprzedził mnie, że przebycie gór do König stein będzie bardzo trudne, że tu niema drogi, są tylko ścieżki po skałach, urwiskach i strumieniach. Wyboru nie było: puściliśmy się w te bezdroża. Maszerowaliśmy resztę dnia i noc całą, najczęściej prowadząc konie w ręku i równo ze dniem stanęliśmy w Königstein, gdzie, przebywszy Elbę po moście, zatrzymałem się pod twierdzą dla nakarmienia ludzi i koni. Generał francuski, Mouton de Vernet, komenderował w twierdzy; na moją rekwizycyę rozkazał mi natychmiast dostarczyć wszystkiego zadość. Twierdza ta, jak wiadomo, zdobytą być nie może, gdyż ze wszystkich stron jest niedostępna dla skały, więcej niż tysiąc stóp wysokiej, na której jest zbudowana. Głodem także zmuszona być nie może, gdyż nader mały potrzebny garnizon miałby dostatek gruntu na przysposobienie sobie żywności; nadto doskonałe, w skale wykute kazamaty i magazyny stale są opatrzone na siedm lat we wszelkie potrzeby. Żołnierze garnizonu, siedząc z lulkami na parapetach twierdzy, patrzyli na nasze trudy, jak na zajmujące widowisko. Do godziny jedenastej popasłszy dostatecznie, ruszyłem w dalszy pochód. Znaczne oddalenie i bardzo złe drogi skłoniły mnie do przepędzenia nocy o milę od Hellendorf. Nazajutrz do południa byliśmy zatrudnieni czyszczeniem się, wchodząc bowiem do francuskiego obozu, chcieliśmy się korzystnie pokazać, a deszcze ustawiczne i drogi rozbłocone nie dobrze na nasz pozór wpływały. Ruszywszy około pierwszej, stanąłem o godzinie piątej w głównej kwaterze hrabiego Lobau. Ten, przejrzawszy brygadę, kazał mi natychmiast maszerować do generała Dumonceau,

którego dywizya formowała przednią straż o milę przed korpusem. Deszcz ulewny ze straszną burzą uczynił nam ten ostatni ruch bardzo nieprzyjemnym.

Przyczyną tak nagłego odesłania brygady do awangardy było, że generał Dumonceau miał tylko 30 koni jazdy, niedobitków pułku Westfalskiego, a nieprzyjaciel, naprzeciw niemu stojący, miał liczny zbiór różnorodnej kawaleryi. Gdy, stanąwszy na miejscu, wszedłem do baraki generała, jakież było nasze zdziwienie, kiedy, spojrzawszy po sobie, poznaliśmy się nawzajem. W czasie mojego podróżowania poznałem najprzód generała tego w Amsterdamie na obiedzie u bankiera Kuders, a potem przyjaźń jego z Kościuszką powodowała mnie do częstego odwiedzania go w tem mieście. Jego zasady i opinie nie podobały się Napoleonowi, i dlatego był zaniedbywany, chociaż się bardzo odznaczył w poprzednich wojnach. Szczególnie kiedy książę York wylądował ze znacznem wojskiem angielskiem na brzegi Holandyi, śmiałe natarcie francuskie zmusiło go do schronienia się z wielką stratą na okręty i wrócenia do Anglii. Generał Dumonceau był bohaterem dnia tego. Przeszyty kulą przez piersi, leżał bez nadziei w poblizkiej chałupie; generał en chef Brienne przybył do niego z chorągwiami nieprzyjacielskiemi, a złożywszy je u nóg jego, rzekł:

— Tobie się wszystkie należą, generale, tyś to sprawił.

Później, nadspodziewanie wyleczony, był znów użyty, zawsze niechętnie, przez Napoleona.

Po zwyczajnych powitaniach, przeczytawszy raport, który mu podałem, zawołał:

— Maintenant nous sommes grands garçons! gdyż dotąd liczna jazda nieprzyjacielska dawała mu się we znaki: nie było ani wedetów, ani patroli innych, jak z piechoty, które ani obozu zabezpieczyć, ani nieprzyjaciela obserwować zblizka nie mogły. Wysłałem przeto natychmiast wielkie warty i placówki naprzód przed obóz. Było to już ku wieczorowi; ulewa ciągle nam dokuczała. Żołnierze ani konie nie mieli żywności, oprócz tej, którą ze sobą na siodłach przywieźli; sztab korpusu wcale nie pomyślał o tem, tak, jak i w ciągu całej kampanii. Nieprzyjaciel, uwiadomiony o przybyciu jazdy naszej, chciał się naocznie przekonać. Około jedenastej w nocy, kiedyśmy wszyscy jakiemikolwiek barakami zasłaniali się przed deszczem, usłyszeliśmy okropne «hurra!» na całym froncie. Wściekły atak jazdy nieprzyjacielskiej, spędziwszy moje placówki, oparł się na wielkich wartach (grandes gardes), które nie ruszyły się z miejsca, i po czczym hałasie wrócił do swego obozu. Spokojność u nas nie została naruszona. Generał Dumonceau powiedział mi:

— Hier cela pouvait être d'un grand danger.

Nazajutrz, około dziesiątej zrana, nieprzyjaciel ukazał się w całej sile z piechotą i działami, rozpoczął ogień i atak na całej linii. Moja brygada stała na lewem skrzydle, jazda nieprzyjacielska zaczęła nas z tej strony oskrzydlać, gdyż na wielkiej drodze, która szła przez środek obu wojsk, ogień nasz armatni nie dał jej rozwinąć się. Wypadli na mnie najprzód huzarzy rosyjscy, na których natarłem, nie namyślając się, dwoma szwadronami pułku 16-go ułanów, z pułkownikiem Obuchowiczem na czele. Prze-

wróciliśmy natychmiast tych huzarów, lecz mnogość jazdy nieprzyjacielskiej nie dała nam gonić i korzystać; napadnięci przez większą siłę, musieliśmy wrócić do frontu i całą brygadą ruszyć naprzód. Tak odparta nieprzyjacielska jazda już się więcej nie ukazała. Piechota nasza tymczasem cofała się nagle i prawie w nieporządku; pułki francuskie, poformowane z Holendrów, Belgów etc., już wówczas nie przypominały nawet męstwa dawnych wojsk. Ruszyłem z brygadą dla zasłonięcia nieładu, — wtem spostrzegłem działa opuszczone i woźniców, zabierających się do ucieczki pieszo. Kazałem ich łapać, zmuszać do wsiadania na zaprzężone konie, i tym sposobem ratowaliśmy opuszczone działa. Potem z całym korpusem cofnęliśmy się do ? . . . . . i tam zajęli pozycyę korzystną.

Hrabia Lobau, który był wszędzie obecny, dziękował nam i zapewniał, że cesarz będzie o tem zawiadomiony. Jakoż w rzeczy samej umieścił w raporcie swoim:

«Nous devons à la conduite de la brigade de cavallerie polonaise le salut du corps d'armée et moi celui de l'honneur».

Słowa te były w buletynie, umieszczonym w «Moniteur». Wkrótce przesłałem raport księciu Józefowi, wódz bowiem naczelny polski powinien był wiedzieć, co robią Polacy, chociaż do innych komend przyłączeni, — i odebrałem list własnoręczny, bardzo pochlebny. Odtąd uganialiśmy się tylko nawzajem między Giesshübel i Peterswalde, zajmując stanowiska nieprzyjaciela, lub odstępując mu nasze.

Około połowy września postąpiliśmy naprzód aż za Peterswalde. Stanąwszy na szerokiem i gładkiem polu, ujrzeliśmy na równoległem wzgórzu naprzeciwko nas wielką linię jazdy nieprzyjacielskiej. Co począć? Moja brygada już nie liczyła nad 650 koni. Wtem przybył do nas sam Napoleon z kilku szwadronami jazdy gwardyi. Na lewem skrzydle mojem był wzgórek, znacznie wyniesiony. Nagle stanął na nim cesarz, zsiadł z konia i długo obserwował linię nieprzyjacielską najprzód przez wielką perspektywę, kładąc ją na ramieniu jakiegoś generała, potem przez zwyczajną swoją ze słoniowej kości kieszonkową, — poczem, przechodząc się po wzgórku, ziewając, strudzony i znudzony ciągłemi przeciwnościami, zapytał, co to za jazda stoi na dole. Gdy mu odpowiedziano, że to brygada polska i że polski generał nią dowodzi, zawołał mnie. Pośpieszyłem na wzgórze. Trzeba sobie wystawić to solenne milczenie, które panowało około posępnego cesarza. Skoro stanąłem przed nim:

— C'est vous qui commandez cette troupe?

— Oui, Sire.

— Voyez-vous cette ligne? chargez la moi droit devant vous!

Poprawiłem kapelusza i wróciłem pędem do brygady. Straszny to był wyrok, bo widziałem przed sobą dziesięć razy mocniejszego nieprzyjaciela; obserwacyi wszakże żadnej robić nie można było, zawołałem przeto do moich:

— Polacy! Napoleon patrzy!

I kazałem ruszyć stępa; uszedłszy nieco, zakomenderowałem kłusa. Wśród tego ruchu, adjutant mój, Łuniewski, ostrzegł mnie:

— Czy widzi generał, co nasz kapral robi? (w wojsku nazywano Napoleona «le petit caporal»).

Obejrzawszy się, spostrzegłem w tyle za mojemi skrzydłami i z daleka postępujące szwadrony gwardyi w kolumnach. Nowy zapał — «galopem!», a zbliżywszy się: «nacieraj!» ze spuszczonemi lancami, a huzary z podniesionym pałaszem. Zdawało się zrazu, że jazda nieprzyjacielska zamyślała dotrzymać, ale skorośmy się bardzo zbliżyli, wszystko znikło i uciekało bez ładu. Po niejakim czasie jednak wstrzymał się nieprzyjaciel, uformował i szarżował na nas: wstrzymał nas, ale nie na długo.

W tej chwili kilku lancierów pruskich rzuciło się na mnie; byłem w niebezpieczeństwie, ale porucznik od huzarów, Porczyński, z kilku ludźmi przypadł i oswobodził mnie i mojego adjutanta, Michała Walewskiego, któremu koń się związał w gwałtownym ruchu.

Natychmiast komenderowałem nacieranie całą brygadą, która ruszyła, a nieprzyjaciel spędzony został ostatecznie do lasu. Między szwadronami gwardyi, które za nami postępowały, był jeden lancierów polskich szefa szwadronu Jankowskiego. Ten, korzystając z nieładu nieprzyjaciela, wpadł z boku i wziął w niewolę Blüchera, syna głównego generała. W tej bitwie wzięliśmy kilkuset jeńców; z naszej strony dzielny szef szwadronu, Radoński, był ranny dzidą w bok tak, że mu wyszły wnętrzności i ujęty został przez kozaków, ale siedział na koniu nadzwyczajnej chyżości, bo, mimo rany i dwóch kozaków, którzy go prowadzili, upatrzył moment i wrócił do swoich szeregów, żywy jeszcze, ale już niezdolny do służby.

Chirurg królewski, Hedenius, wykurował go wprawdzie, ale już ani mocnego zdrowia, ani zwyczajnych sił nie wrócił.

Po ukończonej bitwie przybiegł do mnie generał Ornano, oświadczając mi, że cesarz był zadowolony ze sprawienia się brygady mojej w tym dniu. Tegoż dnia poszliśmy naprzód aż do wsi Zahra, nieco na lewo od traktu. Wieś ta położona na samym schyłku gór, nad doliną, która się rozciąga aż do Teplitz, w parowie ku dolinie. Moja brygada stanęła nade wsią, patrząc na dolinę, szwadron zaś lancierów Jankowskiego rozłożył się we wsi i, swoim zwyczajem, wygodnie rozkwaterował się po niej. Uważałem przeto ten szwadron jako w awangardzie. Z tem wszystkiem nie spuszczałem oka z doliny, którą całą widziałem ze swojego stanowiska. Sądziłem, że ten szwadron ma swoją wartę i placówki; nic z tego nie było, — oswojony z wojną sposobem francuskim, nie miał żadnej ostrożności. Ulica przez wieś, szeroka i prosta, kończyła się na dolinie. Dnia następującego spostrzegłem zrana ruch nieprzyjaciela na dole, a gdy siły jego coraz się powiększały, posyłałem co moment raporta o tem do sztabu korpusu. Nakoniec kazałem brygadzie mojej konie pokiełznać i stać przy koniach, nie ufając ostrożności szwadronu lancierów. Spostrzegłem wreszcie, że kilka pułków piechoty austryackiej rozwinęło się tuż przed nami, i że ustawiono 12 sztuk armat prosto w wieś i niedaleko od niej. O tem także posłałem pośpieszny raport. Od przybycia cesarza objął tym razem dowództwo jazdy generał Ornano. Czy te raporta dochodziły cesarza, lub nie — nie wiem; stało się tylko, że cesarz przebiegł galopem

pomiędzy mojemi szwadronami, wpadł do wsi i był już w drugim końcu, kiedy nieprzyjaciel, spostrzegłszy to, rozpoczął żywy bardzo ogień w ulicę, naprzeciw której działa swoje miał ustawione. Niebezpieczeństwo było wielkie: bocznego ujścia żadnego nie było. Cesarz, zwróciwszy nagle konia, galopem wracał ulicą, po której go kule goniły. Szczęśliwie wszakże wyskoczył ze wsi i zaraz rzucił się na lewo, gdzie już był zasłonięty. Gniew jego, że nie był ostrzeżony o takiej blizkości nieprzyjaciela zaraz wywarł się na dowódzcę jazdy, generała Ornano. Ten nie miał innej wymówki, jak zrzucić na mnie, że, będąc w przedniej straży, żadnego mu raportu o tem nie przesłałem. Tu byłaby moja kolej być łajanym i tłómaczenia moje nie byłyby mnie usprawiedliwiły, ale hr. Lobau ujął się z ogniem za swoim podkomendnym i oświadczył cesarzowi, że był świadkiem, jak raporta generała Weyssenhoffa były co kwadrans posyłane. Cały zatem gniew spadł na Ornano, a my tymczasem staliśmy wystawieni na okropny ogień armatni, a później i ręczny, kiedy strzelcy austryaccy lasem wpadli na nasze prawe. Tam brygada moja uczyła się i emulowała z dragonami gwardyi, jak stać spokojnie pod ciężkim ogniem armatnim. Kule nas raziły, ale sąsiedztwo tej niewzruszonej gwardyi było szlachetnym przykładem dla moich. Nadbiegła też artylerya piesza i chciała się postawić przed środkiem mojej brygady, ale w tym dymie i hałasie zabrała się do tego z takiem roztargnieniem, że, zajeżdżając, wywrócili działo, a potem, otwierając koffret z lontem w ręku, wysadzili całą amunicyę w powietrze. Aż nakoniec przybiegło kilka dział lekkiej arty-

Biblioteka Tow. wzaj. Pomocy U. U. J. w Krakowie

leryi gwardyi, te natychmiast zgasiły ogień nieprzyjacielski i do cofania się zmusiły. Austryacy oddalili się zupełnie w kierunku Teplitz. Cesarz, pochwaliwszy nas, odjechał; my, przenocowawszy pod tą wsią, wróciliśmy nazajutrz na pozycyę naszą pod Giesshübel. W tej potrzebie straciliśmy kilkudziesięciu ludzi; szczęściem dla nas, że kule dział, z dołu do góry strzelających, przenosiły. Szef szwadronu, Błędowski, był ciężko ranny w głowę kulą z ręcznej broni przez strzelców, którzy się ukazali na naszej prawej.

Tu się skończyły z naszej strony wszelkie działania zaczepne. Korpus hr. Lobau był, jak powiedziałem, złożony z popisowych nowych departamentów; już ten wódz nieustraszony nic z nimi śmiałego przedsięwziąć nie mógł. Staliśmy tu zatem aż do 15 października, w którym to dniu uwiadomiony dowódzca, że się zbliża do nas nieprzyjaciel w znacznej sile, postanowił cofać się ku Dreznowi, gdzie był marszałek Gouvion Saint-Cyr z korpusem. Rozkazawszy przeto mnie formować arriergardę i zostać na miejscu dwie dobre godziny po odejściu korpusu, sam z wojskiem pomaszerował w tył.

Miałem przed sobą równoległy wąwóz, stałem przeto poza nim z rozwiniętą brygadą. Deszcze ciągłe w tym roku tak popsuły drogi, że artylerya doznawała największych trudności w postępowaniu. Z tej przyczyny widzieliśmy za wąwozem i blizko nas działa rosyjskie, które się ustawić chciały, ale uwięzły w głębokiej drodze i kroku naprzód ruszyć nie mogły. Zamyślałem wpaść na nie i, cofając się, uprowadzić, ale liczna jazda przybiegła na okrycie onych. Po wytrzymaniu tu nie dwóch, ale przeszło

czterech godzin, kiedy korpus już ze dwie mile się oddalił, zacząłem się cofać od lewego, kolumnami, szwadronami, w całych odstępach. Mieliśmy za sobą równiny i obszerne pola; wielkie to było niebezpieczeństwo dla mojej szczupłej brygady, gdyż obszerne pole podawało wszystkie korzyści jeździe nieprzyjacielskiej, dziesięć razy liczniejszej. Cofałem się jednak spokojnie aż do Pirny; tam dopiero ukazały się liczne hufce nieprzyjaciela, a na czele pułk huzarów pąsowych. Pułk ten rozwinął się zupełnie, skoro ja zatrzymałem brygadę i front odwróciłem. Sztabsoficerowie podjeżdżali bliżej i wołali, abyśmy próżno nie stawiali oporu, obiecując nam złote góry. Gdy się przekonali, że takowe exorty na nas żadnego skutku nie wywierały, zaszli plutonami w lewo i odmaszerowali zupełnie. Zostały tylko naprzeciw nas hordy baszkirów, kałmuków i kozaków, których nasze chorągiewki i lance trzymały z daleka.

Po odejściu regularnej jazdy osądziłem, że mogę mój ruch dalej ciągnąć. Ledwom uszedł z ćwierć mili, aż się wszystkie hordy z przeraźliwym krzykiem rzuciły na nas. Zmuszony byłem stanąć i front odwrócić, ale zawsze w kolumnach, szwadronami i z odstępami — i ta hurma zatrzymała się także, oskrzydliwszy mnie prawie wkoło. Formacya moja w szwadrony czyniła mój szyk głębokim i zabezpieczała boki i tył. Środek nieprzyjaciela, zbliżywszy się do mnie najdalej na dwieście kroków, zaczął się niejako szykować, poczem ujrzeliśmy widowisko, dotąd nam nieznane: wyleciała z pomiędzy tego środka chmura strzał. Strzały te zaczęły pojedyńczo spadać na nas i jedenaście ludzi mi raniły mniej lub więcej

mocno. Szef szwadronu ułanów, Mikoszewski, dostał strzałę blizko pięściowego stawu pomiędzy dwie kości; przeszła wskróś i ułamała się tak, że grot wyglądał z obu stron, a nie można było go z żadnej strony wydobyć; cierpiał niezmiernie i długo się leczył. Druga strzała trafiła sztabs-trębacza od huzarów, który z tej rany w kilka dni umarł. Reszta była lekko ranna. Po tym wybuchu wszystko spokojnie stało, a ja, obróciwszy trzema w tył, cofałem się jak najwolniej, bacząc zawsze na nieprzyjaciela. Skorom się zaczął cofać, hordy znowu z krzykiem na nas; kozaki tak docierały, że aż do frontu dobiegały pojedyńczo, a jeden z nich ranił dzidą kapitana Linkiewicza, stojącego na skrzydle pierwszego plutonu ułanów. Porządek i spokój moich były jednak tak poważne, że te hordy naokoło nas biegały, ale natrzeć nie miały odwagi. Wtem upatrzywszy, że sporo ich wcisnęło się między moje prawe skrzydło, a przykopę bardzo wysoką, kazałem szwadronowi huzarów nagle rzucić się w bok i natrzeć gwałtownie. Kapitan Kuszel uskutecznił ten ruch tak trafnie, iż odciął tej kupie odwrót i, wparszy na przykopę, straszną im zadał klęskę. Brygada, stojąc zawsze w porządku, patrzyła na to. Wojsko, jakiegośmy nigdy nie widzieli, uciekało, nie używając nawet broni. Widziałem wtenczas osobliwszych żołnierzy, bardzo zblizka: kożuchy poprzewracane, kapelusze śpiczaste białe, czerwone, błękitne, sahajdaki na plecach. Padła ich znaczna liczba, a ujęliśmy dwóch rotmistrzów, z którymi nikt rozmówić się nie mógł, gdyż i po rosyjsku nie mówili, — i stu kilkudziesięciu jeźdźców. Po tym hałasie cała jazda nieprzyja-

cielska cofnęła się zupełnie, a my, przybywszy pod Pirnę, nocowaliśmy na polu.

Nazajutrz rano ruszyłem ku Dreznowi, trochę niepokojony z tyłu przez kozaków, ale bez starcia się. Pomyślność poprzedniego dnia byłem winien jedynie spokojowi i porządkowi brygady. Doświadczyłem, iż jedynie porządek w takich razach od wielkiej klęski uchować może. Gdybym chciał z brygadą szarżować, przełamałbym zapewne wszystko, ale taki nieprzyjaciel, co się salwuje ucieczką na wszystkie strony, aby się natychmiast znowu zebrać, korzysta z nieładu i nieprzezorności, okrąża zewsząd, nawzajem naciera i najczęściej tryumfuje. Groźny spokój jest w takim razie jedynym środkiem. Gdy już zbliżyłem się do Drezna, kozacy wpadli po mojej prawej na warty piechoty francuskiej. Pobiegłem natychmiast ze szwadronem huzarów w pomoc i ocaliłem je, już w nieładzie będące. Przed miastem stały w szyku i pozycyi poważne siły, gdyż korpus marszałka Saint-Cyr wystąpił na linię. Hrabia Lobau przybiegł do mnie i serdecznie mnie uściskał, mówiąc:

— Vos braves ont trop travaillé pour ne pas mériter un ample repos; l'Empereur aura connaissance de votre conduite.

A obracając się do jednego ze swoich generałów, rozkazał, aby moją brygadę zaprowadził w tył w bezpieczne i wygodne ogrody miejskie. Tu miałem wypadek, który mnie ledwo oka nie pozbawił; generał, prowadzący nas, jadąc przede mną pomiędzy owocowemi drzewami (było już dobrze szaro), zajął gałąź jabloni, czego ja już widzieć nie mogłem; gałąź

Biblioteka Tow. wzaj. Pomoc U. U. J. w KRAKOWIE

tak sprężyście odskoczyła, że, uderzywszy mnie po samych oczach, mocno mnie raniła. Mówię o tem dlatego, że już odtąd nie mogłem dowodzić moją brygadą. Hedenius chirurg, któremu mnie oddano, nie był pewien przez 24 godzin, czy oko odzyskam; staraniem jednak jego zostałem wyleczony i dość rychło. Marszałek Saint-Cyr, jako starszy, objął tu dowództwo ogólne. Dla kuracyi przeniosłem się do miasta. Wojsko rosyjskie, pod dowództwem generała Tołstoja, zajęło położenie od strony Grossgarten i ustawiło bateryę pozycyjną na wzgórzu tak blizko, że mogło razić nietylko nasze konie, ale i do miasta wygodnie strzelać. Marszałek uznał konieczność spędzenia tego nieprzyjaciela, zwłaszcza że wiedział, że oprócz artyleryi, cała komenda generała Tołstoja była złożona z nowych pułków. Uwiadomiony będąc o dyspozycyach w tym celu, zerwałem się i z zawiązanem okiem pośpieszyłem do brygady. Tam otrzymałem rozkaz, aby wprost przed bateryą nieprzyjacielską jazda moja szwadronami rozstawiła się po polu. Piechota ruszyła, ciągnąc w prawo dla obejścia pozycyi atakowanej, a skoro już na wzgórzu postępować zaczęła, przypuściłem atak wprost i od lewego; piechota nieprzyjacielka nie dotrzymała, opuściła swoją bateryę i w nieładzie uchodziła. Działa zatem dostały się natychmiast w nasze ręce, a goniąc za piechotą, ujęliśmy jej kilkaset ludzi. Szwadrony moich huzarów, wpadłszy na cały batalion, do złożenia broni go zmusiły. Po tej pomyślnej wyprawie wróciliśmy na nasze miejsce pod miasto.

Tu się zaczęły już smutne okoliczności. Brygada moja, zmniejszona do stu kilkudziesięciu ludzi,

zdolnych do boju, wszyscy prawie oficerowie ranni, lub polegli. Ja sam cierpiący na oko, posłałem grosmajora Wacława Gutakowskiego dla objęcia dowództwa nad resztą brygady, którą już kapitan komenderował, bo sztabs-oficerowie wszyscy byli ranni. Major Gutakowski tak był nieszczęśliwy, że ledwo stanął na czele, jakaś zabłąkana kula kozacka strzaskała mu rękę i ten wrócił do miasta. Odtąd też już nic z obu stron nie przedsiębrano.

Są plamy w życiu sławnych ludzi, które historya pokrywa, lub omija, dla uświetnienia pochwalnych obrazów; plamy te, objawione, całe by świetne życie przyćmiły. Postępowania marszałka Saint-Cyr w tej epoce żaden historyk zapewne nie wykaże, oszczędzając jego poprzednie czyny. Niechęć ku Napoleonowi nie może go usprawiedliwić. W jego mocy było wielką zrobić dywersyę na korzyść wielkiej armii, a przynajmniej ratować kilkadziesiąt tysięcy Francuzów. Twierdze Torgau, Wittenberg, Magdeburg — wszystkie nad Elbą w dół tej rzeki, w ręku naszem będące, czyniły nas panami obu brzegów i ułatwiały nasze połączenie się z marszałkiem Davoust'em pod Hamburgiem. Siły, któremi dowodził w Dreźnie Saint-Cyr, składały się z 20.000 piechoty, licznej artyleryi, opatrzonej działami i amunicyą dostateczną. Jazdy wprawdzie miał mało: resztę mojej brygady, cały pułk ułanów, doświadczonych w Hiszpanii, na teraz pod dowództwem pułkownika Tańskiego, i parę szwadronów dragonów francuskich. Te siły mogły być powiększone przez zebranie załóg z twierdz, które, oprócz Magdeburga, były już skazane na poddanie się. Ale Saint-Cyr nie widział tylko

trudność tego długiego pochodu dla połączenia się z Davoust'em. Mijam przecież, że przy złej chęci na nic się odważyć nie chciał, chociaż go nic gorszego spotkać nie mogło, jak haniebna kapitulacya w Dreźnie; mijam, że, mimo wołania wszystkich swoich generałów, a hrabiego Lobau szczególnie, postanowił z tak znacznemi siłami zakończyć poddaniem się. Lecz czego ominąć nie mogę, to jego opieszałość i okrutną obojętność w opatrywaniu wojska, pod dowództwem jego będącego. Wojownicy francuscy błąkali się po ulicach Drezna zgłodniali; sam widziałem biedaka, zbierającego na śmietniku okrawki kartoflane i jedzącego je na miejscu. Ranni tak dalece nie mieli opieki, ani schronienia, że codziennie widziano po ulicach, dziedzińcach i bramach umarłych z nędzy i nieopatrzenia. Wychodząc raz z mojej kwatery w wilią kapitulacyi, znalazłem w powozach, stojących przed bramą, czterech żołnierzy francuskich umarłych. Żadnego magazynu, żadnego lazaretu, a przecież marszałek stał spokojnie od niejakiego czasu w tem mieście i wiedział dobrze, że korpus hr. Lobau ma się tu połączyć z jego korpusem; stał w stolicy zamożnego kraju; ani na domach wygodnych na lazarety nie zbywało, ani o zapasy żywności i furażu nie było trudno. Oficerowie administracyjni, jak komisarze wojenni, lekarze etc., widocznie dzielili jego szkaradną obojętność, gdyż kiedy wojsko umierało z głodu, ran i niewygód, oni, świecąc haftowanemi mundurami, wyświeżeni, jak w największej pomyślności, jeździli kabryoletami na śniadania do siebie.

Stan taki był przygotowaniem do kapitulacyi. Wszalako Saint-Cyr, chcąc jakiemiś formami uspra-

wiedliwić krok ten nikczemny, rozkazał wysłać zwiady w stronę ku Meissen wzdłuż Elby. To się działo w kilka dni po odebranej wiadomości o klęsce pod Lipskiem. Nieprzyjaciela mieliśmy tylko od strony przeciwnej, to jest od Grossgarten — hrabiego Tołstoj, dowodzącego samymi «opołczyncami», wojskiem, niezdolnem nam dotrzymać. Uskuteczniając powyższy rozkaz, hr. Lobau polecił mi wysłać pluton jazdy, co uczyniłem, wybierając ten oddział z reszty huzarów, i powierzyłem go kapitanowi, Ignacemu Kuszlowi, mężnemu i doświadczonemu oficerowi. Podjazd ten spotkał o pół mili od miasta kilkunastu huzarów węgierskich; z którymi starłszy się gorąco, spędził ich i doszedł spokojnie do Meissen, gdzie powziął pewną wiadomość, że w tej stronie i wzdłuż Elby nieprzyjaciela nie było. Kapitan Kuszel, ranny w nogę kulą karabinową, wrócił do Drezna z tą wiadomością, która, zamiast skłonić marszałka do cofania się wzdłuż rzeki od twierdzy do twierdzy, posłużyła mu tylko do ubarwienia jego przedsięwzięcia: wysłany patrol spotkał nieprzyjaciela — więc miasto było zewsząd otoczone.

Zatem kapitulacya została podpisana przez marszałka [1]), a ze strony nieprzyjacieła przez hr. Klenau, generała en chef, przysłanego z wielkiej austryackiej armii. Warunki były, że wychodzące wojsko złoży broń i pójdzie spokojnie do Francyi z obowiązkiem nie służenia przez rok cały przeciwko sprzymierzonym; wszystkie bagaże oficerskie i żołnierskie nietknięte pójdą wraz z wojskiem; oficerowie zatrzymają swoją broń etc. etc. Skoro złożenie broni zostało usku-

---

[1]) Dnia 11 listopada 1813 roku.

tecznione, generał Klenau odebrał depesze od księcia Schwarzenberga, niepotwierdzające tej umowy i rozkazujące prowadzić wojsko francuskie w niewolę do Węgier. Rozbrojone wojsko musiało się poddać temu wyrokowi. Haniebny podstęp! Powstało powszechne mniemanie, że marszałek był uprzedzony i w porozumieniu. Nie umiem obwiniać go o tak niegodziwy postępek, ale wszystkie okoliczności zdawały się potwierdzać to mniemanie.

W pierwszej umowie było, iż pozostający chorzy i ranni będą następnie wyprawieni do Francyi w miarę przychodzenia do zdrowia; między tymi chorymi byłem i ja, cierpiący na oko od uderzenia, o którem wspomniałem. Po oddaleniu się wojska naszego zostało ze mną dużo moich oficerów; jedni postanowili iść do niewoli węgierskiej, skoro będą mogli, drudzy zrażeni oszustwami, powrócić do domu. Ja byłem z liczby ostatnich, zwłaszcza gdy hr. Tołstoj przysłał do mnie adjutanta swego, podpułkownika Buturlina, oświadczając, iż, gdybym chciał wrócić do kraju, wyda paszport mnie i moim sztabowym oficerom. Nie namyślałem się długo: widziałem wszystko stracone, niemożność służenia dalej naszej sprawie, długą tylko i nieużyteczną tułaczkę po obcych ziemiach, a z drugiej strony smutne położenie naszego kraju i opuszczoną żonę z dzieckiem, potrzebującą mojej obecności i pomocy w najkrytyczniejszych okolicznościach; nie wahałem się, mówię: przyjąłem paszport do Krakowa. Przedałem, jak mogłem, wszystkie wierzchowe konie dla udzielenia moim towarzyszom sposobności wrócenia i ruszyłem z kapitanem Mieroszew-

skim i Michałem Walewskim w podróż, inni pojechali osobno.

Bez trudności ani przygód przybyliśmy do Krakowa. Żona moja żyła tu w towarzystwie dawnych przyjaciółek, pani Walewskiej i pani Turno, jak najciszej i najskromniej. Nie opisuję jej radości, kiedy ujrzała mnie w domu; zdawało się, że wszystko złe już minęło. Mogłem się teraz oddać bez przeszkody staraniom około mojej familii. Znalazłem w mieście komendanta, niejakiego majora Awaryna, który się mniemał być królem Krakowa. Pan Wielogłowski, zastępca prefekta, człowiek niepospolitego charakteru, oparłszy się stanowczo jego rozkazom, dowiódł mu, że jego władza nie była nieograniczoną, a później przybyły z Francyi generał en chef, Jermołow, utarł do reszty rogów dumie tego dzikiego człowieka. Ja tymczasem udałem się do pana Józefa Niemojewskiego z prośbą o pożyczenie mi pewnej sumki do ukończenia procesu z Bobrowskimi. Jakoż nie odmówił mi i pożyczył 500 dukatów. Z tym zasiłkiem czekałem końca sprawy i myśleć zacząłem o dalszym zawodzie życia. Uradziliśmy z żoną wziąć się do gospodarstwa wiejskiego, a że na kupienie ziemi funduszu jeszcześmy nie mieli, postanowiłem starać się choćby o dzierżawę. W tym celu badałem okolice Krakowa, nakoniec pisałem do księżnej marszałkowej Lubomirskiej do Wiednia, która natychmiast przysłała rozkaz do p. Drahe, plenipotenta swojego, aby mi wypuszczono jaki folwark z dóbr Staszowskich, ale nie mogłem się zdecydować. Tu wspomnę z wdzięcznością o niewzywanej przeze mnie troskliwości familii mojej. Kiedym się najmniej spodziewał, przybył do nas brat

mój Wincenty, z Inflant, przywożąc mi 800 czerwonych złotych dla zaradzenia potrzebom naszym, sądził bowiem, żeśmy w najsmutniejszem położeniu po tak okropnej zmianie i utratach. Pomoc ta nie była w istocie zbyteczna, zwłaszcza gdy w styczniu 1815 roku żona moja powiła córkę, Helenę, i wydatki nasze się powiększyły.

NB. Jako świadectwo o postępowaniu Weyssenhoffa i jego brygady w kampanii 1813 roku, porównaj listy do niego księcia Józefa Poniatowskiego i hrabiego Lobau w aneksach NN. 1 i 2.

ROZDZIAŁ VIII.

1815—1830. — Organizacya dywizyi ułanów, której Weyssenhoff zostaje dowódzcą. — Działalność Wielkiego Księcia Konstantego w wojsku i w kraju. — Źli doradcy Wielkiego Księcia: Rożniecki, Kuruta, Żandr, Lubowidzki. — Wyzysk i szpiegowstwo. — Przyjazd cesarza Aleksandra do Polski w 1817 roku. — Weyssenhoff eskortuje cesarza od granicy do Warszawy. — Rozmowy z cesarzem Aleksandrem. — Przyjazd cesarski w 1824 roku. — Proponowana przez Wielkiego Księcia zmiana mundurów, nieprzyjęta przez generałów polskich. — Gniew Wielkiego Księcia. — Rewija ułanów. — Śmierć cesarza Aleksandra. — Weyssenhoff mianowany generałem dywizyi w 1826 roku. — Stan kraju przed rewolucyą. — Oburzenie, wywołane przez Rożnieckiego, Kurutę i t. d. — Spiski między młodzieżą. — Koronacya cesarza Mikołaja na króla polskiego w 1829 roku. — Weyssenhoff, wysłany przez cesarza w misyi honorowej do dworów: saskiego, wirtembergskiego i bawarskiego. — Wrażenia tej podróży. — Powrót do kraju.

W styczniu 1815 roku odebrałem list od Wielkiego Księcia Konstantego, uwiadamiający mnie, że cesarz Aleksander po zdobyciu Paryża, wziął pod swoją opiekę wojsko polskie i rozkazał reorganizować to wojsko na stopie przeszłej ze wszystkimi apanażami dawnymi, zachowując dawne stopnie oficerom,

a mnie ofiarując dowództwo brygady ułanów. Poleca mi przytem Wielki Książę, abym się niezwłocznie zajął zbieraniem pozostałych w kraju podoficerów i żołnierzy jazdy, a mianowicie w województwach: Krakowskiem, Radomskiem i Lubelskiem, i że w tym celu wydano już rozkazy do władz tych województw. Uderzony niespodzianie tą nową zmianą, nie wiedząc, jak mam uważać tę służbę, czy jako krajową, czy obcą, wahałem się z przyjęciem, a dla powzięcia dokładniejszych wiadomości udałem się natychmiast do Warszawy. Zasiągnąłem tam rady osób, które posiadały zaszczytną w kraju opinię, jak Juliana Niemcewicza, Tadeusza Matuszewicza, generała Wielhorskiego; ci mi radzili, abym przyjął. Tylko generał Dąbrowski był przeciwnego zdania. Przemogło jednak zdanie pierwszych. Widok wróconego wojska naszego z Francyi, wszystkich naszych generałów i znakomitych obywateli, zachęcił mnie do dzielenia losu moich dawnych towarzyszów. Przyjąwszy więc obowiązek, wróciłem do Krakowa i natychmiast udałem się do Szkalmierza, gdzie wspólnie z władzami oznaczyliśmy punkt zborny podoficerów i żołnierzy. Ukończywszy tu robotę, udałem się do Radomia, a stamtąd do Lublina. Rozgatunkowanie zebranych wojskowych tak, aby każdy był do swojej broni odesłany, było mi powierzone. Stanowiska głównych zborów każdego gatunku wojska, czyli formujących się dywizyi, były także oznaczone. Dywizyę ułanów umieszczono w Augustowskiem. Po ukończeniu mojej roboty, wróciłem do Krakowa, a zabrawszy żonę i synka, udałem się do Sejn, gdzie mi kwaterę przeznaczono. Córkę zaś, Helenę, zo-

stawiliśmy z mamką opiece żony przyjaznego nam doktora.

Przybywszy do dywizyi, znalazłem już wiele wojska i oficerów, podzielonych na pułki, ale jeszcze w początkowym nieładzie, bez mundurów, ani koni. Dowódzcą dywizyi ulanów był nominowany generał Konopka, sławny ze swego męztwa w wojnach włoskich, a szczególnie w hiszpańskiej, ale ten, złożony nieuleczalną chorobą, nie mógł przybyć na swoje przeznaczenie; wkrótce życia dokonał, a ja, jako starszy generał brygady, objąłem dowództwo dywizyi.

Pułkownikami-dowódzcami pułków byli: 1-go Tomicki, 2-go Dwernicki, 3-go Madaliński, 4-go Kozietulski. Wogóle wszyscy oficerowie byli z rzędu doświadczonych, każdy był odznaczony jakimś czynem walecznym, większa część ozdobiona krzyżami legii honorowej i «virtuti militari». Długie i zawzięte wojny dały sposobność starszyźnie do ocenienia zdolności każdego. Mając liczbę nadkompletną, usuwaliśmy tych, których opinia kolegów nie odznaczała korzystnie.

Wielki Książę starał się z początku wprowadzić zasady swoje, z gwałtownością charakteru swego, żądał wszystko przerobić. Znalazł on opór w prawdziwej znajomości oficerów naszych, tudzież w dokładności ustaw naszych, któreśmy ze służby francuskiej przyjęli. Sądził, że wszystko ganić, co u nas znalazł, jest niezbędnem do zaprowadzenia swoich zasad. Musieliśmy z największym niesmakiem poddawać się temu, co później do naszych wracało zasad, formą tylko inną przyobleczone. Dawnych swoich przepisów powoli Wielki Książę zapominał, a pod swojem imieniem nadawał nam nasze własne. Przyznać należy,

że za pomocą swej nadzwyczajnej czynności i nabytej biegłości w szczegółach, tudzież ostrego czuwania nad ścisłem wykonaniem urządzeń i nieopuszczaniem się w żadnej okoliczności, przyprowadził w samej rzeczy wojsko do nadzwyczajnej regularności i porządku. Otoczenie jego było nieszczególne. Wielki Książę wydał się nieraz sam, jak gardził swymi dobranymi służalcami. Kiedy upominał którego z oficerów wojska, w największem uniesieniu nigdy się nie zapominał i wyrazu obelżywego nie użył; kiedy zaś zdarzyło mu się być nieukontentowanym z postępku jednego ze swych wiernych, w obecności wszystkich najobelżywszymi wyrazami ich traktował. To się przytrafiło generałowi Rożnieckiemu, który z miedzianem czołem zniósł afront, a w pół godziny potem po naradzie ze swoimi towarzyszami, wrócił na pokoje wypogodzony i uśmiechnięty, ułożywszy się z generałem Kurutą, jak gniew Wielkiego Księcia ukoić. Generał Żandr, najnikczemniejszy z bandy zaufanych, zarządzał domem i stajnią Wielkiego Księcia i od tego ostatniego częste miewał przymówki, że go okrada. Raz zaś, nieukontentowany ze złego osiodłania konia, oświadczył mu Wielki Książę wobec całego sztabu cesarza Aleksandra i mnogich generałów naszych, że należałoby wszystkim jego stajennym wyliczyć po sto kijów, zaczynając od przyjaciół («à commencer par mes amis»). Tak wielką kładł Książę różnicę w postępowaniu z tymi, których uważał za potrzebnych, a tymi, których widział szlachetne zasady i honorowe sprawowanie się. Byli i porządni ludzie do jego sztabu przywiązani, jak naprzykład pułkownik Karol Turno, Władysław Zamoyski, Michał My-

cielski etc. etc., ale ci nie prosperowali. Inaczej ich traktował, inaczej do nich przemawiał, ale ich nigdy swojem bezbrzeżnem zaufaniem nie zaszczycał; przekładał rozmowę z nimi dla lepszego ich wychowania, dowcipu i wiadomości, ale sekretne swoje zwierzenia się i polecenia chował dla pierwszych! Pułkownicy nasi musieli głaskać tych zauszników i drogo im się opłacać, gdyż od ich szpiegowskiego raportu zawisło powodzenie. Szczera gorliwość, znajomość rzeczy, dokładne wykonywanie przepisów — nic nie pomogło, kiedy chciwość donosicieli nie była zadowolniona. Złe wychowanie i fałszywe maksymy, wszczepione wcześnie w serce i rozum, czynią człowieka, z najlepszemi skłonnościami zrodzonego, gwałtownym, dzikim i niesprawiedliwym, gdyż narzucone zasady nie znajdują gruntu w duszy jego. Stąd nieufność, walka częstokroć z własnem sumieniem i zgryźliwa popędliwość. Taki był stan moralny Wielkiego Księcia Konstantego. Zdarzało się, że pośród nierozmyślnego postępowania i niesprawiedliwości błysnęło uczucie szlachetne i myśl wzniosła; ta przemijająca harmonia duszy z czynem twarz mu wypogadzała na chwilę i malowała na niej rzetelne wewnętrzne zadowolenie.

Tymczasem urządzało się wojsko i postępowało ku tej doskonałości, którą później osiągnęło, ale obok tej dobrej strony organizowało się razem i szpiegowstwo po całym kraju. Naczelnikiem tego tajemnego zakonu był generał Rożniecki, który doskonalił coraz swój system całym swoim dowcipem i całą chciwością. Najniegodziwsze oszczerstwa nie wstrzymywały go, kiedy mu zysk przynosiły. Przemyślał on z Kurutą i wiceprezydentem Warszawy, Lubowidzkim,

gdzie sieć zarzucać i korzyści łowić. Nakoniec już jawnie używał żandarmów, których był dowódzcą, na straszenie urzędników i obywateli, aby od nich wydzierać pod pozorem pożyczki, jaką mieli gotowiznę, zmyślając na nich oskarżenia i ofiarując im swoją protekcyę. Wielki Książę wiedział o tem, i częstokroć dał mu to uczuć, ale go cierpiał, pewien, że on z nikim, szlachetnie myślącym, porozumieć się nie może. Postrach był tak wielki, że częstokroć ci, którzy nic sobie do wyrzucenia nie mieli, musieli opłacaniem się kupować pokój. Poufalec Rożnieckiego, Friedlaender, żyd przechrzczony, lub nie, jeździł po kraju, opatrzony blankietami generała, i wszędzie groźbami, lub obietnicami, wyłudzał pożyczki, które nigdy oddane być nie miały.

Gdy cesarz Aleksander w 1817 roku przybył do Warszawy, ja byłem na przyjęcie jego na granicę Królestwa do Brześcia przeznaczony. Rozstawiono na wszystkich stacyach po jednym plutonie aż do stolicy. Zachwyceni byliśmy szlachetną postacią, łagodnością, uprzejmemi słowy cesarza. Intencye jego względem nas były dobre i szczere, a opór całej Rosyi i Wielkiego Księcia, tudzież zabiegi Niemców, naszych wrogów, zmusiły go do odraczania, a później drogo go kosztowały. Stosownie do rozkazu, spotkaliśmy cesarza na moście granicznym między Brześciem i Terespolem; oddawszy raport od dywizyi, byłem bardzo uprzejmie powitany. Rozkazał mi cesarz jechać z sobą do Warszawy. W jego orszaku był tylko książę Wołkoński, doktor Viliers i pułkownik Sołomka. Książę Wołkoński polecił mi urządzenie zaprzęgów cesarskich i służby w podróży, a nadewszystko polecił mojej

baczności kocz, idący tuż za powozem cesarskim, który zawierał skarby i papiery najważniejsze. Kocz ten był tak ciężki, że zaprzęgano do niego dwanaście najmocniejszych koni. Noc się zrobiła ciemna, a deszcz ulewny powiększał trudności; szosy jeszcze wówczas nie było; powóz cesarski ugrzęzał co moment i postronki się rwały. Cesarz postanowił nocować w Międzyrzeczu, gdzie go oczekiwał książę generał Czartoryski, ubrany w mundur feldmarszałka austryackiego. Skoro to ujrzał cesarz, zwrócił się do mnie i rozkazał, aby konie zaprzęgano; nietylko nie nocował, ale nawet nie przysiadł; stojąc przyjął herbatę i natychmiast księcia pożegnał, zdziwiony i nieukontentowany, że pierwszy pan polski i dobrze życzący swojej ojczyźnie, przyjął króla swego, jako urzędnik obcego kraju. Do pierwszej niedorzeczności przydał książę drugą, usprawiedliwiając się, że nie ma munduru krajowego.

Ruszyliśmy więc z Międzyrzecza na noc do Siedlec, mimo czarnej nocy i gwałtownego deszczu. Na pierwszych pokojach w Warszawie Wielki Książę przyszedł do mnie z oświadczeniem imieniem cesarza jego zadowolenia, a później sam cesarz, wziąwszy mnie za rękę, rzekł do swego sztabu:

— Voilà un compagnon de voyage —

i najpochlebniejszemi wyrazami mnie zaszczycił. Odtąd, ile razy przyjeżdżał do Królestwa, zawsze mnie chciał mieć ze sobą, a częstokroć poufale o ważnych rzeczach mawiał ze mną.

Następnej podróży (z powrotem z Werony), gdy go oczekiwałem na poczcie w Międzyrzeczu, wysiadł i, będąc sam na sam ze mną, ubolewał nad niebacznem

postępowaniem ostatniego sejmu warszawskiego, mianowicie niektórych posłów, którym przypisywał odrzucenie statutu organicznego dla jednego tylko punktu odpowiedzialności ministrów, nie umieszczonego w nim. Korzystali z tego zdarzenia nieprzyjaźni Polsce Metternich austryacki, Hardenberg pruski, Castelreage angielski, ministrowie i inni, wystawiając cesarzowi niebezpieczeństwo nadawania narodowi konstytucyi liberalnych. Castelreage, ujęty zapewne darami dworów niemieckich, oświadczył, że «la liberté n'est pas bonne pour tout le monde».

— Z takiemi trudnościami — mówił dalej cesarz — miałem ja do walczenia i, jeżeli ich zupełnie nie zwyciężyłem, to przynajmniej mojego założenia nie odstąpiłem. Gdyby tych kilku posłów zapalonych, przez wzgląd na okoliczności, nie burzyło całej izby przeciwko proponowanemu statutowi, mimo wypuszczonego jednego artykułu, który ja zmuszony byłem przemilczeć, wyrwalibyśmy broń z rąk przeciwników naszych i wszystko byłoby już ułatwione przynajmniej ze względu na stosunki zewnętrzne. Zostają mi wszakże trudności większe do zwalczenia: oto opór i niechęć całej Rosyi, która chce widzieć w Królestwie Polskiem tylko podbitą prowincyę, mającą się rządzić prawami Cesarstwa.

W rzeczy samej, po skończonym sejmie, cesarz nie chciał wyjechać z Warszawy, nie wyjaśniwszy posłom stanu rzeczy i nie wymówiwszy im ich niebaczności w oporze przeciw statutowi, najpożądańszemu ze wszech miar dla swobód i godności polskiego narodu, wyjąwszy opuszczenie jednego artykułu o odpowiedzialności ministrów. W tym celu zawołał ce-

sarz z każdego województwa po dwóch posłów do siebie i już nie jako panujący, lecz jako wspólnie interesowany rozbierał z nimi położenie swoje i kraju, który, przeciw usiłowaniom całej prawie Europy, chciał widzieć rządnym, szczęśliwym i najmniej podległym, jak można. Wystawiał im w poufnej rozmowie, z jak wielką ostrożnością sam postępować musiał, ile rąk w kraju jego i w sąsiednich było gotowych do przecięcia pasma działań jego. Przykład Polski za jego panowania byłby, prędzej czy później, zmusił Austryaków i Prusaków do spełnienia wiernie warunków, postawionych na kongresie wiedeńskim. Pierwsi drżeli o Galicyę, drudzy o Wielkopolskę, a Rosya cała nie chciała Polski niepodległej i różnej od niej. Wielkie jest prawdopodobieństwo, że interesowani sąsiedzi podszczuwali tę niechęć. Ministerstwo angielskie było przychylne Niemcom, a Francya, sama zaburzona i słaba, nie śmiała, lub nie chciała wyrzec słowa za nami. Taki to stan rzeczy zmuszał cesarza Aleksandra do temporyzowania. Nie mógł on odrazu nadać wszystkich wolności w danej Polsce konstytucyi, wreszcie sumiennie nie sądził, aby one na ten czas były korzystne dla organizowania się kraju wśród największych przeciwności. Cesarz tłómaczył się posłom zaproszonym i tak ich przekonał, że wszyscy uznali niedorzeczność oporu izb, oraz że podwoili trudności naszemu prawodawcy i najmocniejszą broń podali w ręce jego przeciwników.

Wracam do mojej rozmowy z cesarzem; zakończył on ją temi słowy:

— C'est un malheur, mais il ne faut pas déses-

Biblioteka Tow. wzaj. Pomocy U. U. J. w Krakowie

pérer. Patientez, ordonnez vous en attendant, et ce qui est projeté sera fait quoique plus tard.

Nie dano mu czasu!

W roku 1824 przybył cesarz Aleksander do Warszawy późną jesienią. Zebrano całe wojsko pod stolicą. Wielki Książą Konstanty, mimo szczerego przywiązania do Polski, to jest do miejsca, mimo wszelkich dogodności udzielnego prawie władztwa, nie przestawał dążyć do podciągania Polski pod ustawy i obyczaje rosyjskie. Za tej bytności cesarza umyślił proponować generałom polskim, aby, zostając przy kolorach narodowych, przyjęli rosyjską formę haftów, to jest zamiast zwijanej wstęgi — liście dębowe. W tym celu, korzystając z bytności cesarza, sądząc, że ta okoliczność uczyni opór mniej śmiałym, zapewnił się pierwej o zezwoleniu na to generałów Haukego, Rautenstraucha, a pewnie i Rożnieckiego, i zwołał wszystkich generałów na godzinę jedenastą do sal komisyi wojskowej. Gdyśmy się zebrali, generał Kuruta, jako szef sztabu głównego, otoczony pozyskanymi już generałami, w najlichszem rozumowaniu i wymowie wystawił nam rzeczoną propozycyę, żądając, abyśmy sami prosili o tę zmianę, ale, nad spodziewanie swoje, znalazł jednomyślne *nie*, a generałom, którzy wcześniej już zezwolili, dostały się przykre i ostre wymówki. Tak stropiony, wrócił Kuruta do Wielkiego Księcia z doniesieniem o niepomyślnem kuszeniu. Wystawić sobie można gniew i uniesienie Wielkiego Księcia, który był pewny, że ta nieznacząca zmiana żadnego oporu nie znajdzie. Rozjechaliśmy się do domów, zgodnie oceniając i zamiar tego kroku, i postępek stronników onego.

Kiedym, wróciwszy do kwatery, myślał o tych pobudkach, odbieram rozkaz do wystąpienia z dywizyą na rewiję przed cesarzem jutro o godzinie 5-tej rano. Przyznam, że zdziwiony byłem tym rozkazem, który miał pozór zemsty. Gniew Wielkiego Księcia, a może i cesarza, słusznie mnie zatrważały, zwłaszcza że nagany, jeżeli na jakie dywizya zasłuży, lub nie, głoszony będą wobec połowy Europy, zjechali się bowiem do Warszawy: książę Oranii, szwagier cesarza, książę następca pruski z najstarszym generał-adjutantem królewskim, Gérard'em (lub podobnie nazywającym się?), książę Hessen Homburg, kilku oficerów jazdy angielskiej, pruskiej, austryackiej etc. Obecność takich widzów w innych okolicznościach byłaby mi przyjemną, teraz zaś strachu mnie nabawiała. Lubo sumiennie przekonany byłem, że jakiekolwiek manewra Wielki Książę w gniewie swoim rozkaże, dywizya moja wykona je dokładnie i rączo, że co do piękności i stanu koni, ludzi, ubioru i porządku, lepszej chyba w świecie nie było.

Kiedy dywizya na oznaczoną godzinę stanęła już na placu pod Mokotowem, przyjechał Wielki Książę zagniewany, i nie przemówiwszy słowa do mnie, stanął zaperzony po mojej prawej dla przyjęcia cesarza, podług zwyczaju. Dywizya stała lewem skrzydłem do placu w ściśniętej kolumnie bez żadnych odstępów — formacya utrudniająca wszelki ruch następny. Skoro cesarz przybył z liczną bardzo świtą i obejrzał kolumnę, Wielki Książę zakomenderował:

— Dywizya naprzód galopem!

Tu już była jawna złośliwa chęć jego, był to bowiem ruch najtrudniejszy, zwłaszcza, że krótkość

miejsca ledwo dała wejść w ruch kolumnie. Zaraz potem komenda:

— Prawe ramię naprzód!

Dywizya wszakże uskuteczniła to z wzorową dokładnością. Książę zatrzymał kolumnę, skoro się wyciągnęła w nowym kierunku i komenderował rozwinięcie onej na szwadron ósmy — galopem. Słowem — dywizya uskuteczniła wszystko jak najżywiej i najporządniej. Manewrowaliśmy z tym pośpiechem około czterech godzin, aż cesarz, zadowolony zupełnie, rozkazał defilować. Poczem, gdy już dywizya stanęła w ściśniętej kolumnie, przybył do niej z całym orszakiem obcych książąt, a stanąwszy przedemną, rzekł silnym głosem:

— Général Weyssenhoff! Votre division est un modèle sous tous les rapports: le matériel, la tenue, l'instruction et l'administration — tout est exemplaire. Je vous en témoignerai ma reconnaissance.

Wielki Książę zaś, zbliżywszy się do mnie, powiedział:

— Tout était bien, excepté votre Adam (mówił tu o księciu Adamie Wirtembergskim, który komenderował 2-gą brygadą w mojej dywizyi). Je vous fais mon compliment.

Zaczęły się komplementy obcych, między którymi stary adjutant króla pruskiego zapewniał mnie, że nigdy nie widział tak pięknej i tak biegłej jazdy. Gdy cesarz odjechał, wróciliśmy zadowoleni i przy fanfarach przez miasto na nasze stanowiska na Pradze i w okolicach. Cesarz był zadowolony stanem i zręcznością mojej dewizyi i postanowił mi dać stopień generała dywizyi i adjutanta swojego. Cały sztab

cesarski już był o tem uwiadomiony i generałowie ze sztabu witali mnie, jako kolegę. Lecz Wielki Książę był temu przeciwny i tak nalegał na cesarza, że ten zamiaru swego odstąpił. Zatem stopnia generała dywizyi na teraz nie otrzymałem. Skończyło się na orderze 2 ej klasy św. Włodzimierza z gwiazdą, i to wraz z generałami Klickim i Rautenstrauchem, w intencyi, aby mnie nie odznaczać.

W czasie tej bytności w Warszawie, cesarz nominował księcia Oranii, dzisiejszego króla holenderskiego, szefem 1 go pułku mojej dywizyi. Nowy szef oddał mi niezwłocznie wizytę w towarzystwie generał-adjutanta Czerniszewa, w mojej kwaterze na Pradze; była to niby powinność, niby grzeczność ze strony szwagra cesarskiego. W tymże samym czasie pułk 2-gi strzelców konnych, dowództwa pułkownika Kazimierza Skarzyńskiego, był ogłoszony szefowstwa cesarzowej samej. Po odjeździe cesarza wróciliśmy każdy na swoje stanowisko w kraju.

Wszystko szło odtąd zwyczajnym porządkiem, kiedy nas doszła pod koniec 1825 roku wiadomość o śmierci cesarza Aleksandra w Taganrogu. Z małym wyjątkiem cały kraj był zasmucony tą stratą, i wojsko szczerze go opłakiwało. Radykali (gdyż i my mieliśmy naszych) uważali Aleksandra za skrytego i nieszczerych chęci, ci zaś, co jego działania rozbierali spokojnie i z większą wiadomością rzeczy, widzieli w nim człowieka, przejętego cywilizacyą europejską, usiłującego ją zaszczepić w krajach, berłu swojemu podległych; widzieli także opór niezłomny, jaki mu cała Rosya, a mianowicie pierwsza klasa tego narodu stawiła. Wiadomo, jak się ta walka zakończyła.

Ogłoszenie w Moskwie Wielkiego Księcia Konstantego z porządku starszeństwa następcą, odpowiedź jego odmowna, podróż jego do Moskwy, koronacya Mikołaja — wszystko to rychło po sobie następowało, — na koniec — powstanie w Petersburgu przeciw Mikołajowi, przytłumione pierwszego dnia — i porządek dawny wrócony.

1826 roku we wrześniu, zwyczajem zasiadających na tronie, powitał Mikołaj wojsko nasze ogłoszeniem awansów, wskutek czego ja otrzymałem patent na generała dywizyi wraz z Klickim i Rautenstrauchem [1]). W umundurowaniu zaszła ta tylko zmiana, że piechota, zamiast kamaszy, dostała wolne czechczerki (?) z wielką dla niej dogodnością. Wielki Książę jednak był strapiony tą zmianą, gdyż każda nowość, by najkorzystniejsza, przyjęta od zachodniej Europy, oburzała go, a może i dla tego, że ją cesarz nakazał bez narady z Wielkim Księciem i objawił tym krokiem zamiar wprowadzania własnych swoich pomysłów. Za cesarza Aleksandra korpus wojska polskiego był uważany za zupełnie oddzielny, a organizator onego, Wielki Książę, urządzał wszystko według swojej opinii; teraz zaś wszystko podciągnięte pod ogólne rozkazy, zapowiadało zupełne stopienie w jedno, a Wielki Książę z wysokiego stanowiska swojego zstępował na stopień zwyczajnego dowódzcy korpusu. Starszy brat, ustępując młodszemu korony, miał zapewne inne nadzieje.

---

[1]) Patent na pargaminie dnia 24 kwietnia (6 maja) 1827 roku, podpisany po polsku przez cesarza Mikołaja i Wielkiego Księcia Konstantego, znajduje się w archivum wydawcy.

Stan kraju w tej epoce był bez wątpienia kwitnący. Rolnictwo, przemysł i handel poszły widocznie w górę. Fabryki różnego rodzaju, zaprowadzone częścią przez skarb (za ministerstwa skarbu ks. Lubeckiego i spraw wewnętrznych Tadeusza Mostowskiego), częścią przez prywatnych właścicieli. Po spustoszeniach ostatnich wojen, kraj przybierał nową postać: wsie, miasteczka tworzyły się, lub zdobiły; wszystko wracającą pomyślnością oddychało. Oświecenie wielkie postępy robiło i instytucye naukowe rozwijały się pomyślnie; w Warszawie liczny uniwersytet wydał znakomitych uczniów; szkoły po województwach, dobrze urządzone, przysposabiały młodzież do uniwersytetu, słowem — wszystko postępowało w kraju. Wojsko dobre i ozdobne, skarb zamożny. Obywatel zaczął już z własnych fabryk kupować, co przedtem wielkim kosztem z obcych sprowadzał krajów. Rolnik znajdował około siebie wielkie dogodności i ułatwienia, nabywał narzędzia i machiny krajowej produkcyi, o których dawniej tylko słyszał. Główne ustawy krajowe były szanowane z mniej znaczącym wyjątkiem. W takiej pomyślności ogólnej cóż mogło być powodem nieukontentowania, które się w przyszłości tak zgubnie objawiło? Odpowiadam: drobne, pojedyńcze, osobiste nadużycia i nieprawości srożej dokuczają, niż wielkie zmiany, czynione w ustawach z formalnością legalną, lub widoczną przemocą. Tej uledz konieczność każe, tamta zaś, jako przeciw istniejącemu porządkowi działająca, bolesne narzekania wywołuje. Skrzywdzone indywiduum, lub familia woła w niebogłosy, te wołania powtarzają ci, którzy podobnym pokrzywdzeniom uledz mogą — i wnet narzekanie

staje się powszechnem, gdyż nieprawość oburza. Takim sposobem utworzono ziarno tej rewolucyi, która później wybuchnęła. Uniesienia Wielkiego Księcia i czasem niesprawiedliwości, stąd wynikające, były, jak burze, przechodzące wśród pięknych dni letnich, ale nadużycia podrzędnych ciągle dokuczały.

Dla pewniejszego i bezkarnego działania utworzył się tryumwirat rabusiów z osób, najbliżej Wielkiego Księcia otaczających. Rożniecki, naczelnik policyi tajnej i dowódzca żandarmów, miał w ręku wszystkie sposoby do obwiniania niewinnych i straszenia spokojnych. Lubowidzki, prezydent Warszawy i policmajster miasta, działał w porozumieniu z Rożnieckim, a gen. lejtn. Kuruta, szef sztabu głównego, ich wspólnik, a nieograniczone zaufanie u Wielkiego Księcia posiadający, miał sobie powierzone, w razie gdyby jakie skargi do Wielkiego Księcia były zanoszone, przeistaczać ich treść, lub onych wcale do Księcia nie dopuszczać. Pierwszem staraniem tych sprzymierzonych łotrów było, aby zebrać wiadomości, kto jakikolwiek kapitał, by najmniejszy, posiadał, osobliwie z osób nizkiego położenia w towarzystwie, gdyż na tych, co się bronić mogli, jeszcze się nie porywano. Policyi używano do zarzucenia jednym jakichś występnych porozumień politycznych, drugim żandarmi grozili rewizyą domów, innym wytaczano dobrze ukartowane sprawy, a przestraszeni biedni okupywali się czem mogli. Niższym urzędnikom obiecywano awanse, byle wiadomej sumki pożyczyć nie wzbraniali się — i wielu uwiedziono. Friedlaender. żyd zaufany Rożnieckiego, plądrował po kraju, opatrzony w blankiety jego i w pomoc żandarmów i policyi.

Wśród powszechnego szemrania przybył nowy podniecający element: młodzież uniwersytecka zaczęła się porozumiewać z towarzystwami uczniów uniwersytetów niemieckich, myśleć o jakichś związkach tajemnych przeciw istniejącemu porządkowi rzeczy. Nie mogło to ujść czujnego oka Wielkiego Księcia. Stąd wynikły porywania do więzień posądzonych o współkę, a z tem i coraz większe rozjątrzenie umysłów — i tak jedno złe stawało się źródłem drugiego.

Wśród takowych dyspozycyi do zamieszania, w maju roku 1829 cesarz postanowił spełnić akt koronacyi na króla polskiego w Warszawie. Różne wnioski i wieści o tem krążyły: jedni przypisywali to chęci zobowiązania narodu, inni mniemali, że cesarz był zniewolony naleganiem dworów zachodnich do spełnienia tego aktu, stosownie do litery traktatu wiedeńskiego. Cóżkolwiekbądź, koronacya cesarza i cesarzowej odbyła się świetnie w kościele św. Jana, ale nie zupełnie zadowolniła Polaków. Arcybiskup Woronicz kierował całą częścią duchowną tego obrzędu i w niczem nie odstąpił od formy, wiekami uświęconej. Żądał i otrzymał, aby cesarz, klęcząc na stopniach ołtarza, powtarzał wyraźnie czytaną przez niego po polsku przysięgę i wszystkich ceremonii kościelnych dopełnił. Co się zaś tyczy obrzędów cywilnych, nie wszystkim zadość uczyniono: między innemi — cesarz nie użył korony królewskiej polskiej, ale swojej cesarskiej; w czasie pochodu z zamku do fary był otoczony rosyjskimi generałami wspólnie z polskimi etc. etc. Polacy dostrzegali te uchybienia, a Rosyanie dawali poczuć, że mało wagi przypisują do tego obrzędu. Wszystko to rozbudzało niechęci. Uważano, że Wielki

Książę, dowódzca siły zbrojnej, nadzwyczajnych używał ostrożności i był w najgorszym humorze. Niema wątpienia, że głowy zapalone układały jakiś okropny spisek na ten dzień i moment obrzędu, — stąd środki ostrożności i gniewna postać Księcia. Po ukończonym akcie w kościele, wrócili cesarstwo z całym orszakiem do zamku, gdzie czekał wspaniały obiad, w czasie którego Paganini, Lipiński, odgrywali opery, uprzyjemniając biesiadę wybraną muzyką. Droga od zamku do fary była pokryta suknem karmazynowem i naprzeciw bramy zamkowej zbudowano ogromny amfiteatr dla ułatwienia damom widoku postępującego orszaku. Dzień był bardzo pogodny, a widok całego placu przedzamkowego czarujący. Pomnożyli świetność tego obchodu przysłani ze wszystkich dworów niemieckich ku asystencyi generałowie. Nawzajem cesarz wysłał nazajutrz generałów polskich do tychże dworów z doniesieniem o spełnionej koronacyi. Wybrani byliśmy: Wincenty Krasiński do Wiednia, Stanisław Potocki do Berlina, a ja do Drezna, Sztutgartu i Monachium. Cesarz powierzył każdemu z nas własnoręczne swoje pisma i sam dawał nam osobiście potrzebne instrukcye. Nimeśmy się udali w podróż, byliśmy świadkami świetnej uczty dla ludu na placu Ujazdowskim. Oboje królestwo byli tam obecni; niezliczone stoły zastawiono obfitem jedzeniem i napojem. Cesarz się przechadzał pomiędzy stołami, a cesarzowa patrzyła na wszystko z pięknego kiosku, na ten cel zbudowanego. Uderzała wszystkich przystojność, zachowana przez tę tłumną publiczność, podziwiano skromność i przyzwoitość ubiorów najliczniejszej klasy. Pogoda wszakże nie dopisała: okropna

burza z ulewą rozpędziła wszystkich; cesarstwo uchodzili odkrytym powozem, wielkim pędem koni, do zamku; ludność cała cisnęła się do miasta, strumienie wody pokrywały chodniki, rynsztoki, mostki i były przyczyną różnych przypadków śmiesznych, ale nie tragicznych.

Będąc jeszcze raz zawołany do cesarza, nie ruszyłem w moją drogę aż około 6-ej godziny wieczorem z adjutantem moim, kapitanem Zembrzuskim. Przepędziwszy kilka godzin w Kaliszu, gdzie mnie zatrzymał generał Mycielski, pokazując mi wzorowo urządzony korpus kadetów, przybyłem w parę dni do Drezna. Tu przybył do mnie natychmiast chargé d'affaires rosyjski z uwiadomieniem, że król z całą familią bawi w Pilnitz. Wszystkie ambasady rosyjskie miały polecenie ułatwiania naszych czynności, w skutku czego ten chargé d'affaires oświadczył, iż uda się niezwłocznie do ministra spraw zewnętrznych dla oznaczenia czasu i miejsca mojej audyencyi; przytem wziął moje bilety wizytowe, aby je rozesłać do wszystkich dyplomatów krajowych i zagranicznych. Audyencyę ułożono na drugi dzień w Pilnitz, z dodaniem, iż tam zostanę na obiedzie u króla. Udałem się przeto tam z moim adjutantem na godzinę oznaczoną. Podróż i przeprawę na promie przez Elbę miałem przykrą dla rzęsistego deszczu. Wprowadzono mnie do bocznych apartamentów, aby mi dać trochę czasu do wypoczynku i oporządzenia się. Potem zostałem wprowadzony do sali, w której król na mnie czekał. Pochylony starzec, król Antoni, przyjął moje poselstwo z dobrocią i smętkiem: związek tak długo trwający narodu polskiego z domem saskim ostatecznie zerwany,

był myślom jego obecny; uczucie to zdradzało się w mowie. Po audyencyi byłem przedstawiony księciu Maksymilianowi, bratu królewskiemu, jego żonie i synowej, księżnej Janowej, z domu bawarskiego. Potem nastąpił obiad skromny, staroświecki z natury zastawy i usługi. Po obiedzie w tejże jadalnej sali wszczęła się rozmowa. Ks. Maksymilian mówił ze łzami w oczach o stracie córki swojej, królowej hiszpańskiej, krótko przedtem zeszłej, a księżniczka Augusta, córka Fryderyka Augusta, przeszłego księcia warszawskiego infantka nasza, wybrana jeszcze przez sejm czteroletni, odprowadziwszy mnie na stronę, mówiła mi wiele o swoich zawiedzionych nadziejach, o przywiązaniu, które powzięła do Polaków, poznawszy dobrze ten naród w czasie podróży swoich z ojcem po polskim kraju; wyliczyła mi osoby, które miała sposobność wówczas poznać bliżej. Te wspomnienia skończyły się na łzach, którym i ja z trudnością się opierałem. Wieczorem wróciłem do Drezna.

Nazajutrz rano przybył do mnie mistrz obrzędów i wręczył mi, jako pamiątkę od króla, tabakierę złotą z portretem jego, brylantami ozdobioną. Po razy kilka kazał mi podziwiać wspaniałość tego prezentu z naiwnością starodawną. Zabawiłem jeszcze z tydzień w Dreźnie, przepędzając czas dosyć przyjemnie na obiadach i wieczorach, na które byłem proszony. U krajowców znajdowałem obyczaje dawne, światła dosyć, a zarozumienia jeszcze więcej.

Stąd udałem się do Sztutgartu. Audyencya u króla była poważna i zajmująca. Rzekł mi między innemi, że, lubo kraj jego jest konstytucyjną ustawą rządzony, widzieć jednak wszędzie będę porządek,

spokojność i zadowolenie mieszkańców; ten frazes był zastosowany do Wielkiego Księcia Konstantego, który widział w konstytucyi tylko nieład i nieposłuszeństwo, i przyjęcie onej wymawiał królowi wirtemberskiemu, szwagrowi swojemu, z goryczą. Wreszcie król sam z głębokim rozsądkiem i gruntowną znajomością ducha czasu polegał na swoich ustawach, upatrywał w nich szczęście swojego narodu i jednym tylko zdawał się trapiony kłopotem: przeludnieniem swojego państwa. Bawiłem tu dni ośm, w ciągu których byłem parę razy na obiedzie u króla. Po ostatnim obiedzie żona ministra spraw zewnętrznych, pani Beroldingen, podała mi rękę i zaprowadziła przez pokoje królowej do teatru, gdzie dawano «Niemą z Portici». Sala niewielka, ale piękna, opera była wykonana dobrze. Wśród reprezentacyi wszedł do naszej loży poseł bawarski i ostrzegł mnie, abym nie jechał do Monachium, gdyż tam króla bawarskiego nie zastanę, ale do Brückenau, gdzie król bawi z familią u wód.

Tam się przeto udałem przez Osnabrück i zastałem króla o ćwierć mili od miasteczka Brückenau, w zakładzie wód mineralnych, które zamyślał upowszechnić. Mieszkał król z familią w pięknym domu, który dla siebie postawił; oprócz małej oberży reszty zabudowań dla gości Brückenau dopiero oczekiwało. Orszak królewski składał się z wielkiego koniuszego, jednego adjutanta i niezbędnie potrzebnej służby domowej; żołnierza nie było ani jednego. Skorom przybył na miejsce, przyszedł do mnie adjutant królewski, hr. de Deux-Ponts, witając mnie i prosząc imieniem króla, abym się mu prezentował w ubiorze cywilnym. Ja na to przystać nie mogłem, gdyż byłem przeko-

nany, że Dwór nasz miałby mi to za złe. Udałem się przeto na audyencyę w mundurze, w wielkim ubiorze. Sprawiłem swoje polecenie, poczem król mówił o piękności wojska naszego, nad którem się unosił poseł jego, generał hr. Pappenheim, świadek koronacyi. Po audyencyi u króla byłem przedstawiony królowej. Ta pani była wykwintnie ubrana i, lubo nie pierwszej młodości, bardzo jeszcze przystojna i okazałej postaci. W ciągu rozmowy królowa z ubolewaniem wspominała o ubóstwie Bawaryi, o wsiach, biednie zabudowanych, o polach, odłogiem leżących; zdawało się jej, że, gdybym był w Bawaryi (Brückenau leży zewnątrz tego kraju, w nowonabytej prowincyi), wszelkie porównania, którebym robił z ościennymi krajami, byłyby niekorzystne dla Bawaryi; poleciła hrabiemu de Deux-Ponts, aby mnie zawiózł na górę Dreustelzer (?) dla widoku niezrównanego z wierzchołka tej skały. Rzeczywiście piękny widok, obszerny nadewszystko, ale na nieszczęście otoczony nierównie bardziej zajmującemi w okolicach Renu. Kazano mi admirować stary dąb, niedaleko mieszkania królewskiego rosnący, sztabami żelaznemi powiązany; admirowałem, bo tak grzeczność kazała, myśląc w duszy, że w kraju naszym codziennie patrzymy na grubsze, wyższe i wspanialsze. Królewna, w towarzystwie guwernantki swojej, odwiedza znajomych w miasteczku o ćwierć mili, pieszo i bez służącego. Król przechadza się sam jeden, prawie codzień, po górach sąsiednich; zdarzało mu się i błądzić, tak, iż przewodnika do domu szukać musiał. Wśród podobnych demokratyczno-romantycznych wędrówek marzyły mu się Walhalle,

Pinakoteki, Gliptoteki, kościoły etc., w zupełnem zapomnieniu obecności, nędzy kraju.

Stamtąd wróciłem przez Lipsk, Drezno do Warszawy. Wielki Książę namyślał się, czy mnie posłać do cesarza (który się znajdował wówczas w Starym Konstantynowie na rewii wojsk) dla zdania sprawy z mojego poselstwa, czyli też przestać na piśmiennym moim raporcie. To ostatnie kazał mi uczynić. Po kilku dniach wróciłem do dywizyi, która była zebrana pod Łęczną. Po parumiesięcznych musztrach i pracach obozowych dywizya rozeszła się na zimowe stanowiska, a ja wróciłem ze sztabem do Lublina [1]).

[1]) Do epoki 1815—1830 p. spis dokumentów w anneksie N. 3.

ROZDZIAŁ IX.

1830—31. — Imieniny ks. generałowej Czartoryskiej w Puławach. — Uwagi o niewczesności powstania listopadowego. — Wybuch rewolucyi. — Krytyka działań rządu narodowego. — Niechęć Chłopickiego. — Rokowania z Wielkim Księciem Konstantym i z cesarzem Mikołajem. Krytyka bezczynności wojska i pierwszych kroków wojennych. — Złożenie dyktatury przez Chłopickiego. — Weyssenhoff, wezwany tymczasowo na naczelnego wodza, odmawia tej godności. — Nominacya ks. Michała Radziwiłła. — Pobieżny opis bitwy pod Grochowem i niektórych dalszych działań wojennych. — Pamiętnik przerwany.

Dokończenie życiorysu z dokumentów i świadectw współczesnych. — Weyssenhoff zostaje dowódzcą całej jazdy, następnie formuje nowe pułki i jest dowódzcą militarnym w Krakowie. — Powrót do Warszawy po upadku powstania. — Wygnanie w Kostromie 1831—1833. — Powrót do kraju. — Starość i śmierć generała.

Ku końcowi listopada 1830 roku udałem się do Puław na imieniny księżnej Czartoryskiej, obchodzone solennie przez familię. Zastałem tam dosyć liczne zgromadzenie, między innymi pp. ordynatów Zamoyskich, Juliana Niemcewicza etc. etc. Uderzyła mnie wówczas jakaś tajona niespokojność w tem świetnem

i z przyjaciół zaufanych złożonem towarzystwie. Obcy byłem temu, co się w ciszy warzyło, zdawało mi się wszakże postrzegać jakąś myśl posępną, panującą w umysłach większej części zgromadzenia. Gdzieniegdzie uronione słówko zdradzało dyspozycyę umysłów. Między innemi, gdy po herbacie siedzieliśmy wszyscy około jednego, długiego stołu i rozmowa powszechna na chwilę się zawiesiła, generał Morawski rzekł głośno:

— Ciekawa jest, ilu z nas tu siedzących ubędzie do tego dnia w roku przyszłym?

Wszyscy, zdziwieni tą uwagą generała, zwrócili oczy na księżnę, której wiek i stan zdrowia nie zapowiadał długiego życia. Byli wszakże i tacy, którzy oną stosowali do mających wkrótce nastąpić zaburzeń. Ja wówczas rzekłem, że wszelkie poruszenie w tej chwili będzie ostatecznem nieszczęściem i zagładą imienia polskiego. Gdyśmy się nazajutrz rozjeżdżali, księżna Wirtembergska i ordynatowa Zamoyska przeprowadziły mnie i generała Morawskiego do przedpokoju z uprzejmością znaczącą, jakby zapowiadającą długie niewidzenie się. Księżna Wirtembergska polecała usilnie opiece naszej księcia Adama, syna swojego, generała brygady w mojej dywizyi. To ostatnie już mi żadnego powątpiewania nie zostawiło.

Bolesną myślą zajęty, wracałem do Lublina, rozumując nad przyszłością. Więc tedy rewolucya będzie! Niema wątpienia — książę Adam Czartoryski jest w sekrecie! Możnaż przypuścić, aby człowiek światły, myślący, doświadczony, rzucił się lekkomyślnie w tę ostateczność? Możnaż przypuścić, aby jej

okropnych skutków nie przewidział, ażeby z pospolitem odurzeniem wierzył w jakieś zagraniczne pomoce? Francya, do której sympatyi mieliśmy prawo, zaburzona wewnątrz: partye Orleanistów, Legitymistów, Bonapartystów, demagogów w zawziętej walce z sobą — mogłaż coś dla nas uczynić? Anglia, swojemi finansami i niespokojnością Indyi zajęta, nie miała swobody myśleć o nas, — wreszcie bohaterska myśl wystawienia się na koszty i straty dla ratowania upadającego narodu i słuszności, nigdy nie powstała w narodzie samolubnym, przemysłowym i kupieckim. Wyznać należy, iż mu Polska hojnych wynagrodzeń zapowiadać nie mogła, ani się przeto od niego czegoś spodziewać. Z drugiej strony szczupły nasz kraj, otoczony trzema potężnemi mocarstwami, których wspólnym interesem było zniszczyć ostatni zarodek imienia polskiego, — te mocarstwa, mniej więcej samowładnie rządzone, mogłyż obojętnie patrzeć na wybuch rewolucyjnego ogniska wśród swoich granic? Nie mówię o obawie straty pięknych prowincyi, od Polski oderwanych, któremi każdy z trzech Rządów swój kraj zbogacił i zabezpieczył, — nie mówię o tej obawie, gdyż ona z powodu słabości naszej, istnieć nie mogła. W takich to okolicznościach naczelnicy powstania ułożyli oswobodzenie Polski.

Wróciłem do domu, przywalony srogiemi myślami, a skorom wysiadł z powozu wybiegły naprzeciw mnie córka moja z guwernantką, obie zalane łzami, opowiadając mi, że wojna, że przyszedł rozkaz, stawiający na stopie wojennej wojsko nasze i rosyjskie, że mówią o nowej koalicyi przeciw Francyi i t. p. Uprzedziła mnie Helena, że matka jeszcze o niczem

nie wie, prosząc, abym się nie wydał z niczem. Oczekiwałem wypadków.

Tymczasem horyzont chmurzył się coraz bardziej, smutna niepewność snuła się po wszystkich głowach. Nakoniec 1-go grudnia wpadł do mnie w nocy oficer z 3-go pułku ułanów z listem od pułkownika Korytowskiego, donoszącym, że powstanie już wybuchło w Warszawie, że Wielki Książę był napadnięty w mieszkaniu swojem w Belwederze przez podoficerów ze szkoły podchorążych i kilku uczniów uniwersytetu, że ledwo się sam uratował ucieczką do stajen jazdy gwardyjskiej, że generał Żandr w tym napadzie zginął, wiceprezes Lubowidzki śmiertelnie ranny. Nazajutrz obszerniejsze wiadomości doniosły nam, że na ulicach pozabijani zostali generałowie nasi: Stanisław Potocki, generał piechoty, Hauke, generał artyleryi, Blumer, Trębicki, Siemiątkowski, Nowicki, generałowie brygad, — jedni dla podejrzenia o przychylność dla Wielkiego Księcia, drudzy, że wściekłość tłumu słowy uśmierzyć chcieli, wszyscy za to, że bez namysłu przysiąg i obowiązków nie zrzekli się. Na drugi dzień Wielki Książę cofnął się z gwardyami do Mokotowa i do Wrześni.

Warszawa wrzała tłumnie bez wodza, ani przewodnika; wybierano i zmieniano naczelników; na koniec zgodzono się na wybór generała Chłopickiego na naczelnego wodza. Ten się opierał całemi siłami, nie chcąc przyjąć tego obowiązku, ale gwałtom i groźbom uledz był zmuszony. Uległ wprawdzie, ale w duszy został największym przeciwnikiem powstania. Uformowano rząd tymczasowy bez władzy i zamiaru. Ks. Adam Czartoryski, Władysław Ostrowski, Julian

Niemcewicz, kasztelan Kochanowski i kilku innych, składali ten nominalny rząd. Sesye jego były burzliwe i krzykliwe, ale w tem osoby rządowe najmniej miały głosu. Pan Lelewel, pierwszy podszczuwacz powstania, przypuszczony do składu rządu, był w nim zupełnie niemy, a utworzywszy klub patryotyczny, na sesyach onego nie bywał. Przyczyniwszy się najwięcej do nieszczęsnego zaburzenia, postrzegł dopiero, kiedy się stało, niezdolność swoją, brak odwagi, charakteru i rady, a zrzuciwszy cały chaos na głowy drugich, przypatrywał się krwawej niedoli. Dzień pierwszy łatwo urządzić, ale następujący powinien być przewidziany, a tem bardziej po nim idące. Wszyscy ci, którzy podszczuwali młodzież do tego powstania, zwodząc ją baśniami już o powstaniu gotowem w całych Niemczech, już o pomocach francuskich, angielskich, tureckich nawet — słowem o porozumieniu się ze wszystkimi narodami, łatwo, mówię, wzniecili ogień, gdyż młodzież nasza ogólnie już tylko polityczną zajęta myślą, nie rozbierając wieści, które z nich były fałszywe, szydercze nawet, — z niecierpliwością gorącej krwi rzuciła się w tę otchłań z najczystszem poświęceniem i męztwem, godnem podziwu. Ci zaś, którzy ją tam wtrącili, postrzegłszy nazajutrz, że nic wcześnie nie przewidzieli, że kraj bez rządu, wojsko bez wodza, miasto bez władzy, ani porządku, że żadnego planu dalszego działania nie ułożyli, wśród strachu i nieszczęsnego zawieszenia dalszych kroków, wybrali rząd tymczasowy jaki taki, a zastraszeni krzykiem zapaleńców, wezwali niektórych z nich do uczestnictwa w rządzie; stąd zamieszanie, sprzeczność zdań i nieczynność rządu. Rozkazy na prowincye

imieniem Mikołaja, jako króla naszego, przeciwko któremu podniesiono rokosz, wybranie gwałtem niechętnego wodza dla wojska; nakoniec przerażenie i myśl traktowania z wypędzonym Wielkim Księciem Konstantym i cesarzem Mikołajem! Któżby przewidział ten tak nikczemny i bezrozumny pomysł?

Tymczasem Wielki Książę stał spokojnie ze swojemi gwardyami, bez opatrzenia, ani amunicyi, bez ubrania nawet kompletnego, o milę od Warszawy, a w skutku kilkudniowych traktowań otrzymał wolność maszerowania za Bug z wojskiem swojem, artyleryą i zapasami, jakie mógł mieć, — mówią nawet, że z jeńcami politycznymi, jakich miał czas porwać z więzienia. Wódz naczelny, generał Chłopicki, wydał natychmiast rozkazy do wojska, aby się jak najśpieszniej usuwało z tej drogi, którą Wielki Książę do Buga miał maszerować, w celu, aby mu ułatwić wyjście.

Drżący rząd przed niebezpieczeństwy zewnętrznemi i wewnętrznemi, nominuje tegoż generała Chłopickiego dyktatorem i władzę aktualną składa w jego ręce. Odpierający wszystko dyktator, dla zagmatwania bardziej rzeczy i zwalenia na kogoś odpowiedzialności, zwołuje sejm, który obiera marszałkiem swoim Władysława Ostrowskiego, szefa szwadronu niegdyś w naszej artyleryi. Ten marszałek nie widzi odtąd, jak tylko wysokie swoje dostojeństwo i mniemany wpływ zbawienny, który wywrzeć miała powaga ciała prawodawczego na dalszy postęp powstania. Wysłano deputacyę do cesarza do Petersburga — księcia Lubeckiego i hr. Jana Jezierskiego z jakiemiś propozycyami. Odpowiedź była, jaką rozsądni wszyscy prze-

widzieli: «Złożyć broń i zdać się na łaskę». Obietnice jakieś, które cesarz nawiasowo ustnie wymówił, gdyby dalszego oporu zaprzestano, nie były zabezpieczające, owszem — wszelkiej nadziei pozbawiały. Lubecki został już odtąd w Petersburgu, a Jezierski wrócił i śmiało przedstawił sejmowi słowa cesarza. Jedni byli tem przerażeni, zaślepieni zaś i ci, co sobie wiele obiecywali, przyjęli głos Jezierskiego z szyderstwem i groźbami. Izba nie miała żadnej powagi, gdyż krzyki galeryi narzucały strwożonej swoje zdania. Mówią, iż byli tacy, którzy bronią grozili posłom, chcącym rozsądne uwagi robić. I w rzeczy samej w takiej już był naród ostateczności, że i mądrość, i rozsądek na nic się nie zdały, zostało tylko jedynie — z rozpaczą walczyć i umrzeć.

Wśród tego wszakże wojska stały spokojnie, lub też w kraju, z którego nieprzyjaciel ustąpił, niepotrzebne marsze robiły. Sejm bawił się błahym gwarem, nic energicznego nie przedsiębiorąc. Przybyli z ponad Dniepru kłócili się o pierwszeństwo miejsc w ławkach. Sejm rozstrzygał te spory. Emisaryusze z klubów warszawskich, udając się do podporuczników i podoficerów, burzyli porządek w wojsku; zewsząd tłumnie wołano, aby maszerować z miejsca, nie wiedząc dokąd.

Ja czekałem rozkazu jakiegoś dla mojej dywizyi, rozłożonej w Lubelskiem i Podlaskiem, przekonany, że bez zwłoki ruszymy ku Bugowi, mojemi stanowiskami bardzo zbliżony do tej granicy. Ale przebóg! — rozkazano mi iść do Warszawy. W drodze odebrałem rozkaz zwrócenia się ku Siedlcom i rozłożenia się tam i w okolicach. Brygada 1-sza pod do-

wództwem generała Suchorzewskiego, odebrała wprost od dyktatora rozkaz udania się do Węgrowa i okolic. W tem urządzeniu z rozpaczą widziałem myśl dyktatora nadania dalszemu działaniu postaci obronnej, — postaci tylko, gdyż rozkaz zakładania ogromnych magazynów w Łomży inaczej tłómaczyć należało. Po tak zuchwale dokonanem powstaniu któżby pomyślał, że cała energia 29 listopada spełźnie na niesfornych krzykach i trwożliwem oglądaniu się! Wielkiego Księcia wypuszczono z 5 do 6 tysiącami najlepszego wojska, 40 armatami etc. Za Bugiem dano się zbierać i urządzać wojsku, które niezwłocznem naszem wkroczeniem do Litwy mogło być rozproszone. Nastąpiłyby potem walki z pojedyńczymi oddziałami nieprzyjacielskimi, w którychby wolno sobie obiecywać pomyślność, działając z wojskiem tak wyćwiczonem i tak mężnem, jak było nasze. Duch prowincyi nie małąby nam był pomocą. Przekonany jestem, że nie zaślepienie pozbawiło nas tych wszystkich korzyści, ale obawa o nieład wewnętrzny i myśl starannie tajona o wkroczeniu Prusaków i Austryaków, a kraj z wojska obnażony. O tem trzeba było wcześniej pomyśleć, nikomu bowiem tajnem być nie mogło, że te mocarstwa nie dadzą się rozwijać zasadom demagogicznym u nas, zwłaszcza, gdy niejakie symptomata onych u siebie dostrzegały.

Wśród tej, największą klęskę zapowiadającej, nieczynności, dyktator, przekonany, że już mu się nie uda zamiar uśmierzenia powstania przez rokowania z Rosyanami, złożył dyktaturę i naczelne dowództwo wojska. Wszelkie usiłowania rządu i sejmu nie zdołały go odwieść od tego postanowienia. Uradzono

przeto nominować mnie następcą jego i z tem uwiadomieniem przysłał do mnie marszałek sejmowy, pan Ostrowski, list, adresowany już do naczelnego wodza [1]). Ja, niewzywany dotąd do żadnej rady, widząc rzecz zupełnie zgubioną i nie upatrując żadnego sposobu ratowania onej, odmówiłem tej nominacyi, pozostawiając sobie działanie wierne w stopniu moim i dzielenie losu dywizyi mojej aż do końca. Odebrawszy moją odpowiedź, sejm ogłosił ks. Michała Radziwiłła naczelnym wodzem. Długo opierający się książę był nakoniec naleganiem rządu i sejmu zmuszony do przyjęcia, lubo widział, jaki koniec wziąć musi ta burza. Po mnie zaś przysłano adjutanta, Leona Rzewuskiego, abym się stawił w Warszawie.

Przybywszy do Warszawy, znalazłem umysły powszechnie zawieszone i nie wiedzące, co dalej czynić. Nowy wódz, książę Radziwiłł, nic nie przedsiębrał; strwożony lud wołał o działanie. W takiem położeniu otrzymano od byłego dyktatora, generała Chłopickiego, aby siadł na koń i był radą i pomocnikiem księcia Michała. Nie łatwo pojąć, z jakiego powodu ten, co miał pełną władzę w ręku i zrzekł się jej, mógł przyjąć podrzędną czynność pomocnika wodza naczelnego? Wszakże wojska stały ciągle spokojnie, a gdy już głos powszechny zaczął zarzucać wodzom nieczynność, uradzono ruszyć z całem wojskiem za Pragę, co było widocznie dla zaspokojenia niecierpliwości publicznej, gdyż ruszywszy bez zamiaru, błądziliśmy dni kilka o kilka mil od stolicy bez celu, aż nareszcie wróciliśmy pod Pragę.

---

[1]) P. anneksa N. N. 4, 5 i 6.

Już też był i czas, gdyż wojska rosyjskie, zebrane i urządzone, wkraczały w nasze granice. Daliśmy im do ściągnięcia się i uformowania półtrzecia miesiąca czasu. Postępowały w kierunku wielkiej drogi od Brześcia ku Pradze. Po kilku i dosyć pomyślnych utarczkach, przednie straże nasze ściągnęły się od Buga i połączyły z głównem wojskiem pod Pragą.

Nieprzyjaciel z całą siłą i bardzo liczną artyleryą przyszedł pod Wawer, a przednie straże swoje posunął do Gocławka, naprzeciw którego stały wszystkie nasze wojska. Przedzielał zastępy mały, ale oparzelisty strumyk, płynący przez Gocławek, gdzie mostek drewniany jeden był na wielkiej pocztowej drodze. Wojsko nasze stało całe w mnogich liniach: piechota z ciężką artyleryą na przedzie, a jazda, oprócz zwyczajnej służby przednich straży, w tyle, po lewej i prawej stronie drogi do Pragi wiodącej, również w tej samej dyrekcyi i w liniach po sobie. Nieprzyjaciel zajmował stanowisko od Wawra tak jednak, iż linie jego, zakryte wzgórzami piaskowemi, były nam niewidzialne; skrzydło jego prawe i środek, ukryte w lesie, mogły wszystkie ruchy wykonywać niepostrzeżenie. Nasze skrzydło prawe było oparte o nieprzebyte błota, zawsze prawie wodą zalane, a lewe miało przed sobą błotnistą olszynę, o którą nieprzyjaciel się dobijał z wielką ludzi stratą. Gdy się już jawnie zanosiło na walną bitwę, generał Chłopicki, który, lubo nie był wodzem, miał przecież głos sam jeden i rozkazy wydawał, zwołał wszystkich generałów i rozprawiał o wzajemnem położeniu wojsk. Gdy przyszedł do wnioskowania o dalszem działaniu nieprzyjaciela, że on tu frontem przez tę cieśninę prze-

bijać się nie będzie, — ce serait prendre le taureau par les cornes — były jego słowa. Mimo to zachowaliśmy nasz szyk głęboki bez wyjątku ku cieśninie Gocławka. Niepojęta jest, że nieprzyjaciel, mogąc manewrować zakryty, nie korzystał ze swego położenia, widząc doskonale nasze. Był panem dróg wielkich i blizkich przez Kawęczyn i Szmujłowszyznę, któremi mógł nam nagle wpaść na skrzydło lewe i na tyły. Nie wiem, coby się wówczas stało, nie łatwo bowiem było jakiś porządny front mu postawić, zwłaszcza, iż całą ciężką artyleryę i nieco wojska mógł zostawić na swoich stanowiskach przeciw Gocławka. A gdy wódz rosyjski nie mógł, lub nie chciał, niewiadomo dla jakiej przyczyny, wykonać tego manewru, bito się . . . . (nieczytelne słowa) działa nawzajem szkodziły sobie dużo, a piechoty odbierały sobie po kilkakrotnie ową olszynę przed naszem lewem, o której wyżej mówiłem. Tu w obu wojskach wielkie straty poniesiono, tak w żołnierzach, jak i w oficerach różnych stopni. Rosyanie postanowili nakoniec przełamać centrum nasze swoją jazdą i w tym celu puścili ją wielką drogą z wściekłym zapałem na nas. Pułk . . . . . (miejsce niewypełnione w rękopisie)[1]) był na czele, inne miały rozkaz iść za nim, lecz pułk, wpadłszy pomiędzy naszą piechotę i jazdę, zaraz był zatrzymany i zupełnie zniesiony; widok klęski wstrzymał resztę od popierania tego ataku. Wkrótce potem generał Chłopicki został ranny urywkiem granatu w nogę i odwieziony do Warszawy. Za nim przeszło całe wojsko na lewy brzeg Wisły.

---

[1]) Był to dzielny pułk rosyjski kirasyerów ks. Alberta.

Oświadczam, iż wcale nie mam zamiaru pisać tu historyi tej wojny, gdyż tylko dla mojej familii własne pamiętniki piszę. Wreszcie, gdybym i chciał coś dokładnego o przypadkach tej wojny napisać, nie mógłbym, sam nie będąc świadkiem reszty, nie mając dostatecznych materyałów i pisząc we dwanaście lat później.

Przejście odwrotne wojska naszego na lewy brzeg Wisły było w miesiącu lutym 1831 roku. Odtąd stały spokojnie wojska, obserwując się bez działania. Naszym wodzem naczelnym został generał Skrzynecki, obrany po złożeniu dowództwa przez księcia Radziwiłła. Wódz rosyjski, marszałek Dybicz, osądziwszy iż do wiosny nic stanowczego nie będzie można przedsięwziąć, zostawił część swojego wojska na dawnych stanowiskach pod Wawrem, a z resztą rozłożył się na zimowe kwatery ku Wieprzowi. Skrzynecki, dobrze zawiadomiony o położeniu wojska rosyjskiego i o lichem zabezpieczeniu się ze strony dowódzców, przeprawił wojsko swoje przez Modlin i wpadł prawie niespodzianie na dywizye, zostawione ku Wawrowi. Manewr ten był dobrze ułożony i w takim sekrecie wykonany, że wojska rosyjskie, niespodziewanie natarte od Wawra i od strony Wielkiego Dęba, zmieszane, nie były w stanie oparcia się, a żwawo nacierane przez naszych, zmuszone były do mniej porządnego odwrotu ku Kaluszynowi, poniosłszy znaczną klęskę: kilka tysięcy niewolnika i kilkanaście sztuk armat były dla naszych korzyścią dnia tego, z nader małą własną stratą.

Odtąd wódz naczelny, Skrzynecki, robił błąd po błędzie: pierwszy, że nie profitował ze swojego świe-

tnego zwycięstwa; drugi, że, odebrawszy wiadomość, iż generał Rüdiger postępuje z nową dywizyą, naprzód wzdłuż Wieprza, nie udał się sam naprzeciw niemu, lecz powierzył generałowi Jankowskiemu ze znacznym oddziałem rozbicie i zniesienie tego generała (to jest Rüdigera). Nic nie było łatwiejszego nad wykonanie tego rozkazu. Generał Jankowski, co do liczby, był mocniejszy od nieprzyjaciela, co zaś do gatunku wojska — nie było żadnego porównania: nasze składało się ze starych i najlepszych pułków, generał Rüdiger zaś prowadził po większej części różnorodnych rekrutów; położenie zaś jego w chwili, kiedy miało przyjść do boju, było najsmutniejsze, gdyż nieprzewidzianie znalazł się między naszem wojskiem, które go otaczało z przodu, z prawego boku i z tyłu, po lewej zaś miał rzekę Wieprz bez żadnej przeprawy. Niepojętym wszakże sposobem stało się, iż bez boju wrócił nazad spokojnie, zabrawszy nam bagaż i kasę jazdy. Nasi generałowie, Jankowski i Bukowski, patrzyli na ten ruch nieprzyjaciela i nic nie przedsiębrali. Trudno jest wykryć przyczynę tej nieczynności naszych; różne wieści obiegały, jak to zazwyczaj bywa, kiedy na ulicach sprawy się agitują — i o zdradzie nie zapomniano. Jakoż nieszczęśliwi Jankowski i Bukowski okropną śmiercią zapłacili swoją winę w Warszawie. Przewinienie było wielkie i bardzo wielkie, ale zdrady nie przypuszczam.

Później, kiedy gwardye rosyjskie ciągnęły śpiesznie z Petersburga do armii marszałka Dybicza, wódz nasz naczelny, sądząc, że im drogę zabieży, ruszył z całem prawie wojskiem ku Tykocinowi. Lecz gwardye cofnęły się, unikając bitwy, a Skrzynecki

zwrócił ku Ostrołęce. Tam przybywszy, rozłożył się nad rzeką Narwią, ale, dzieląc swoje wojsko na dwie części, z większą przeszedł Narew, a jedną dywizyę piechoty z innymi oddziałami zostawił na lewym brzegu tej rzeki, nie mając innej komunikacyi tylko most długi i wązki pod miastem na rzece. To był błąd niesłychany. Mówią wszakże, że generał Skrzynecki wcale nie był uwiadomiony o ruchu Dybicza, który, biegnąc w pomoc gwardyom z większą częścią armii i ogromną artyleryą, uwiadomiony o położeniu naszem pod Ostrołęką, nagle wpadł na wojsko nasze, zostawione na lewym brzegu rzeki, które ani cofać się już nie miało czasu, ani żadnej pomocy z prawego brzegu otrzymać dla trudności przejścia przez most drewniany, pociskami artyleryi rosyjskiej już strychowany. Cała dywizya stracona została, a generał, dowodzący nią, Henryk Kamieński, poległ razem z wojskiem swojem. Cuda waleczności tej piechoty sami przeciwnicy przyznają. Resztki, cofnąć się usiłując, jeszcze na moście, pomieszane z nieprzyjacielem, pięściami bitwę kończyły. Straciliśmy coś i tego wojska, które było na prawym brzegu Narwi, gdyż Rosyanie, ukończywszy dzieło z piechotą, na lewym będącą, wyprowadzili całą swoją artyleryę nad brzeg Narwi, który był wyższy od prawego i stamtąd szkodzili bardzo naszemu wojsku, na nizkiej płaszczyźnie rozwiniętemu. Generał Kicki i wielu znakomitych oficerów poległo od kul działowych. Tak bitwa, która mogła być dla nas zwycięstwem, gdyby całe wojsko było w niej czynne (moralność i dzielność wojska polskiego mogły przynieść zwycięstwo) stała się klęską nienagrodzoną.

Po tej smutnej klęsce cofnął się generał Skrzynecki z wojskiem, upadłem na duchu, pod Warszawę. Wódz nieprzyjacielski, marszałek Dybicz, wkrótce umarł, a generał Paskiewicz objął ogólną komendę po nim. Ten przy pomocy pruskiej i w granicach pruskich przeprawił się swobodnie przez Wisłę i ruszył bez przeszkody pod Warszawę, poczem nastąpiło wzięcie Warszawy, cofnięcie się wojsk naszych na prawy brzeg Wisły i wkroczenie w granice pruskie i austryackie dla złożenia tam broni i ujścia prześladowań zwycięscy. Tak smutnie zakończyła się ta wojna, mimo wszelkich obietnic tych, którzy rewolucyę wzniecili, mimo męstwa wojska. Wołano coraz o nowego wodza, wybierano cnych, ale niedoświadczonych i niezdolnych w tak krytycznem położeniu, — nakoniec wszystko się rozprzęgło, nie bez wpływu agentów obcych, ...

~~V~~ KORPUS

16 dyw piech 16pp 10pp
18 dyw piech

Tu przerywa generał w pół zdania. Z tekstu pamiętnika widać, że napisany został w latach 1841—1843. W tym ostatnim roku (23 sierpnia 1843 roku) stracił Jan Weyssenhoff żonę i boleść po jej zgonie przerwała zapewne spisywanie własnych wspomnień. Kreśli on życiorys żony, pamiątkę wyłącznie familijną, której tu nie podajemy. Żyje potem jeszcze lat kilka, do roku 1848, i wnosić można z pozostałych po nim innych papierów, z listów, wreszcie ze wspomnień niedawno zmarłych domowników, że starzec był krzepki i towarzyski aż do końca. Zaniechał tylko, widać, opowiadania o szarych dniach ostatniego okresu życia. Streścimy krótko ten okres, a przedewszystkiem dopowiemy z dokumentów o udziale, jaki generał wziął w dalszym ciągu rewolucyi, gdyż część ostatnia pamiętnika, mniej porządnie spisana, daje nam, niestety, zbyt mało szczegółów.

Zasadniczo przeciwny zbrojnemu powstaniu, nie należący do spisku, generał dzieli jednak losy armii przez poczucie solidarności narodowej. Ale niechętnem prawdopodobnie okiem spoglądało na niego skrajne stronnictwo ruchu, czego dowodem są niektóre wzmianki w książce Stanisława Barzykow-

skiego, w miejscach, gdzie nie mogło być pominięte nazwisko generała, mianowicie w styczniu 1831 roku, gdy, po zrzeczeniu się Chłopickiego, opinia sejmu i wojska postawiła Weyssenhoffa, jako głównego kandydata na naczelnego wodza. Barzykowski tak pisze:

«...Inaczej było z wodzem. Ten nie istniał. Wprawdzie generał Weyssenhoff, jako generał najstarszy w randze, na zastępcę był powołany, ale on z powodu nałogu, jaki nieszczęściem posiadał, ani na chwilę nim być nie mógł».

A dalej:

«Odznaczająca to była postać, umysł wykształcony i nie pozbawiony zdolności, lecz nieszczęśliwy nałóg pijaństwa, jaki posiadał, sprawiał, że buława w jego ręku ani na chwilę nie mogła być złożona»[1]).

Jest to wymysł, o który Barzykowskiego nie posądzamy, bo go zapewne pomiędzy wielu innemi, na ulicy w niespokojnych czasach wylęgłemi fałszami usłyszał i do swojej bardzo niekrytycznej książki włożył. Sam siebie zbija następnie, pisząc, że «generał Weyssenhoff wziął się z największą gorliwością do postawienia województwa krakowskiego w obronnym stanie (w sierpniu), chwaląc to urządzenie, wyliczając pułki i rezerwy[2]). Był zatem widocznie do czegoś zdolny nawet w opinii p. Barzykowskiego. Jako żołnierz od dziecka, lubił zapewne i musiał lubić wino, ale zarzucać mu nałóg pijaństwa mogli tylko niechętni, lub nieznajomi. Zresztą plotkę tę

---

[1]) St. Barzykowski: »Historya powstania listopadowego«. Poznań, 1883, tom drugi. str. 139, 141, 204.

[2]) Tamże, tom piąty, str. 41.

napotykamy pojedyńczo tylko u Barzykowskiego. Na jej odparcie moglibyśmy przytoczyć wiele świadectw ludzi poważnych, którzy lepiej znali generała, z których kilku żyje dotychczas. Ograniczymy się na przytoczeniu jednego świadectwa urzędowego. Wielki książę Konstanty, zdając poufny raport cesarzowi Mikołajowi o generałach armii królewsko-polskiej, dnia 19-go czerwca 1826 roku, tak pisze o Weyssenhoffie:

— «Weyssenhoff, generał brygady, dowódzca dywizyi ułanów, człowiek rozumny, wykształcony, świetny oficer. Dywizya jego znajduje się zawsze w takim porządku, że nic lepszego nie pozostawia do życzenia. Bardzo waleczny na wojnie i wyborny w czasie pokoju, znakomicie zna swoją dywizyę. Odpowiedny jest na każdem stanowisku» [1]).

Cała karyera wojskowa Weyssenhoffa dowodzi wielkiej służbistości i przytomności umysłu; do późnego wieku zachowuje myśl jasną, pamięć dobrą, skoro w latach 1841—1843 pisze pamiętnik. Przypuszczenie zatem p. Barzykowskiego upada nawet przy głębszem zastanowieniu się nad postacią generała; przytoczone zaś tutaj świadectwo wodza, niepodejrzanego o stronność, jest nieco wiarogodniejsze, niż wzmianka niebacznego kronikarza.

Wracając do udziału Jana Weyssenhoffa w rewolucyi, zapisać tu musimy, że nominacyę na tymczasowego dowódzcę siły zbrojnej narodowej przysłała mu deputacya obu izb sejmowych z Warszawy do Siedlec dnia 18 stycznia 1831 roku bez uprzed-

---

[1]) »Russkaja Starina«, tom XXXIV, rok 1882, str. 272.

niego z nim porozumienia się. Generał pisze w pamiętniku, że godności tej odmówił, i nie mamy prawa mu nie wierzyć. Nie wykreślono go jednak z listy kandydatów i przy dwukrotnem głosowaniu na naczelnego wodza spotykamy jego nazwisko, wychodzące jako drugie z urny wyborczej. Nareszcie oświadczenie Chłopickiego, że zgodzi się być doradzcą naczelnego wodza, jeżeli zostanie nim Michał ks. Radziwiłł, skłoniło sejm stanowczo do wyboru Radziwiłła.

Jednocześnie mianowany zostaje Weyssenhoff dowódzcą całej jazdy [1]). Stara dywizya ułanów, wzorowo urządzona i w ciągu lat szesnastu dowodzona przez Weyssenhoffa, przechodzi pod rozkazy generała Suchorzewskiego, następnie Umińskiego. Wnosić należy, że Weyssenhoff opuszczał z żalem ulubionych swych ułanów. Krótko też pozostaje czynny w swym wysokim stopniu dowódzcy jazdy, jednak go się nie zrzeka i w bitwie pod Grochowem stoi na czele jazdy, mając pod rozkazami swemi generałów: Łubieńskiego i Umińskiego [2]).

Odtąd, czy z powodu nieufności do wodzów, czy dla braku wiary w powodzenie wojny, przestaje Weyssenhoff być czynny w bitwach, nie opuszcza jednak bynajmniej sprawy powstania. Po bitwie Grochowskiej, na radzie wojennej u ks. Adama Czartoryskiego, Weyssenhoff głosuje za mianowaniem Skrzy-

---

[1]) Patrz generała Prądzyńskiego »Pamiętnik historyczno-wojskowy« r. 1831 (Petersburg, 1898), str. 31 i 49.

[2]) Prądzyński, l. c., str. 49.

neckiego naczelnym wodzem [1]) bez zaufania w zdolności tego generała, jak to widzimy z pamiętnika. Jednocześnie, przy reorganizacyi całej armii, dowództwo jazdy rozdzielone zostaje między generałów: Łubieńskiego, Umińskiego i Skarżyńskiego, Weyssenhoff zaś zabiera się do formowania nowych pułków, mianowicie tak zwanej «legii nadwiślańskiej», w której umieszcza jedynego syna, Włodzimierza. Włodzimierz prosto z uniwersytetu warszawskiego przechodzi do wojska, odznacza się 1-go września pod Międzyrzeczem, za co otrzymuje stopień kapitana i złoty krzyż «virtuti militari» [2]).

O dalszych działaniach generała Weyssenhoffa w rewolucyi 1831 roku nie mogliśmy, mimo poszukiwań, zebrać obfitych wiadomości. Dokument jego amnestyjny [3]), ciekawy z powodu całkowitego stanu służby, tak streszcza postępowanie generała w rewolucyi:

«W ciągu rokoszu dowodził dywizyą ułanów, później, przeznaczony na dowódzcę jazdy, następnie był organizatorem jazdy legii Nadwiślańskiej. Ostatecznie był dowódzcą militarnym w województwie Krakowskiem. Przybył do Warszawy z wolnego miasta Krakowa 8 listopada 1831 roku i przysięgę wierności Najjaśniejszemu Panu ponowił. Po uśmierzeniu rokoszu wysłany został do Rosyi, skąd, wskutek Najmiłościwszego manifestu Najjaśniejszego Pana z dnia

---

[1]) Prądzyński, l. c., str. 63.

[2]) Dokumenta w archiwum wydawcy.

[3]) W archiwum wydawcy, p. anneks. Nr. 7.

2 (14) kwietnia 1833 roku, powrócił do Królestwa Polskiego».

Z tej urzędowej, lecz bardzo pobieżnej wzmianki, wnosić można, że Weyssenhoff działał wspólnie z Różyckim. W każdym razie należał do liczby tych, którzy przeszli na terytoryum austryackie; po upadku zaś rewolucyi powrócił do Królestwa i skazany został na wygnanie do Kostromy. Tam przebył od grudnia 1831 roku do lata 1833 roku. Gubernatorem Kostromy był podówczas Sergiusz Łanskoj, człowiek wykształcony i zacny; on i jego rodzina zaprzyjaźniła się serdecznie z wygnańcem. Jego to staraniom i poparciu Dymitra Tatiszczewa, ambasadora rosyjskiego w Wiedniu, zawdzięcza generał swój powrót do kraju [1]).

Odmówiwszy wstąpienia do armii rosyjskiej, generał osiada we wsi swojej, Samoklęski, w powiecie Lubartowskim, nabytej uprzednio (1824 r.) od Adama ks. Czartoryskiego. Odtąd zajęcia gospodarskie, zbieranie biblioteki, spisywanie wspomnień, oraz parę podróży do rodzinnych Inflant — wypełniają ostatni okres życia generała. W roku 1843 utracił żonę, Teklę z Otwinowskich herbu Gryf, córkę Augusta, posła niegdyś na sejm czteroletni, i Morsztynównej. Miał z nią syna, Włodzimierza, i córkę, Helenę, wydaną za mąż za Lucyana Woyniłłowicza.

---

[1]) Listy D. Tatiszczewa 29 kwietnia i 1 lipca 1832 roku są w archiwum wydawcy; również długoletnia korespondencya z rodziną Łanskich, z którą Weyssenhoff zachował serdeczne stosunki. Z tejże epoki posiadamy listy generała do żony, oraz korespondencyę z generałem Tomaszem Łubieńskim, Michałem księciem Radziwiłłem i innymi.

Generał Weyssenhoff umarł w Samoklęskach dnia 19 maja 1848 roku; spoczywa pod kaplicą grobową, którą córka jego wzniosła przy kościele parafialnym w Kamionce.

Pamięć, którą po sobie zostawił, jest czysta i tęskna; czysta, bo zachował imię swe nieposzlakowane, tęskna — bo zyskał sobie wielką miłość u ludzi. Świadectw na to moglibyśmy przytoczyć setki, ale te pamiątki nie mogą obchodzić szerszych kół publiczności.

KONIEC.

Anneksa.

1.

(Ks. Józef Poniatowski do gen. Weyssenhoffa r. 1813 na kilka dni przed bitwą pod Lipskiem).

Mille remercimens, mon cher Général, des détails que vous me donnez, vous savez combien tous mes enfans me sont chers. — Je n'ai que le tems de vous répondre ce petit mot, bon courage et continuez à faire bien sonner le nom de Polonois. — Nous pouvons et nous devons tenir à ce dicton: tout peut être perdu sauve l'honneur. Salut et amitié — je tâcherai dès que l'occasion se présentera d'appuier les propositions que vous me faites, mais je voudrais aussi connoitre les individus dont vous me parlez d'une manière peu satisfaisante.

(Bez podpisu i bez daty).

A Monsieur le Général Weyssenhoff

(pieczęć prywatna ks. Józefa Poniatowskiego).

(arch. wyd.).

2.

(List gen. Mouton hrabiego Lobau, marszałka Francyi do gen. Weyssenhoffa).

Paris le 24 Octobre 1814.

Monsieur le Général!

J'ai reçu il y a déja quelque tems la lettre que vous m'avez fait l'honneur de m'ecrire sous la date du 20 juillet dernier. Si quelquechose a pu me dédommager de notre séparation à Dresde, par suite de votre maladie, c'est la certitude que vous éviteriez un long voyage dans la saison la plus rigoureuse et une captivité encore plus désagréable. Votre rétablissement me fait, le plus grand plaisir et je vous prie, mon Général, d'en recevoir mes félicitations.

J'ai souvent parlé avec éloge de la brigade qui étoit sous vos ordres; c'était une réunion de braves dont un bon nombre méritoit d'être distingué de la manière la plus honorable. Vous me trouverez toute la vie enclin à faire en leur faveur tout ce que ma position pourra me permettre, vous pouvez donc m'adresser l'etat en question, en m'indiquant ce que je puis, pour aider à conduire cette affaire au but que vous vous proposez. Sans les changemens survenus, j'aurois tenu ma promesse et mis mon ambition à ce que vous en ressentissiez promptement les effets. Nonobstant la distance qui nous sépare et les barrières qui s'y rencontrent, je ferai constamment des voeux bien ardents, mon cher Général, pour la prospérité et l'indépendance de votre belliqueuse et estimable nation et je désire vivement que chaque

digne Polonois soit convainçu du respect que j'ai pour lui et de l'attachement que je lui porte.

Veuillez, mon cher Général, accueillir la nouvelle assurance de mes sentiments les plus distingués et de mon affection la plus sincère.

Le Lieutenant Général *C-te de Lobau Mouton.*

P. S. Veuillez me rappeler au souvenier de tous vos Messieurs.

A Monsieur Monsieur le Général de Weyssenhoff, au service de Pologne, par Breslau à Cracovie — en Pologne — par le Comte de Lobau.
(arch. wyd.).

3.

W archiwum wydawcy oprócz wymienionych pod tekstem dokumentów znajduje się wiele innych, z których ważniejsze z epoki 1814—1830 r. spisujemy na tem miejscu.

— List W. Ks. Konstantego z oznajmieniem o zamianowaniu W. dowódzcą brygady ułanów i dodatkiem, że dowódzca dywizyi jeszcze zamianowany nie został, 30 listop. 1814 r.

— Patent na order Ś. Stanisława 1-szej klasy, podpisany przez cesarza Aleksandra i ministra Ign. Sobolewskiego, 5 paźdz. 1819 r.

— Długi list własnoręczny W. ks. Konstantego o sprawach dywizyi ułanów dowodzonej przez Weyssenhoffa, 1 marca 1819 r.

— Circulaire secrète W. ks. Konstantego w sprawie nadzoru nad dywizyą i uchronienia tejże od kiełkujących ruchów rewolucyjnych, 6 czerwca 1821 r.

— Takiż list W. ks. przeciw stowarzyszeniom tajemnym, 16 września 1822 r.

— List W. ks. o interesach dywizyi, 12 paźdz. 1822 r.

— Takiż list w sprawie ukarania majora Gołaszewskiego, 26 listop. 1822 r.

— Takiż list w sprawie sądu nad majorem Zakrzewskim, 27 listop. 1822.

— Takiż list w sprawie nadzoru nad oficerem Henrykiem Małachowskim, 9 czerwca 1823 r.

— Patent na order Ś. Włodzimierza 2-go stopnia podpisany przez cesarza Aleksandra, 2-go czerwca 1825 r.

— Patent na order Ś. Anny 1-go stopnia z koroną cesarską, podpisany przez cesarza Mikołaja, 12 maja 1829 r.

— List vice kanclerza hr. Nesselrode wzywający gen. Weyssenhoffa do Cesarza dla wysłuchania instrukcyi i wręczenia listów poselskich do Dworów zagranicznych, 27 maja 1829 r.

— Paszport wydany generałowi - lejtnantowi Weyssenhoffowi, odjeżdżającemu z missyą specyalną od cesarza Mikołaja do Dworów w Dreznie, Monachium i Sztutgarcie, podpisany przez hr. Nesselrode 16 (27) maja 1829 r.

— List hrabiego Armansperga, pierwszego ministra bawarskiego, z przesyłką podarunku honorowego, konferowanego gen. Weyssenhoffowi przez króla bawarskiego, Monachium 1 lipca 1829 r.

— List W. ks. Konstantego z przesyłką «une boîte à chiffre» konferowanej gener. Weyssenhoffowi przez cesarza Mikołaja 4 sierpnia 1830 r.

i t. d. i t. d.

NB. Z tejże epoki 1815—1830 są w archiwum wydawcy odezwy sekretaryatu generalnego podpisane przez barona Mohrenheima. Listy oficyalne generałów Haukego, Rożnieckiego, Kuruty. Wezwanie do uczestniczenia przy obrzędzie koronacyi cesarza Mikołaja na króla polskiego i do niesienia baldachimu, podpisane przez mistrza ceremonii Stanisława Potockiego. — Raporta służbowe. — Stany służby oficerów. — Mapy strategiczne i różne militaria.

Między listami prywatnemi z tej epoki zasługuje na uwagę korespondencya z pułkownikiem Dwernickim, z księciem Adamem Wirtembergskim, z księżną Wirtembergską, z księciem Adamem Czartoryskim i z innymi.

4.

Rada Najwyższa Narodowa
do
J. W. generała dywizyi Weyssenhoff
Naczelnego Wodza siły zbrojnej narodowej
w Siedlcach.
A w przypadku wyjazdu z Siedlec odesłać tam gdzie się znajduje, również przez sztaffetę.
(Koperta z tym adresem i pieczęcią Rady).

Deputacya obu Izb Sejmowych
do
JW. generała dywizyi Weyssenhoff.

Wskutek złożenia w dniu dzisiejszym przez generała Chłopickiego powierzonej mu od reprezentantów Narodu władzy, Deputacya obu Izb Sejmowych postanowiła wezwać JW. Generała do tymczasowego dowodzenia siłą zbrojną narodową.

Generał dywizyi Klicki poruczone ma sobie zastępstwo Dowódzcy, dopóki JW. Generał nie przybędziesz do stolicy.

Uwiadamiając Go o tem, Deputacya obu Izb Sejmowych wzywa JW. Generała, ażeby wydawszy stosowne gdzie należy rozkazy i urządziwszy zastępstwo w dowództwie powierzonej Mu dywizyi wojska, niezwłocznie przybywał do Warszawy.

W Warszawie dnia 18 Stycznia 1831 r.

Władysław Hrabia Ostrowski, Marszałek J. Pos.

Ignacy Wężyk, poseł Łosicki, pióro trzymający w deputacyi.

(arch. wyd.)

5.

W Warszawie dnia 19 Stycznia 1831 r.

Rada Najwyższa Narodowa
do
JW. Generała Dywizyi Weyssenhoff.

Wzywa JW. Generała Weyssenhoff, ażeby natychmiast i bez żadnej zwłoki przybył do Warszawy dla należenia do rady wojennej, która się ma odbyć jutro to jest 20 b. m. o godzinie 9-ej zrana.

Przed opuszczeniem miejsca teraźniejszej konsystencyi wyznaczy JW. Generał osobę, któraby w czasie Jego nieobecności objęła dowództwo powierzonej Mu komendy. Również wydane być mają stosowne na każdy przypadek rozporządzenia i rozkazy, co wszystko Rada Najwyższa znanej gorliwości i patryotyzmowi JW. Generała poleca.

Prezydujący
A. Czartoryski.

Sekretarz generalny Rady
And. Plichta.

Nr. 996.
(Koperta z adresem i pieczęcią Rady Najw. Narod.).
(arch. wyd.)

BIBLIOTEKA BRATNIEJ POMOCY STUD. U. J. KRAKÓW Nr.....

6.

(Cyrkularz drukowany).

Deputacya obu Izb Sejmowych.

Jenerał Chłopicki aktem w dniu dzisiejszym Deputacyi obu Izb Sejmowych nadesłanym, złożył powierzoną sobie przez Naród władzę, a to w celu, jak się w odezwie swej wyraził:

«Ażeby nadchodzący Sejm w zupełnej wolności mógł się naradzić nad środkami zabezpieczyć mogącemi byt Polski i Jej swobody, oraz zatrudnić się wyborem Władzy rządowej i Naczelnego Wodza».

Dopóki zwołani już do stolicy Reprezentanci Narodu nie wyrzekną, jaki skład Rządu ujmie ster spraw ojczystych, Deputacya Izb Sejmowych podaje do publicznej wiadomości, że wskutek Jej postanowienia Generał Dywizyi Weyssenhoff obejmuje tymczasowie Dowództwo siły zbrojnej, a Generał Dywizyi Klicki na teraz w stolicy obecny z przydaniem mu do pomocy Generała Szembeka, do chwili przybycia Dowodzącego Generała, rozkazy wojsku wydawać będzie. Rada Najwyższa Narodowa, w której składzie zastępcy Ministrów głos stanowczy mieć będą, upoważnioną jest przez Deputacyę Sejmową, do przewodniczenia Władzom krajowym i czuwania nad całością Ojczyzny. Wszystkie wydziały służby publicznej w swych miejscach pozostaną. Sejm zwołany jest na dzień jutrzejszy na godzinę 9 zrana.

W Warszawie d. 18 Stycznia 1831 roku.

(Podpisano). *X. A. Czartoryski, Władysław Hrabia Ostrowski, Gliszczyński, M. Kochanowski, Wodzyński,*

Hr. Pac, Franciszek Sołtyk, Ignacy Dembowski, Jan Hr. Ledóchowski, Józef Wiszniewski, Stanisław Hr. Jezierski, Józef Świrski, Ignacy Wężyk, Teofil Morawski.

(Karta drukowana, folio, z biblioteki wydawcy).

7.

(Dokument amnestyjny 1833 r.).

Za Rozkazem Najjaśniejszego Cesarza i Samowładzcy wszech Rossyi, Króla Polskiego etc. etc.

Okaziciel niniejszego, Weyssenhoff Jan, Generał Dywizyi, Dowódzca Dywizyi Ułanów byłego Wojska Polskiego, urodził się dnia 11 Kwietnia 1774 roku we wsi Andzelmujża powiecie Rzeżyckim w Inflantach. Dnia 14 Grudnia 1789 r. wszedł w służbę w stopniu Podporucznika do pułku 8 go piechoty Litewskiej wojska dawnego Królestwa Polskiego. Dnia 13 Czerwca 1792 roku postąpił na Porucznika w tymże pułku. W roku 1794 mianowany kapitanem Adjutantem przy boku Generala Dywizyi Jasińskiego. W tymże roku postąpił na Majora z przeznaczeniem do pułku 8-go jazdy lekkiej Litewskiej, w którym do końca Listopada tegoż samego roku służył. Dnia 20 Grudnia 1806 r. wszedł powtórnie w służbę do wojska Księstwa Warszawskiego w stopniu Szefa szwadronu, z przeznaczeniem na Adjutanta polowego przy boku Generała Dywizyi Dąbrowskiego. Dnia 23 Lutego 1807 r. postąpił na Majora do pułku 12-go piechoty. Dnia 29 Lipca 1808 r. mianowany Pułkownikiem Do-

wódzcą wspomnianego pułku. Dnia 25 Maja 1812 r. przeznaczony na Adjutanta komendanta szefa sztabu w dywizyi 1-ej piechoty. Dnia 3 Lutego 1813 r. postąpił na Generała Brygady. Dnia 8 (20) Stycznia 1815 r. przeznaczony został na Dowódzcę brygady 2-ej w dywizyi ułanów wojska Królestwa Polskiego. W tymże roku przeznaczony został na Dowódzcę tymczasowego tejże Dywizyi. Dnia 22-go Sierpnia (3 Września) 1826 r. postąpił na Generała Dywizyi z pozostawieniem go przy dowództwie wspomnionej dywizyi.

Odbył kampanie w latach 1792, 1794, 1807, 1809, 1812 i 1813. — Znajdował się w bitwach pod Mirem, Sołami, Lipniszkami i Magnuszewem. Pod Tczewem, przy oblężeniu Gdańska i pod Friedland. Pod Grochowem, przy zdobyciu i obronie Sandomierza. Pod Smoleńskiem, Możajskiem, Tarutyną i Czurykowem. Pod Gabel, Lobau, Stolpen, Hoblendorf, Zara, Pirna, Drezdnem i w oblężeniu tegoż miasta aż do kapitulacyi na d. 11 Listopada 1813 r. nastąpionej, w skutku której wzięty będąc w niewolę, zostawał w niej do dnia 14 Kwietnia 1814 r.

W bitwie pod Sandomierzem ranny był w głowę. W bitwie pod Możajskiem ranny kulą karabinową w ramię. W roku 1808 ozdobiony krzyżem kawalerskim orderu wojskowego polskiego. W roku 1812 mianowany urzędnikiem legionu honorowego. W roku 1819 ozdobiony orderem Ś. Stanisława 1-ej klasy. W roku 1825 orderem Ś. Włodzimierza 2-giej klasy. W roku 1829 orderem Ś. Anny 1-ej klasy z koroną cesarską. W roku 1830 otrzymał znak honorowy za lat 25 służby oficerskiej.

W ciągu rokoszu dowodził dywizyą ułanów. Później przeznaczony na Dowódzcę Jazdy. Następnie był organizatorem jazdy Legii Nadwiślańskiej. Ostatecznie był Dowódzcą militarnym w województwie Krakowskiem. Przybył do Warszawy z wolnego miasta Krakowa dnia 8 Listopada 1831 r. i przysięgę wierności Najjaśniejszemu Panu ponowił.

Po uśmierzeniu rokoszu odesłany został do Rosyi, skąd wskutek Najmiłościwszego Manifestu Najjaśniejszego Pana z dnia 2 (14) Kwietnia 1833 r. powrócił do Królestwa Polskiego.

Wskutek Najwyższej Woli Jego Cesarsko-Królewskiej Mości ogłoszonej przez Naczelnie Dowodzącego armią czynną Namiestnika Królestwa Polskiego . . . . hrabiego Paskiewicza Erywańskiego, w postanowieniu z dnia 19 kwietnia (1 maja) 1832 roku względem ostatecznego rozwiązania składu byłego wojska polskiego, jako nieulegający wyłączeniu od ogólnego przebaczenia, Najłaskawszym Manifestem z dnia 20 Paźdz. (1 Listopada) 1831 r. mieszkańcom Królestwa Polskiego udzielonego i stosownie do osnowy artykułu 3-go wzwyż wzmiankowanego postanowienia, zostaje uwolniony od służby.

W dowód czego Kommissya przeznaczenia oficerów i urzędników byłego wojska polskiego udziela Janowi Weyssenhoff niniejsze uwolnienie od służby.

W Warszawie dnia 3 Września 1833 r.

Prezydujący (po ross.) Generał-Lejtnant *Sulima.*

(Pieczęć i podpisy członków komisyi).

(Dokument po rosyjsku i po polsku, pagina fracta, w archiwum wydawcy).

SPIS RZECZY.

Str.

WSTĘP 1

ROZDZIAŁ I. Kilka wspomnień z dzieciństwa. — Uwagi o sejmie czteroletnim. — Wstąpienie do wojska w randze podporucznika 14 grudnia 1789 roku. — Pierwsze kroki samodzielne. — Uwagi o wojsku litewskiem. — Marsz na Ukrainę w 1790 roku. — Pułkownik Seweryn Rzewuski. — Wrażenie Konstytucyi 3-go maja na Ukrainie. — Komisya cywilno-wojskowa w Owruczu. — Wojna z Rosyą i Targowicą w 1792 roku. — Opis i krytyka wojska litewskiego. — Dowódzcy: generał Judycki, Stanisław Potocki, major Kleist. — Bitwa pod Stołpcami i Mirem. — Generał Michał Zabiełło. — Odwrót przez Grodno do Warszawy. — Wyprawa króla na Pragę. — Rządy Targowiczan. — Pułk 8-y piechoty litewskiej, otoczony w Stwołowiczach i rozpuszczony 7

ROZDZIAŁ II. Rewolucya w 1794 r. — Pobyt Weyssenhoffa u przyrodniego brata Sołtana w Zdzięciole. — Wieści o rewolucyi. — Aresztowanie i wywiezienie Sołtana do Kazania. — Wybuch rewolucyi w Wilnie 23 kwietnia. — Naczelnik Jasiński. — Błąd, popełniony przez generała Giedroycia. — Weys-

Str.

senhoff zostaje adjutantem Jasińskiego. — Potyczka pod Niemenczynem. — Rząd tymczasowy na Litwie. — Potyczka pod Sołami. — Odwołanie Jasińskiego przez Kościuszkę. — Generał Michał Wielhorski. — Wojsko wychodzi z Wilna do Weronowa. — Niebezpieczeństwo Wilna. — Weyssenhoff niesie wiadomość o tem do obozu w Weronowie. — Marsz z Wilna do Grodna. — Porównanie Jasińskiego z Wielhorskim. — Weyssenhoff mianowany przez Kościuszkę majorem w 8-ym pułku jazdy litewskiej, który organizuje nad Narwią. — Kapitulacya pułku. — Upadek rewolucyi 30

ROZDZIAŁ III. 1795—1805. — Inflanty polskie pod koniec XVIII wieku. — Dom Szadurskich. — Podróż do Drezna. — Śmierć Józefa Weyssenhoffa w Pizie 30 grudnia 1798 roku. — Ciągłe dalsze kształcenie się Jana Weyssenhoffa. — Podróż z Tadeuszem Tyszkiewiczem na Zachód. — Paryż. — Stosunki z Bonapartem, Cambacèresem, Lebrunem. — Kościuszko. — Towarzystwo polskie. — Zajęcia naukowe. – Teatra paryskie. — Choroba. — Dalsza podróż. — Pamiętnik przerwany 45

ROZDZIAŁ IV. 1806—1808. — Weyssenhoff wymyka się z Warszawy przez straże pruskie do obozu generała Dąbrowskiego. — Zostaje adjutantem Dąbrowskiego. — Organizacya wojska w Poznańskiem. — Marsz Dąbrowskiego ku Gdańskowi. — Utarczki około Tczewa 13 lutego 1807 roku. — Oblężenie Gdańska. — Weyssenhoff zostaje gros-majorem, a rzeczywiście dowódzcą pułku 4-go piechoty. — Epizody z oblężenia, tyczące się udziału armii polskiej. — Kapitulacya Gdańska. — Bitwa pod Friedland 14 czerwca 1807 r. — Pokój w Tylży. — Dywizya Dąbrowskiego odesłana na zimowe leże. — Reorganizacya wojska polskiego. — Pułk 4-ty dostaje Nr. 12-ty i stanowisko w Rawiczu. — Weyssenhoff reorganizuje ten pułk, zostaje pułkowni-

Str.

kiem 29 lipca 1808 roku i dowódzcą pułku. — Odkomenderowany do Torunia 55

ROZDZIAŁ V. 1809—1810. — Ślub Jana Weyssenhoffa z Teklą Otwinowską. — Kampania roku 1809. — Pułk 12-ty przyciąga z Torunia pod Warszawę. — Narada generałów o planie kampanii. — Poniatowski skłania się do zdania Dąbrowskiego. — Pułk 12-ty pod rozkazami Sokolnickiego, a prowadzony przez Weyssenhoffa, stacza 26 kwietnia pomyślną bitwę pod Grochowem. — Wzięcie przez Sokolnickiego okopu i mostu pod Górą, 3 maja. — Wzięcie Sandomierza 17 maja. — Śmierć Marcelego Lubomirskiego. — Obrona Sandomierza 16 czerwca. — Weyssenhoff, ranny na murach miasta, leczy się w Lublinie, wraca do pułku w lipcu. — Kapitulacya Krakowa i podstępne wydanie miasta przez Austryaków Rosyanom. — Wejście wojsk polskich do Krakowa 15 lipca. — Spotkanie Weyssenhoffa z żoną. — Rzut oka na całą kampanię. — Przyjazd króla saskiego do Krakowa w maju 1810 roku 95

ROZDZIAŁ VI. Rok 1811—1812. — Wymarsz pułku 12 z Krakowa do Warszawy w maju 1811. — Pożegnanie pułku przez Kraków. — Roboty około fortyfikacyi Modlina. — Kampania 1812. — Weyssenhoff opuszcza pułk 12-ty i zostaje szefem sztabu generała Zajączka. — Pobieżne wzmianki o początku kampanii aż do bitwy pod Smoleńskiem. — Dwa zdarzenia przy rozdawaniu krzyżów legii honorowej. — Bitwa pod Borodinem. — Weyssenhoff ranny w tej bitwie. — Wejście do Moskwy. — Bitwa pod Czurykowem. — Weyssenhoff dostaje stopień oficera legii honorowej. — Bitwa pod Woronowem. — Klęski odwrotu. — Przeprawa przez Berezynę. — Przybycie do Wilna. — Podróż z Wilna do Warszawy 131

Str.

ROZDZIAŁ VII. Kampania roku 1813. — Nominacya Weyssenhoffa generałem brygady. — Na czele brygady piechoty maszeruje do Krakowa. — Zatargi ze sprzymierzonem wojskiem austryackiem.— Marsz do Saksonii. — Weyssenhoff prowadzi całą kolumnę. — Warunki przemarszu przez Czechy i Morawy i zachowanie się wojska austryackiego.— Przyjęcia u hrabiny Pachta, hr. Waldstein, hr. Haugwitz. — Przybycie do Zittau. — Zawieszenie broni. — Weyssenhoff przechodzi z piechoty do jazdy i otrzymuje brygadę jazdy. — Wypowiedzenie zawieszenia broni 10 sierpnia i pierwsze działania pod Zittau i Bautzen. — Brygada Weyssenhoffa oderwana od korpusu polskiego i przyłączona do korpusu hrabiego Lobau. — Marsz przez góry i Elbę pod Königstein do Hellendorf w Czechach. — Generał Dumonceau. — Bitwa pod Hellendorf i działanie w niej Weyssenhoffa. — Wzmianka w »Moniteur«. — Szarża brygady pod Peterswalde pod komendą Napoleona — Bitwa pod Zahra. — Cofanie się do Drezna. — Weyssenhoff z brygadą swą osłania odwrót. — Utarczki z Kirgizami i Kozakami. — Utarczki pod Dreznem. — Krytyka działań marszałka Gouvion St. Cyr. — Kapitulacya Drezna 11-go listopada. — Paszport i powrót do Krakowa. — Sprawy familijne 1814 roku 162

ROZDZIAŁ VIII. 1815—1830. — Organizacya dywizyi ułanów, której Weyssenhoff zostaje dowódzcą. — Działalność Wielkiego Księcia Konstantego w wojsku i w kraju. — Źli doradcy Wielkiego Księcia: Różniecki, Kuruta, Żandr, Lubowidzki. — Wyzysk i szpiegowstwo. — Przyjazd cesarza Aleksandra do Polski w 1817 r. — Weyssenhoff eskortuje cesarza od granicy do Warszawy. — Rozmowy z cesarzem Aleksandrem.—Przyjazd cesarski w 1824.— Proponowana przez Wielkiego Księcia zmiana mundurów, nieprzyjęta przez generałów polskich.—

Str.

Gniew Wielkiego Księcia. — Rewija ułanów. — Śmierć cesarza Aleksandra. — Weyssenhoff mianowany generałem dywizyi w 1826 roku. — Stan kraju przed rewolucyą. — Oburzenie, wywołane przez Rożnieckiego, Kurutę i t. d. — Spiski między młodzieżą. — Koronacya cesarza Mikołaja na króla polskiego w 1829 r. —Weyssenhoff, wysłany przez cesarza w misyi honorowej do dworów: saskiego, wirtembergskiego i bawarskiego. — Wrażenia tej podróży. — Powrót do kraju 195

ROZDZIAŁ IX. 1830—1831. — Imieniny ks. generałowej Czartoryskiej w Puławach. — Uwagi o niewczesności powstania listopadowego. — Wybuch rewolucyi. — Krytyka działań rządu narodowego. — Niechęć Chłopickiego. — Rokowania z Wielkim Księciem Konstantym i z cesarzem Mikołajem. — Krytyka bezczynności wojska i pierwszych kroków wojennych. —Złożenie dyktatury przez Chłopickiego. — Weyssenhoff, wezwany tymczasowo na naczelnego wodza, odmawia tej godności. — Nominacya ks. Michała Radziwiłła. — Pobieżny opis bitwy pod Grochowem i niektórych dalszych działań wojennych. — Pamiętnik przerwany . . 218

DOKOŃCZENIE życiorysu z dokumentów i świadectw współczesnych. — Weyssenhoff zostaje dowódzcą całej jazdy, następnie formuje nowe pułki i jest dowódzcą militarnym w Krakowie. — Powrót do Warszawy po upadku powstania. — Wygnanie w Kostromie 1831—1833. — Powrót do kraju. — Starość i śmierć generała 233

ANNEKSA 241

INSTYTUT KSZTAŁC. KADR NAUKOWYCH przy KC PZPR BIBLIOTEKA

Bibliotek AP W
31915/2